

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 159.



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POSWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.



SERYA V.

Wrzesień.

TOM III. — ZESZYT IX.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 276 —

*Ułożono drukiem dnia 1 września 1880 r.*

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Psychologia w Anglii i Niemczech. (Ciąg dalszy). . . . .	353
II. Rzut oka na rozwój sztuki w ogólności, na jej dzieje i stan obecny u nas. Przez Karola Matuszewskiego. . . . .	373
III. Obraz historyczny cywilizacji społeczeństwa polskiego w wieku XII. Przez d-ra Stanisława Smolkę. (Dokończenie). . . . .	386
IV. Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. (Przekład z oryginału hiszpańskiego). Przez A. Gorajską. Tom I. (Ciąg dalszy). . . . .	413
V. O kwestyi religijnej w Prusiech (ustęp z historii współczesnej).	444
VI. Kilka słów z powodu znalezionej we Francyi pomnika Jana Sobieskiego. Przez Józefa Łóskiego . . . . .	453
VII. Wystawa koni w Warszawie, w czerwcu roku bieżącego. Przez Stanisława Rewieńskiego. . . . .	467
<b>VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
Iris. Dichterstimmen aus Polen von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Wilhelm Friedrich, 1880 r., 16-ka, str. 289. Iris. „Głosy poetów polskich,” przez Henryka Nitschmanna. Lipsk, 1880 r. Przez Aleksandra Kraushara. . . . .	473
Lettre sur l'enseignement des Beaux Arts. Par Henry Harvard. Paris, 1879. Przez W. G. . . . .	481
Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez d-ra Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy, w 8-ce (str. 490 i 546). Przez Ad. Ant. Kryńskiego. (Ciąg dalszy). . . . .	483
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . . . .	500
X. Nekrologia. . . . .	509
XI. Od redakcyi . . . . .	512



De. II. 1

## PSYCHOLOGIA W ANGLII I NIEMCZECH.

*La Psychologie anglaise contemporaine* par Th. Ribot. Paris, 1875 r. (2 wydanie), str. 432, w 8-ce.—*La Psychologie allemande contemporaine (École expérimentale)* par Th. Ribot. Paris, 1879 r., str. XXXIV i 368 w 8-ce.

O postępie lub stagnacji pewnej umiejętności lub sztuki, daje świadectwo jej historia. Otóż, jeżeli się poradzimy historii filozofii wogóle, a historii psychologii w szczególności czy, i o ile ta ostatnia postąpiła naprzód, przekonamy się, że w istocie studia psychologiczne zrobiły krok postępowy. Dla stwierdzenia tego, co mówimy, dość jest porównać obecny stan badań psychologicznych ze stanem ich, choćby z przed lat trzydziestu, mianowicie, porównać przedmiot, zakres, metodę i rezultaty dzisiejszej psychologii z dawniejszą. Jakoż, dzisiejsza psychologia bierze za przedmiot badań swoich tylko fakta, czyli zjawiska umysłowe, dochodzi jakim ulegają prawom, nie pytając o to, jak dusza wygląda, i gdzie jest jej siedziba w ciele ludzkim. Dawniejszą, przeciwnie, zajmowało głównie pytanie, co jest dusza, jaka jej natura i gdzie mieszka. Dzisiejsza psychologia różni się od dawniej zakresem, rozważa ona bowiem nietylko czucie, rozum, pamięć, wolę, sąd, wyobraźnię i t. d., lecz wciąga w ramy swoje objawy najniższe, tak zwane ruchy reflexyjne (odruchy), i zjawiska psychiczne podobne do ludzkich, a spotykane w szeregach zwierząt, jak np. instynkta. Nadto, zakres dzisiejszej psychologii rozszerzył się jeszcze i przez to, że do badań wprowadzono objawy patologiczne umysłu i zaczęto próbować porównawczej drogi, w celu zbliżenia do siebie na tym polu plemion zarówno najbardziej upośledzonych, jak i najwyżej stojących. Dawna psychologia bardzo zdaleka, lub wcale pytań tych nie dotykała. Co zaś do metody badań, to i ta w psychologii uległa ważnym zmianom. Dzisiaj stosują do objawów umysłowych przeważnie metodę opisową, bardzo podobną do téj, jakiej się trzymają nauki



przyrodzone. Uчени analizują czucie, świadomość, wolę; opisują je, grupują fenomena, badają ich wzajemność zależną, wpływ na urabianie się charakteru indywidualnego i zbiorowego, na rozwój wychowania, sztuk pięknych i t. p. Słowem, trzymają się *przeważnie* metody *przedmiotowej*, indukcyjnej, gromadzą fakta psychologiczne, obserwują je jak można najstaranniej, próbują, gdzie to możebne, doświadczenia (*experimentum*); i bardzo nieśmiało czynią wnioski, przekonawszy się, jak w tej sferze umiejętności zjawiska są zwickłane, jak hipotezy trudne do sprawdzenia. Nie tak postępowała dawniejsza psychologia. Jój metoda była *przeważnie podmiotową*, intuicyjną. Psycholog powinien był, zamknąwszy oczy, cofnąć się niejako w siebie, do swojego *ja*, do podmiotu, i opisać potem to, czego w tém *ja* dostrzegł. Zapominał o tém, że objawy psychiczne są dwustronne, dwutwarzowe niejako, że zatem nie można skutecznie badać umysłu, jeżeli pominiemy nieodłącznego towarzysza jego, t. j. ciało. Ztąd się okazała potrzeba rozpoczęcia psychologii od fizjologii, od zmysłów, nerwów i mózgu, ażeby następnie można było lepiej rozumieć objawy umysłowe. Nareszcie i rezultaty tą metodą osiągnięte, różnią się od rezultatów dawniej psychologii. Rezultaty zaś, o których mówimy, są te: że porzucono bezowocne pytania i metafizyczne hipotezy, dotyczące duszy uważanej w sobie, czyli samnasam, a ograniczono się do badania fenomenów duchowych; że osiągnięto mocne przekonanie o ścisłym związku objawów umysłowych z cielesnemi procesami organizmu; że poznano lepiej naturę samych faktów umysłowych, a przeto zmieniono wiele poglądów na sprawy edukacyjne, etyczne, karne i t. p.

Na tę odnowę psychologii społecznej, złożyły się bardzo liczne obserwacje i doświadczenia wielu uczonych, nie tylko psychologów, ale fizjologów, naturalistów, fizyków, etnografów i t. d. W artykule niniejszym mamy się zastanowić nad stanem badań psychologicznych w Anglii i Niemczech, ku czemu za przewodnika postępują nam wymienione na początku dzieła Th. Ribot'a, bardzo dobrze zasłużonego około filozofii we Francyi, autora, którego studyum o psychologii angielskiej przełożyli Anglicy na swój język, a na polski tłómaczył p. J. Ochorowicz <sup>1)</sup>.

## I.

Ażeby udowodnić szczegółowo to, co powyżej ogólnie powiedziano o obecnym stanie psychologii, należałoby rozebrać celniejsze dzieła, poświęcone tej nauce, a wydane w ostatnich mniejwięcej trzydziestu latach. I takbyśmy postąpili, gdybyśmy pisali sprawozdanie z rozwoju psychologii; ale obecnie mamy cel bliżej określony, t. j. sprawozdanie z kilku dzieł cudzych: a zatem do nich tylko musimy się ograniczyć. Nadto, zauważmy zaraz z początku, że Ribot wziął za przedmiot swoich

<sup>1)</sup> *Współczesna psychologia w Anglii i t. d.* Warszawa, 1877 r.

studiów jedynie psychologią empiryczną, czyli doświadczalną tak w Anglii jak i w Niemczech; pomiął zaś psychologią tak zwaną intuicyjną, czyli metafizyczną dlatego, że ta ostatnia, pomimo subtelnej analizy zjawisk umysłowych, nie porzuciła dawniej metody i nie zdobyła się na żadną oryginalną pracę. Ale chociaż przedmiot swoich badań autor francuzki tak ograniczył, pozostało mu jeszcze dużo materiału do przejrzenia i ocenienia. Jakoż, w książce jego przesuwają się przed oczami czytelnika dobrze znani w literaturze angielskiej w ogóle, a szczególnie w psychologii nazwiska takie, jak Hartley, obaj Millowie, Herbert Spencer, A. Bain, Jerzy Lewes, Samuel Bailey, których zaliczają do psychologów empirycznych, czyli jak Anglicy ich nazywają, assocyacyonistów, dlatego, że assocyacją, inaczej kojarzenie pojęć i stanów umysłowych, uważają za naczelne prawo psychologii.

Psychologia w Anglii, podobnie jak i w innych krajach europejskich, była na początku bieżącego wieku nauką nadzwyczaj suchą, ograniczoną do opisu i słownej analizy tak zwanych władz, czyli zdolności umysłowych. Psychologowie rozważali umysł *in abstracto*, dzielili go na pewną liczbę władz, naznaczali dla każdej z nich pewne zajęcia, inne dla rozumu, inne dla woli, inne dla uczucia, pamięci, wyobraźni, mało lub wcale nie biorąc w rachubę fizycznej, czyli cielesnej strony człowieka. Pierwszym, co na tę stronę zwrócił uwagę, był Dawid Hartley († 1757 r.), z powołania fizyolog i lekarz, którego Stuart Mill nazywa „ojcem assocyacji.” Hartley tylko pośrednio należy do przedmiotu, który nas tu zajmuje. W dziełach swoich, dotyczących fizjologii, a w części i psychologii, wypowiedział przekonanie, że zjawiska nerwowe i fizyczne wogóle powstają w skutek drgań, czyli ruchu materji, a zaś zjawiska umysłowe i psychologiczne wogóle, tworzą się mocą assocyacji czyli kojarzenia, które wystarcza do wytknięcia mechanizmu umysłowego. Hartley przyznaje się, że teorią drgań wziął od Newtona, a teorią assocyacji od Locke'a. Zresztą, fizjologia Hartley'a była bardzo błędną, a co do psychologii jego, oto jej treść: „Zwierzę (a więc i człowiek) nie może ani czuć, ani się ruszać, jeżeli nie powstaną drgania w jego nerwach, rdzeniu kręgowym i mózgu. Czucia, czyli wrażenia, mają tę własność, że trwają przez pewien czas nawet wtenczas, gdy powodująca je przyczyna zewnętrzna znikła. Gdy często były powtarzane, mówi Hartley, zostawiają po sobie niejaki ślady czyli obrazy, które możnaby nazwać wyobrażeniami (ideami) prostemi. Niedosć na tém: drganie, t. j. fakt czysto fizjologiczny, powtarzając się częściej, zostawia w mózgu pewną skłonność, dążność do ponowienia się w formie drgań daleko słabszych od pierwotnych, które autor nazywa miniaturowymi drganiami (*vibratiunculae*).”

Tak więc drganie daje początek czuciu, inaczej wrażeniu, a następnie mniejsze drganie, które nazwijmy drganko, rodzi obrazy (*images*). Z tych prostych pierwiastków powstają mocą assocyacji wszystkie inne, najbardziej złożone objawy umysłowe. Jestto więc psychologia jeszcze bardzo prosta, ale też bardzo dużo jej brakuje; i jeżeli

o Hartleyu w historii nowszej psychologii jest mowa, to dlatego, że później Jakób Mill, a w części i syn jego Stuart Mill, do podobnych na działanie umysłu poglądów doszli i wraz z Hartley'em stanowią pierwszy niejako peryod w rozwoju psychologii *assocjacyjnej* <sup>1)</sup>.

Jakób Mill († 1836 r.) także nie należy do współczesnych psychologów angielskich; nie można go jednak pominąć w przeglądzie szkoły empirycznej, gdyż z ducha pism swoich z nią się łączy i stanowi ogniwo przejściowe do nowszej psychologii. Wydał on jeszcze w r. 1829 *Analizę zjawisk umysłu ludzkiego*, którą syn jego Stuart Mill, wraz z Bain'em, Findlater'em i Grot'em opatrzyli różnostronnemi przypiskami i wydali powtórnie w r. 1869. Jakób Mill w poglądach swoich stoi bliżej Hartley'a, niż *Szkoły Szkockiej*. Zjawiska umysłowe tłumaczy on bardzo prosto: redukuje bowiem wszystkie do wrażeń, idei i kojarzenia się idei, czyli wyobrażeń. W świecie psychicznym widział tylko jeden fakt, a tym jest czucie, inaczéj wrażenie; i jedno prawo, a tém jest assocjacya, czyli kojarzenie. Co do metody, trzymał się staréj, subiektywnej, i przez nią łączy się z psychologami XVIII wieku; był do nich podobny i z tego, że zastanawiał się nad umysłem dojrzałym, jaki widzimy u ludzi dorosłych i cywilizowanych. Jeszcze niemasz u niego śladu psychologii porównawczéj, ani téż roztrząsania zjawisk umysłowych od chwili ich ukazywania się w dzieciach.

Psychologia J. Mill'a rozważa najprzód wrażenia i wyobrażenia (idee); wrażenia klasyfikuje na ośm grup, mianowicie, wrażenia: słuchu, powonienia, wzroku, smaku, dotykania, nieładu, w jakiejś części ciała, wrażenia mięśniowego wysiłku i kanału pokarmowego. Trzy ostatnie grupy redukują dzisiejsi psychologowie do dwu, mianowicie do wrażeń mięśniowych i organicznych: pierwsze z nich dają nam wyobrażenie o napięciu czyli wysiłku mięśni, i pozwalają zrozumieć tworzenie się wyobrażeń o świecie zewnętrznym; drugie uczą nas, jaki jest stan naszych organów. Otóż J. Mill zaniechał zupełnie analizy wrażeń mięśniowych, a ztąd nie mógł objaśnić powstania w umyśle wyobrażeń o świecie zewnętrznym, który, stawiając opór mięśniom naszym, daje nam znać o sobie. Po załatwieniu się z wrażeniami, przechodzi do wyobrażeń czyli idei.

Jestto, powiada, właściwością naszéj konstytucyi, że gdy doznamy jakiego wrażenia, zostaje po niem jakby ślad pewien, chociaż znikł przedmiot, który wywarł wrażenie. Gdyśmy np. patrzyli na słońce, potem, zamknąwszy oczy, mamy jego obraz w sobie; ten obraz nazywa Mill kopią, reprezentacją pierwszego wrażenia; innemi słowy, jestto wyobrażenie, idea, a zdolność umysłu do tworzenia takich idei, mianuje *ideacyą*. Ponieważ wyobrażenie jest kopią wrażenia, a wrażeń jest ośm grup, więc i wyobrażeń tyleż grup będzie. Mamy tedy wrażenia

<sup>1)</sup> Dzieła Hartley'a są następujące: *Conjecturae quaedam de sensu, motus et idearum generatione*, 1731 r.; *Observations on man, his frame, his duty, his expectations*, 1749 r.

proste i ich kopie, czyli wyobrażenia, obie zaś te klasy stanowią dwa pierwotne stany świadomości. Z kombinacji tych elementów pierwotnych powstają wszystkie zjawiska umysłowe; sprężyną, wprawiającą w ruch owe pierwiastki i powodującą niemi, jest assocyacja idei, czyli po naszemu kojarzenie się wyobrażeń.

Kojarzenie się wyobrażeń uważają wszyscy psychologowie szkoły empirycznej za prawo najogólniejsze, za fakt zasadniczy, do którego starają się zredukować wszystkie zjawiska życia umysłowego. Pogląd ten widoczny u Hartley'a i Hume'a, spotykamy również i u J. Milla. Według niego, to kojarzenie się wyobrażeń zachodzi między wrażeniami i między wyobrażeniami. Kojarzenie się wrażeń idzie za porządkiem istniejącym między przedmiotami natury otaczającej człowieka, czyli odbywa się według porządku *synchronicznego*, lub *następczego*. Porządek synchroniczny wyobraża nam rzeczy i zjawiska istniejące obok siebie w przestrzeni; porządek następczy przedstawia je jako istniejące w czasie. I tak: smak jabłka, opór jaki stawia ustom, ziemia, która nas dźwiga, są przykładem tego, co rozumieć przez kojarzenie się synchroniczne. Ale oto widzę wystrzeloną kulę, ścigam ją wzrokiem, dostrzegam, że pada i sprawia spustoszenie: szereg tych wrażeń następujących po sobie uczy, jak rozumieć kojarzenie się następcze.

Ponieważ wyobrażenia nasze pochodzą nie od przedmiotów samych, lecz od wrażeń, zatem i kojarzenie się ich będzie podobne do kojarzenia się wrażeń; tak też najczęściej się dzieje. „Wyobrażenia nasze, powiada Mill, powstają, lub istnieją w takim porządku, w jakim istniały wrażenia, których tamte są kopiami.” Jeżeli wrażenia powstawały społecznie, wyobrażenia o nich także budzą się społecznie, gdy zaś następowały po sobie kolejno, wyobrażenia o nich również kolejno się rodzą.

Z kolei następuje wyjaśnienie wyobraźni, pamięci, wiary (*belief*), uczuć, woli, przyczyny i wogóle tych fenomenów, które stanowiły długo i dziś jeszcze stanowią treść zwykłych podręczników psychologii. Wykład Jakóba Milla jest wogóle abstrakcyjny, suchy i bardziej czuć w nim logika, niż psychologa.

Syn jego, Jan Stuart Mill, nie zostawił po sobie oddzielnego wykładu psychologii, tylko tu i owdzie, jak np.: w *Rozprawach* swoich, w *Logice* i *Krytyce filozofii Hamilton'a*, dał nam poznać, jakie były jego poglądy na zjawiska psychiczne.

Stuart Mill († 1873), był stanowczym stronnikiem psychologii assocyacyjnej. Psychologii zadaniem jest, według niego, badanie jednoznaczności (praw) następczych, czyli praw tak pierwotnych, jak i pochodnych, podług których jeden stan umysłu następuje po drugim, jest przyczyną tego drugiego. Walczył on przeciw A. Comte'owi, który nie uznawał psychologii, redukując ją do biologii, a chociaż zgadzał się na to, że psychologia nie jest umiejętnością *ściłą*, tak jak np.: matematyka, lub astronomia, niemniej jednakże widział w niej naukę nieodzowną

w badaniach filozoficznych i nie lekceważył obserwacji wewnętrznej. „Nauka ta, powiada, ma za przedmiot myśli, uczucia i czyny ludzkie,” innymi słowy, fenomena umysłu. Nie trzeba jednakże nigdy tracić z uwagi, ani lekceważyć fizyologicznej strony pytania, albowiem prawa, którym ulegają zjawiska umysłowe, mogą być pochodniami od praw życia zwierzęcego, a zatem w ostatecznej analizie mogą zależeć od warunków fizycznych. Z drugiej strony przecież byłoby błędem wyrzekać się analizy psychologicznej, i budować całą teorią umysłu na wiadomościach fizyologicznych. Chociaż bowiem psychologia jest jeszcze nauką niedoskonałą, Mill jednak sądził, że odpowiadająca jej część fizjologii jest jeszcze niedoskonalszą. A tak widzimy, że autor pod względem metody psychologicznej, uznawał wartość analizy podmiotowej, oraz potrzebę uzupełnienia jej przedmiotową i dążył do pogodzenia tak zwaną psychologią *à priori*, z psychologią *à posteriori*.

Przechodząc następnie od metody do treści, Stuart Mill rozważał w rozmaitych swoich dziełach fenomena umysłowe takie, jak świadomość, pojmowanie świata zewnętrznego, kojarzenie się wyobrażeń, pojęcie przyczyny, prawdy konieczne, rozumowanie, wola. Umysł definiował, jako to, „co czuje.” Objawami umysłu są: wrażenia, wyobrażenia (idee), wzruszenia i pożądania. Wszystkie one ulegają prawu *assocjacji*, które „tém jest w psychologii, czém prawo powszechnego ciężenia w astronomii, a własności elementarne tkanek w fizjologii.” Według tego prawa, wyobrażenia podobne budzą się wzajemnie; wrażenia, lub wyobrażenia doznane spólcześnie, lub tuż po sobie, także wywołują jedno drugie. Prawa zjawisk umysłowych podobne są w części do praw mechanicznych, w części do chemicznych. Jako przykład *kombinacji* umysłowej, może służyć kolor biały, powstający z szybkiego przesuwania się przed oczyma siedmiu kolorów widma. A znów wyobrażenie pomarańczy powstaje z wyobrażeń prostych koloru, kształtu, smaku i t. d. Pytając świadomości, możemy odróżnić wszystkie te wrażenia w naszym wyobrażeniu o pomarańczy. Mamy tu więc coś nakształt chemii umysłowej, pokazującej nam, jak wyobrażenia proste *tworzą* wyobrażenia złożone.

Pojęcie przyczyny Stuart Mill wyraża jak następuje: przyczyną jest zjawisko, fakt, lub ich połączenie poprzedzające inny fakt, który niezmiennie i bezwarunkowo po nich następuje. Do pojęcia przyczyny dochodzimy przez doświadczenie, a zatem nie jest ono wrodzone. Ono to jest podstawą wszelkiej umiejętności, „ukrytym korzeniem” wszelkiej indukcji i rozumowania, tkwiącym zarówno w najpospolitszych czynnościach naszych, jak i w najwyższej umiejętności.

A jak pojęcie przyczyny wynika z doświadczenia, tak i prawdy zwane *koniecznymi*, z tegoż źródła pochodzą. Metafizycy twierdzą, że niektóre prawdy, jak np.: pewniki matematyczne, są w umyśle gotowe, czyli *à priori*, i że są konieczne. Stuart Mill zwyczajko mniemanie to zbija, dowodząc, że i te prawdy są przez doświadczenie zdobyte, że są uogólnieniem obserwacji. Gdy mówimy, że dwie linie proste nie mogą



zamknąć przestrzeni, czynimy indukcją opartą na zmysłowym postrzeżeniu; trzeba je było przynajmniej raz widzieć nakreślone. Doświadczenie więc to, które na ten jeden raz wyrażało prawdę, potem uzupełnia imaginacja i powiadamy, że nietylko *te dwie* linie proste, ale *wszelkie* dwie linie proste nie zamkną przestrzeni: tym sposobem zdanie ogólne zamieniamy na pewnik, czyli jak nazywają, prawdę konieczną. Doświadczenie zmysłowe, będące na początku aktu umysłowego, uzupełniamy potem wewnątrznie, ciągniemy je niejako dalej sami w sobie: na niem więc opierają się prawdy, zwane *à priori*.

Czy prawdy te są *konieczne*, jak chcą metafizycy? A najprzód, co to jest prawda konieczna? Jestto, powiadają, sąd, czyli zdanie ogólne, którego zaprzeczenie byłoby nietylko fałszem, ale nadto nie dałoby się pojąć. Otóż Mill kryterjum to odrzuca. Dlatego, że pewnej rzeczy pojąć nie można, z tego nie wynika jeszcze, że ona nie istnieje. Dość zajrzeć do historyi nauk, ażeby się przekonać, iż niejedno ze zdań uważanych niegdyś za niepojęte, teraz uchodzi za niezaprzeczone, jak np.: istnienie antypodów, albo ciążenie powszechne, które odrzucali Kartezjanie, gdyż nie mogli pojąć ruchu bez zetknięcia się ciał bezpośrednio. Niemożność pojęcia zdania przeciwnego pochodzi ze skojarzenia; z początku doznajemy wielkiej trudności, gdy mamy pierwszy raz związać ze sobą dwa wyobrażenia; potem, dzięki ciągłemu powtarzaniu i nałogowi uważania ich razem, kojarzą się one ze sobą tak silnie, że rozłączenie uchodzi za niepojęte nawet dla umysłów oświeconych.

Co do natury rozumowania, Mill także różnił się w jego pojmowaniu od idealistów. Kiedy bowiem ci rozumowanie sylogistyczne, czyli dedukcyjne, uważają za typ doskonały i do niego redukują indukcją; empirycy przeciwnie, indukcją biorą za fundament, dlatego, że rozpoznają od faktów i doświadczenia. Najogólniejsze prawdy, które w sylogizmie służą za podstawę, wynikły ze szczegółowych obserwacyi i na nie dają się rozłożyć; ztąd, podług Milla, rozumowanie, wnioskowanie, odbywa się właściwie ze szczegółu o szczególe. I nietylko możemy wnioskować ze szczegółu o szczególe, nie opierając się na ogóle (na zdaniu ogólném), ale nigdy prawie inaczej nie postępujemy. Wszystkie nasze początkowe, pierwotne wnioski są takiej samej natury. Dziecko np.: sparzywszy sobie palec, strzeże się potem zbliżyć go do ognia. Rozumowało ono w tym razie, a jednak nie zdołało sobie jeszcze utworzyć zdania ogólnego, że „ogień parzy.”

Dwu nadto przedmiotów z zakresu psychologii dotykał Mill w dziełach swoich: natury woli i pojmowania świata zewnętrznego. Oba te przedmioty należą do najtrudniejszych w filozofii i najwięcej się przychyliły do wytworzenia rozmaitych sekt zarówno w etyce, jak i w psychologii, czyli raczej w metafizyce. Co do woli i jój wolności, Mill nie podziela ani zdania tych, którzy sądzą, że wola nasza działa tak sobie według widzimisię, bez pobudek; ani tych, którzy prawią o konieczności wszystkich naszych czynów. O konieczności w czynach ludzkich takiej, jak np.: że kto się urodził, umrzeć *musi*, nie może być mowy; przeciw-

nie, zachodzi w działaniach naszych przyczynowość, której jeżeli coś nie stanie na przeszkodzie, np.: przeciwdziałanie z naszej strony, przyczyna wyda skutek; trucizna zabije organizm, *jeżeli* skutku jęj nie powstrzymamy za pomocą antydotu. Mamy zatem możność przeciwdziałania pobudkom, wpływającym na wolę, a tęp samym jesteemy w części odpowiedzialni za czyny nasze, możemy się przykładac do urabiania własnego charakteru. Słowem, w pytaniu dotyczącem woli, dla uniknienia nieporozumieiu, należałoby zupełnie zaniechać rozprawiania o jęj wolności, lub konieczności, a rozważać jedynie przyczynowość czynów ludzkich.

Najzawikłańszęp pytaniem w filozofii jest to, jakim sposobem pojmujemy świat zewnętrzny, czyli innemi słowy, co to jest materya, a co umysł, albo, jak inaczej jeszcze nazywają, co jest przedmiot, a co podmiot? Odpowiedź na to pytanie wkracza w granice metafizyki; Mill wierny empiryzmowi, nie wchodzi w te mgliste okolice, lecz stara się *psychologicznie* wytłómaczyć, co rozumieć przez materyę i umysł. Definicja jęgo nieco zawila, tak się przedstawia: „Materya, powiada, jestto nieustająca możność czucia.” Mamy czucia chwilowe, np.: widzimy kawałek białego papieru: opuściwszy to miejsce, wiemy, że gdybyśmy na nie wrócili, znajdziemy tenże kawałek papieru, który obudzi w nas takie same wrażenia, czucia, jak poprzednio. Tak się rzecz ma z tęp wszystkięp, co nazywamy światem zewnętrznym: wiemy, że gdy się rzęczy z nami zetknę, będziemy *mogli* czuć je, czyli, że nosimy w sobie stale możność czucia. Do tego się redukuje pytanie, częp jest materya. A znów umysł, znaczy możność czucia, pamietania, chcenia, czyli możność ukazywania się tych stanów, gdy się okoliczności nadarzą. Zresztę Mill wyznaje, że jęgo teoria umysłu duzo pozostawia do życzenia, zwłaszcza co do powiazania owych stanów, co do nici, na którą nawleczono perły. Streszczając jęgo pogląd na materyę i pojmowanie świata zewnętrznego, można powiedzieć, że stał na tym samym gruncie, co i Berkeley, a co się tyczy pojmowania umysłu, podmiotu, zbliżał się nieco do Hume'a, którego teorię nazywają czystym *fenomenizmem*.

Zachodzi jednak między nimi pod tym względem ważna różnica. Kiedy bowiem Hume dla wytłómaczenia harmonii istniejącej między biegiem natury a naszymi wyobrażeniami, przypuszczał bądź jakiś porządek naprzód i z góry ustanowiony, lub ją objaśniał „przyzwyczajeniem, wiarę, instynktem;” Mill tłómaczy łączność fenomenów umysłowych „związkiem organicznym.” Bądźcobądź, rzecz pozostawia nie rozstrzygnięta i mówi ogólnie, że węzeł łączący stany świadomości, jest tak rzeczywistym, jak i same te stany: nauka jęgo, wszystko zważywszy, zawiera *stalszy* element, aniżeli czysty fenomenizm Hume'a.

Wymienieni powyżej filozofowie, o ile dotyczyli zagadnień psychologicznych, stanowią ogniwo przejściowe w rozwoju nowszej psychologii: jeszcze się oni nie otrząsnęli zupełnie z dawnego metafizycznego

tłumaczenia objawów umysłowych. Ten, do którego obecnie przechodzimy, jest nie tylko wyobraźcą najnowszych poglądów w psychologii, ale razem i najgenialniejszym przedstawicielem myśli filozoficznej w ogóle. Herbert Spencer, bo o nim to mowa, należy do szeregu rzadkich zresztą, umysłów encyklopedycznych, które jak niegdyś Arystoteles, a w nowszych czasach Leibnitz z ogromną wiedzą faktów, łączą wielki dar uogólniania tychże, i organizowania ich w powiązany nie sztucznie lecz naturalnie, systemat. On jeden ze społecznych filozofów angielskich buduje w istocie systemat filozoficzny, będący uogólnieniem obszernego działu wiadomości, ogarniającego wszystko, oprócz nauk fizyko-matematycznych.

Systemat swój rozpoczął Herbert Spencer od dzieła: *Pierwsze zasady*, będącego metafizyką niejako i fundamentem dalszych części, jako to: *Biologii, Psychologii, Socjologii i Etyki*. Dla dobrego rozumienia jednej części, należałoby poznać wszystkie pozostałe; że jednak w tém miejscu mamy tylko zdać sprawę z jego *Psychologii*, ograniczymy się do niej.

Zauważmy najprzód, że H. Spencer przeprowadza w całym swoim systemacie filozoficznym zasadę, albo lepiej mówiąc, hipotezę *rozwoju, ewolucyi*, według której wszystkie zjawiska tak fizyczne, jak umysłowe i społeczne, łączą się nierozzerwanym węzłem. W łańcuchu tym każde ogniwo następne zaczepia się o poprzedzające, a to znów służy za oparcie następnemu, wyższemu. Jest więc wśród zjawisk składających wszechświat nieustający postęp, rozwój od rzeczy prostych do coraz bardziej złożonych, od jednorodnych do różnorodnych, od homogenum do heterogenum, czyli innymi słowy, coraz większe różnicowanie (dyfferencyacja). Toż samo prawo, jeżeli ono jest powszechne, powinniśmy dostrzedz i w rozwoju zjawisk psychicznych, któremi się zatrudnia psychologia.

Rozpoczyna tedy H. Spencer wykład psychologii od *danych* (data) czyli faktów psychologicznych, których szuka najprzód w budowie i czynnościach układu nerwowego. Jako biegły znawca histologii, anatomii opisowej i fizjologii, zebrał H. Spencer wszystko, coby mogło być potrzebne psychologowi. Dane, czyli fakta służą za podstawę do naczelných *indukcji* psychologicznych. A najprzód, czém jest umysł? Analiza psychologiczna odpowiada na to pytanie rozbiorem stanów świadomości i dochodzi do wniosku, że pierwotnym elementem czucia, jest stopień się niejako uderzeń, czyli wstrząśnięć nerwowych. Zastanawiając się zaś nad objawami umysłowemi, spotykamy ich dwie grupy: czucia i stosunki między niemi. Czucia zaś dzielą się na takie, które biorą początek od wewnątrz (są to wzruszenia) i na takie, które idą od zewnątrz (są to wrażenia, sensacje). Stany świadomości wzbudzone od zewnątrz mogą być albo zewnętrzne, albo wewnętrzne, czyli krótko mówiąc, czucia, są to albo wzruszenia, albo wrażenia odśrodkowe, albo wrażenia dośrodkowe. Autor nazywa je technicznie *centralne, epiperyferyczne i entoperyferyczne*. Każda z tych grup zjawia się

albo w formie pierwotnej, żywej i rzeczywistej, albo w formie wtórnej, słabej, czyli idealnej. Co się tyczy stosunków zachodzących między stanami świadomości, Spencer redukuje one do trzech: *spółbytności, następstwa* czyli kolejności i *różnicy*. Dwa pierwsze polegają na trzecim. Pierwotne te stany świadomości stanowią materiał, z którego się tworzą idee, wyobrażenia. A jako czucie jest skombinowanym szeregiem drgań nerwowych, tak wyobrażenie jest skombinowanym, albo jak autor nazywa *zintegrowanym* szeregiem czuć, inaczej wrażeń podobnych. Już z tego widać, jak stany umysłowe stają się coraz złożęnsze, jak się w nich przejawia zasada rozwoju. Pierwszym rezultatem téj zasady jest postrzeżenie, że między faktami fizyologicznymi i psychologicznymi, niemasz *wyraźnej* linii granicznej; mianowicie, wrażenia, czucia, instynkta, rozum, wszystko to stanowi wprawdzie świat odrębny, który jednak opiera się na żyjącym organizmie i jest niby jego kwiatem. „Życie ciała i życie umysłu są gatunkami, których rodzajem, jest życie w ogóle uważane.”

Nie możemy wdawać się w szczegółowy a bardzo subtelny wykład rozmaitych procesów umysłowych, ciągnących się przez dwa wielkie tomy. Kto chce nabrać wyobrażenia, czém jest psychologia pod piórem Spencera, musi cierpliwie przestudyować conajmniej owe dwa tomy: dodajemy tu tylko zajmującą hipotezę autora, o początku tak zwanych prawd *koniecznych*. Jedni uważają je za wrodzone, drudzy za nabyte przez doświadczenie; Spencer zaś tłumaczy je *dziedzicznością*, to znaczy, że w jego mniemaniu, prawdy te są odziedziczone po przodkach całego rodu ludzkiego, niejako zsumowanym, streszczoném doświadczeniem poprzednich pokoleń.

Nadto, Spencer równie jak Stuart Mill i A. Bain, należy do psychologów *assocyacyonistów* z tą różnicą, że prawu *assocyacji* wyobrażeń naznacza podstawę fizyologiczną. Kojarzenie się stanów świadomości jest, według niego, procesem automatycznym. Każdy stan świadomości, gdy się zjawi, natychmiast wchodzi do klasy, rzędu, rodzaju, gatunku, odmiany dawniejszych, a podobnych mu stanów świadomości. Tak np. wrażenie barwy czerwonej, gdy się zjawi, wchodzi do swojej klasy wrzeń (a więc do klasy wrzeń *epiperyferycznych*), do swojego rzędu (t. j. wrzeń *wzrokowych*), do swojego rodzaju (t. j. barwa czerwona) i t. d. Słowem, jest tylko jedno prawo *assocyacji*, mianowicie, że każde zjawisko umysłowe zespala się i szereguje z inném, podobném sobie.

W psychologii zatem Spencera objawy umysłowe szeregują się takim porządkiem: odruchy, instynkt, pamięć, rozum, jako działania *poznawcze*; a z drugiej strony uczucia, wzruszenia, wola, jako objawy *uczuciowe*. Nareszcie, każdemu ze stanów świadomości, czyli każdemu objawowi umysłowemu towarzyszy pewna zmiana w układzie nerwowym całym, lub jakiegóś jego części.

H. Spencer'a chcieli niektórzy historycy zaliczyć do *pozytywistów*, ale od tego zaszczytu jaknajwyraźniej się wymówił i ogłosił osobny traktat, w którym wyłożył powody niezgadzenia się swojego na

filozofią A. Comte'a. „Jestto pospolitym błędem, powiada, że tych, którzy się trzymają metody naukowej, zaliczają do pozytywistów i uczniów A. Comte'a. Zarówno nieprzyjaciele jak i przyjaciele tego filozofa, sami przyłożyli się do pomieszania tych dwu terminów „uczeni” i „pozytywiści.”” Dlatego, że ktoś bada fakta, wyciąga z nich prawa lub wskazuje bezpośrednio ich przyczyny, czyli, że postępuje metodą naukową, nie można go zaliczać do pozytywistów, ani metody brać za jedno z filozofią pozytywną. Metoda taka dawniejsza jest od A. Comte'a, trzymali się jej prawdziwie uczeni zawsze, bo ona jedna prowadzi do ścisłych rezultatów w nauce.

Należałoby pamiętać o tém zastrzeżeniu, gdyż i u nas często popełnia się ten błąd, i bez ceremonii klasyfikuje uczonych zagranicznych, nie zajmawszy do dzieł ich, nie bacząc na to, że oni sami protestują przeciw podobnej klasyfikacyi. W tém położeniu są najgłośniejsi filozofowie angielscy, mianowicie Stuart Mill, H. Spencer, A. Bain. Tymczasem znającym rzecz wiadomo, że żaden z nich do pozytywizmu Comte'a nie przystał, że przeciwnie krytykowali liczne słabe strony téj doktryny. Najwyraźniej zaś zaprzeczyli swojej z nią solidarności, uznając potrzebę i pisząc dzieła poświęcone wykładowi psychologii, której Comte nie uznawał i wliczał ją jako cząstkę, jako naukę o „procesach nerwowych,” do biologii.

Mniej śmiałym w hipotezach i nadużyciu zbyt naciąganych analogii, ale niemniej słynnym od Spencera jest Aleksander Bain, znany głównie w spółczesnej literaturze filozoficznej jako psycholog. Nie utworzył on żadnego systematu, jakkolwiek w pismach swoich dotykał rozmaitych przedmiotów stanowiących zakres filozofii. Ogólna jego charakterystyka nie byłaby daleką od prawdy, gdyby go nazwano empirykiem czystej krwi, który najmniej się posługuje uczuciem i wyobraźnią, a najbardziej ceni rozum i doświadczenie. W psychologii, której poświęcił największe swoje dzieła, mianowicie dzieło zatytułowane *Zmysły i rozum*, oraz *Wzruszenia i wola*, Bain łączy się pod pewnym względem ze *Szkołą szkocką*, a z drugiej strony, z dzisiejszym prądem naukowym. Od poprzedników swoich, takich jak Reid i Dugald Stewart, przejął zamiłowanie w badaniu drobnych, zwyczajnych zjawisk psychologicznych, porzuciwszy ich uniwersalne kryterium zwane *zmysłem pospolitym*, i tak jak szkoccy filozofowie zalecali w traktowaniu psychologii używać metody nauk *fizycznych*, tak on zastosował w niej metodę nauk przyrodzonych, *metodę opisową* i klasyfikacyjną. Z drugiej strony, wiąże się Bain z całym nowym ruchem umysłowym, i na pożytek psychologii zbiera to wszystko, co fizjologia i fizyka oraz nauki przyrodzone dla rozjaśnienia zagadnień psychologicznych zdobyły.

Zgodnie z tym gustem naukowym, a także i dlatego, że fenomeny psychiczne zjawiają się nieodłącznie od procesów fizjologicznych, Bain rozpoczyna wykład psychologii od opisu i funkcji układu nerwowego. Przejęty sam głęboko tą myślą, że każde zjawisko psychiczne ma dwie strony do rozważania, fizyczną i umysłową, przeprowadza ją

systematycznie przez cały szereg objawów stanowiących życie umysłowe. Jako nowość niespotykaną w dawniejszych psychologicznych dziełach, widzimy u Bain'a przy wykładzie działania zmysłów, wprowadzony nowy zmysł, zwany *czuciem mięśniowém*, który z jednej strony uczy nas, jaki jest stan naszych organów cielesnych, a z drugiej pokazuje, czém jest *opór* (gdy poruszamy jakie ciało), *natężenie* (gdy dźwigamy jakiś ciężar i do niego nowy ciężar dokładamy), *ruch* (gdy członki ciała naszego poruszamy), słowem, ten szósty niejako zmysł mięśniowy daje początek w nas pojęciom najważniejszym o świecie zewnętrznym. Tu właściwie rozpoczyna się życie świadome, świadomość, bo ażeby mógł nastąpić stan świadomy, potrzeba, by nas coś uderzyło, byśmy zauważyli różnicę między wrażeniami, a o téj różnicy właśnie dają nam znać mięśnie poruszone lub wyteżone.

Drugim faktem psychologicznym podniesionym przez Bain'a, jest *samorzutność* woli. Kiedy bowiem dawniejsi psychologowie widzieli w umyśle przedewszystkiém bierne niejako naczynie, przyjmujące w siebie wrażenia idące od świata zewnętrznego, Bain wykazał, że umysł ma w sobie inicjatywę do działania, jak o tém świadczą między innymi: sprężystość mięśni (la tonicité) lub nadzwyczajna ruchliwość dzieci, gdy są zdrowe i dobrze karmione.

Z kolei autor opisuje czucia, czyli wrażenia, których sześć grup naznacza, jakoto: wrażenia życia organicznego, smaku, powonienia, dotyku, słuchu i wzroku. Trzy ostatnie nazywa przeważnie umysłowemi, a między temi najwyżej wzrokowe kładzie. Szczególniej starannie wyłożony jest zmysł życia organicznego, oraz pytanie, jakim sposobem pojmujemy świat zewnętrzny, w czém głównie udział biorą: dotykanie i wzrok. Następnie przechodzi do traktowania surowego, że tak nazwiemy, materiału, z którego rozum i wola wyrastają, a materiałem tym są żądze i instynkt. Instynkt, definiuje jako przeciwieństwo tego, co jest nabyte przez ukształcenie, jako zdolność *niewyuczoną* do wykonywania rozmaitych czynności, zwłaszcza użytecznych zwierzęciu. „W traktowaniu tego, co nazywamy umysłem (*intellect*), mówi Bain, zaniechałem dzielenia go na zdolności, czyli władze i oparłem się całkowicie na prawach assocyacji wyobrażeń.” Mamy więc kojarzenie się wyobrażeń, uczuć, wrażeń, pożądań, słowem, wszystkich objawów umysłowych, tak, że u psychologów doświadczalnych, nie tylko w Anglii, ale we Francji i Niemczech kojarzenie się, czyli assocyacja, stanowi prawo naczelne i tymczasem przynajmniej tłumaczy fenomena życia wewnętrznego.

Wyłożywszy naturę rozumu, autor w osobném dziele rozważa naturę woli i uczuć. Część ta jest nieco słabsza od poprzedniej, bo téż uczucia, czyli wzruszenia są daleko trudniejsze do rozklasyfikowania, niż objawy rozumowe. Strona opisowa każdego ze wzruszeń nie pozostawia nic do życzenia; jedynie klasyfikacją ich uważa Ribot za chybiącą: chwali jednak utrzymanie do końca przewodniej myśli, to jest rozbiór uczuć zawsze dwustronny, pod względem umysłowym i fizycznym

prowadzony. Co do woli, początek jęj widzi Bain w samorzutnych i instynktowych ruchach żyjącej istoty, opisuje pierwsze próby i mocowanie się niejako těj przyrodzonej energii organizmu, rozważa pobudki działające na wolę, ich kollizye i nareszcie sporną kwestyą o wolności woli. Nie pójdziemy dalej za autorem, gdyż trzebaby znów podawać treść potężnych dwu tomów, w których mieści się jego psychologia, lub streszczać obszerne studyum o niej Ribot'a, coby przekraczało granice zakreślone dla niniejszego sprawozdania. Zresztą, najlepsze streszczenie nie zastąpi osobistego studyowania, któremu poddać się musi każdy, kto chce mieć dobre wyobrażenie o dzisiejszej psychologii doświadczalnej.

Oprócz wymienionych dzieł głównych, wykładających psychologią, Bain ogłosił dwie mniejsze zakresem prace, odnoszące się jednak do tego samego przedmiotu. Należą tu mianowicie: *Studjum o charakterze*, oraz *Umysł i Ciało*, czyli teorye o wzajemnym ich stosunku <sup>1)</sup>. Ani co do zasad, ani co do metody, dziełka te nie różnią się od zasad i metody przyjętych w obszerniejszym wykładzie psychologii. Toż samo daje się powiedzieć o skróconym wykładzie psychologii i etyki zatytułowanym: *Umiejętność umysłu i moralności*. Nareszcie trzeba dodać, że Bain wydał oprócz powyżej wymienionych dzieł, jeszcze obszerną, dwutomową *Logikę i Naukę Wychowania* <sup>2)</sup>. O ile w dziełach tych trzeba było dotknąć psychologii, co zwłaszcza jest nieodzowne w teoryi wychowania, autor pozostał wiernym pod względem pojęć psychologicznych poglądom wypowiedzianym w głównych swoich dziełach.

Do rzędu znakomitych filozofów angielskich należy Jerzy Lewes († 1878), znany i u nas z tłómaczonych na język polski prac swoich takich, jak: *Życie Goethe'go*, *Fizyologia życia codziennego*. Dzieła te jednak nie dają wyobrażenia o nim, jako o filozofie: pierwsze z nich bowiem jest natury literackiej, drugie przeważnie fizyologicznej. Tytuł jego do sławy filozoficznej stanowią inne dzieła, mianowicie: *Historja Filozofii* (dwa tomy), *Problemata życia i umysłu* (pięć woluminów). Z tych dwa szczególnie wchodzą treścią swoją do niniejszego sprawozdania, te mianowicie, które autor zatytułował: *Fizyczna podstawa umysłu*, oraz *Studjum o Psychologii*. I w tych jednakże tomach nie masz systematycznego wykładu psychologii, lecz szereg rozpraw częścią fizyologicznych, a częścią psychologicznych. Kiedy Ribot pisał swoje dzieło: *O psychologii angielskiej* (drugie wydanie, 1875), wyszło dopiero dwa tomy *Problematów* Lewes'a, nie mógł zatem mówić o reszcie, która w części dopiero po śmierci autora została ogłoszona. Pomimo tego, Ribot doskonale streścił psychologiczne poglądy Lewes'a, rozproszone po rozmaitych jego dziełach, tak, że gdyby nawet mógł być mieć pod ręką ostatnie prace autora, studyum swoje prawdopodobnie po-

<sup>1)</sup> *Umysł i Ciało*, tłómaczenie z angielskiego. Warszawa, 1874.

<sup>2)</sup> *Logika* (dwa tomy). Warszawa, 1878. *Nauka Wychowania*. Warszawa, 1880.

większyłyby szczegółami, ale nie potrzebowałyby zmieniać opinii. Zdając sprawę z pracy francuzkiego autora i my także powtórzymy tylko głównejsze jęj punkta i rezultaty.

Jerzy Lewes był z zamiłowania fizyologiem, ale do oddania się fizyologii skłoniła go potrzeba. Gdy bowiem będąc jeszcze bardzo młodym, zamierzał napisać psychologią, przekonał się, że nie mógłby tego dokonać bez znajomości systematu nerwowego. Zabrał się więc do poznania anatomii i fizyologii, a to nietylko z książek, lecz przez własne doświadczenia w gabinecie. Ztąd w dziełach jego, dotyczących psychologii, przeważa strona fizyologiczna nad czysto psychologiczną.

Człowiek, mówi Lewes, jest nietylko organizmem zwierzęcym; jest on także jednostką w organizmie społecznym: ztąd działają na niego dwojakiego rodzaju pobudki, osobiste, egoistyczne, zwierzęce, oraz sympatyczne, ludzkie. Psychologia zatem, czyli nauka o zjawiskach umysłowych, powinna szukać potrzebnych dla siebie wiadomości w biologii i w socyologii. Błędem więc było, gdy wiadomości tych szukano tylko w obserwacji wewnętrznej, jak czynili metafizycy, lub gdy się ograniczano, jak biologowie postępowali, na kombinacji danych, wziętych z obserwacji wewnętrznej, z objawami procesów nerwowych. Podobnie jak biolog powinien uważać życie za fakt ostateczny i badać tylko warunki i prawa, którym objawy jego ulegają, tak i psycholog musi uznać *świadomość*, czyli ściślej mówiąc *czucie*, za fakt ostateczny i badać jego warunki i prawa. Długi czas filozofowie myśleli, że można badać umysł nie zwracając uwagi wcale, lub bardzo mało, na organizm, od którego zależy. Psychologowie uważali „metodę wewnętrzną” za wystarczającą, a chociaż fizyologia już zdobyła pewne wskazówki, co do zależności faktów umysłowych od procesów nerwowych, oni jednak zapewniali, że świadomość nic nam o tęg zależności nie mówi i dlatego twierdzili, że ich fizyologia nie obchodzi. Ale psychologia nie oświecona biologią, podobną jest do astronomii Chaldejczyków, nieopartęj na matematyce. Z tego wszystkiego wynika dla psychologa konieczność oparcia się na fizyologii.

Długo uważano mózg, jako główne sensorium, czyli siedlisko czucia, jako organ, do którego powinno dojść po nerwach wszelkie wrażenie, czyto od zewnątrz odebrane, czy biorące początek w stanie wewnętrznym organizmu. Otóż, doświadczenia Lewes'a przekonały go, że „system nerwowy *cały* (a więc nietylko mózg), ma jednakowe własności i jednakową budowę.” Z tego wynika, że fenomena psychiczne należy odnosić nietylko do mózgu, ale do całego układu tkanki nerwowej. Każdy ośrodek nerwowy stanowi niby całość w sobie, a jako *życie* jest harmonijném spóldziałaniem procesów, odbywających się w ośrodkach nerwowych, tak *świadomość*, inaczej *czucie*, jest harmonijném zgrupowaniem się czuć pojedynczych. Objaw więc ten, który uważany ze strony fizyologicznej, jest procesem nerwowym, uważany ze strony psychologicznej, jest procesem czuciowym. Jedność zaś tych czuć pojedynczych opiera się na jedności organizmu, który przedstawia nam syste-



mat rozmaitych organów żyjących niejako odrębném życiem, a połączonych w życiu w ogóle uważaném.

Z powyższej definicyi życia i świadomości widać, że Lewes znacznie różni się w ich pojmowaniu od dotychczasowych fizyologów i psychologów. O ile pojęcia te znajdują uznanie w dalszych doświadczeniach nad organizmem ludzkim, czas pokaże. Autor zresztą nie jest dogmatykiem i sam nie uważa ich za ostateczne.

Z kolei następują uwagi nad odruchami. Czynności odruchowe uważają pospolicie za takie objawy, którym nie towarzyszy świadome czucie. Lewes nie zgadza się na taki pogląd, co znów wynika z jego zapatrywania się na cały układ nerwowy, w którym mózg jest tylko jakby „naczelnym wodzem,” a ośrodki spełniają przeznaczenie pułkowników, kapitanów, sierżantów i kapralów. Chociaż naczelną wódz polegnie, jeszcze pułki mają swoich dowódców. Tak wygląda zwierzę, któremu mózg wyjęto; każda część organizmu ma swego pułkownika, lub kaprala. Innymi słowy, czucie koncentruje się nietylko w mózgu, lecz i w innych ośrodkach nerwowych. Szczególniej ważne jest znaczenie rdzenia kręgowego i odruchy, które od niego zależą. Otóż, ażeby dowieść, że odruchy są niezależne od czucia, należałoby wprzód okazać, że czynności rdzenia kręgowego są niezależne od czucia, a tego niedowiedziano. Tak więc, zdaniem Lewesa, odruch jest procesem grupowania się czynności nerwowych, stanowiącym fundament wszystkich objawów psychicznych.

Co do pojmowania instynktu, autor zbliża się do Spencer'a w tłumaczeniu objawów instynktowych, uważając je za doświadczenie odziedziczone po przodkach zwierzęcia i za fakt popierający hipotezę ewolucyi. Jużto wogóle filozofowie angielscy ze szczególném zamiłowaniem badają najniższe objawy życia psychicznego i analizę rozpoczynają od czynności, na które dawniejsza psychologia nie zwracała uwagi, chociaż bez ich rozumienia, nie można zrozumieć najwyższych zjawisk umysłowych, jakimi są: rozumowanie dyskursywne i czynności woli.

W końcu swojego studyum o Lewes'ie, zastanawia się Ribot nad jego teorią sennych marzeń i dziedziczności. Co do marzeń, bacząc na ciągle odbywające się procesa nerwowe, póki organizm żyje, należy przypuścić, że i paralelne z nimi objawy czucia raz świadomego, drugi raz nieświadomego, także ciągle istnieją: gdy czucie jest świadome, nazywany je myśleniem, gdy nieświadome, marzeniem. Pytanie o dziedziczności pewnych dążeń, czyli pewnej dyspozycyi organizmu, tak pod względem somatycznym, jak i psychicznym, Lewes rozwiązuje twierdząco, to jest, łączy się z hipotezą, według której potomstwo odziedzicza po rodzicach pewne skłonności, tak cielesne, jak i umysłowe. Wynika to ze związku krwi między rodzicami a potomstwem. Zresztą autor zna i słabe strony hipotezy; wié, że niejednen mądry ojciec zostawił po sobie syna idyotę, ale większość przeciwnych wypadków zdaje mu się przemawiać za uznaniem dziedziczności, jako prawa pozwalającego wy-

tłómaczyć wiele zjawisk psychicznych, niepodobnych do zrozumienia bez tego czynnika.

Ostatnim z psychologów angielskich, któremu Ribot, kłótką poświęca wzmiankę, jest Samuel Bailey. Nie jestto pisarz młody, pierwsza bowiem jego praca, zatytułowana *Jednośtajność przyczynowości*, sięga r. 1826. Znacznie później, bo już po r. 1855 ogłosił: *Listy o filozofii umysłu ludzkiego, Teorię rozumowania, Przegląd Berkeleyyowskięj teorii widzenia* i inne. Bailey, jako psycholog, stoi na granicy między starą psychologią a nową. Jeszcze po staremu dzieli umysł na rozmaite władze i podaje słowną ich analizę. Do fizjologii niema zaufania i nie wierzy, ażeby znajomość procesów fizjologicznych miała się w czémś przyczynić do lepszego poznania zjawisk umysłowych. Za to łączy się z nowszą psychologią w pojmowaniu wolności woli, redukując cały spór w tej sprawie do obrony przyczynowości czynów ludzkich. Czyny wolne wynikają z pobudek, i jako takie, mogą być z pewnem prawdopodobieństwem przewidziane naprzód. Spełniając takie czyny, nie powodujemy się jednak swawolą czy kaprysem: idziemy za pobudkami, co nie znaczy stracenia woli. Wciskanie między wolą a pobudki jakiegóś konieczności, zamiast mówienia, że pobudki wprost skłaniają wolą do działania, tylko gmatwa całą tę sprawę.

Ażeby powyższy przegląd psychologii angielskiej mógł być zupełny, należałoby doń wciągnąć sprawozdanie z dzieł Carpenter'a, d-ra Laycock'a, d-ra Maudsley'a, Darwina, Sully'ego, Morell'ego, Murphy'ego i innych, które się ukazały po wyjściu książki Ribot'a. Sam on zaledwie po kilka lub kilkanaście wierszy na wzmianki o tych autorach przeznaczył, tłómacząc się tém, że lubo w dziełach ich znajduje się po kilka rozdziałów z zakresu psychologii, przeważnie jednak traktowali oni fizjologią i patologią lub nauki przyrodzone. Nadto, dla całości obrazu, trzebaby się rozprawić z przeciwnikami psychologii doświadczalnej, i podać krytykę samych empiryków, o ile ich tłómaczenie faktów psychologicznych na krytykę dozwala. Ribot jednakże ograniczył się do wykładu i streszczenia dzieł głównych pisarzy filozoficznych angielskich. Wykład ten, co do wierności i zgodności z tekstem rozbieranych dzieł, nie pozostawia nic do życzenia, i dla każdego, kto niema czasu na studyowanie kilkunastu grubych woluminów, może służyć za doskonałą introdukcją do psychologii. Na ostatku, autor zebrał w kilkunastu propozycyach rezultaty społecznej psychologii angielskiej. Powtarzamy tu dosłownie, gdyż dobrze charakteryzują cały empiryczny kierunek filozofii wogóle, a w szczególności psychologii.

Oto są te propozycje:

Zadaniem i przedmiotem psychologii są zjawiska świadomości, ich prawa, przyczyny bezpośrednie i warunki. Zakłada ona sobie

bądź analizę faktów złożonych, bądź okazanie jak się tworzą przez syntezę, z faktów prostych. Zajmuje się ona tylko zjawiskami. Czém jest dusza lub umysł, nie wie. Pytanie to leży poza jej sferą, i dlatego odsyła je do metafizyki. Nie jest ona ani spirytualistyczną ani materialistyczną: jest zaś doświadczalną.

Metoda jej dwójaka: bada zjawiska psychologiczne podmiotowo, przy pomocy świadomości, pamięci i rozumowania; przedmiotowo zaś, przy pomocy faktów, znaków, mniemań i czynów, które je wyrażają.

Psychologia nie ogranicza się do badania faktów świadomości tylko dojrzałej, lecz usiłuje wykryć jej rozwój. Zawiera tedy niby embryologią świadomości.

Posiuguje się też metodą porównawczą. Nie gardzi najniższemi nawet objawami życia psychicznego, pamiętając o tém, że i dla fizjologii porównawczej badanie niższych organizmów było bardzo użyteczne.

Świadomość, jestto wyraz, który oznacza jaknajogólniej rozmaite objawy życia psychicznego. Składa ją nieustający bieg wrażeń, wyobrażeń, pożądań, uczuć i t. d.

Pierwszym faktem zasadniczym, stanowiącym świadomość, jest postrzeżenie różnicy. Drugim takimże faktem jest postrzeżenie podobieństwa.

Jedynym faktem psychologicznym, pierwotnym i niedającym się zredukować, jest: *czucie*.

Rozmaite nasze czucia, czyli wrażenia można rozklasyfikować na siedm grup naczelných: 1) czucia mięśniowe; uczą nas one, jaka jest natura i stopień wysiłku naszych mięśni; 2) czucia organiczne, które nas uczą o dobrym lub złym stanie naszych organów wewnętrznych; 3) smak; 4) węch; 5) dotyk; 6) słuch; 7) wzrok. Czucia ostatniej grupy są najwyższe i najważniejsze; one jedynie wraz z czuciami słuchowemi mają charakter estetyczny.

Prawem najogólniejszém, któremu ulegają zjawiska psychiczne, jest *assocyacya*, czyli *kojarzenie*. Dzięki swojej ogólności, może ono być porównane z prawem ciężenia powszechnego w świecie fizycznym. Kojarzenie odbywa się bądź między faktami tej samej natury np.: wrażenia kojarzą się z wrażeniami, wyobrażenia z wyobrażeniami, pożądania z pożądaniem i t. d.; bądź między faktami odmienną natury, np. uczucia kojarzą się z wyobrażeniami, wrażenia z pożądaniem i t. d.

Dwa fakta naczelne, służące za podstawę kojarzeniu, są: podobieństwo i przyległość (*la contiguité*).

Kojarzenie tworzy bądź kolejne następstwa, bądź spółbytności (*simultanéités*).

Przedmioty, które nazywamy zewnętrznymi (np. człowiek, dom), są to aggregata, czyli skupienia utworzone przez skojarzenie spółbytności (t. j. spółbytnych własności każdego przedmiotu). Jakim sposobem rodzi się w umyśle pojęcie o nich?

Pojmowanie świata zewnętrznego nie jest stanem czysto biernym, w którymby umysł, na kształt zwierciadła, z konieczności odbijał

przedmioty. Jestto dzieło wspólne i podmiotu czującego i przedmiotu uczuwanego (Ostateczna odpowiedź na to pytanie, przekracza za sferę psychologii doświadczalnej: Stuart Mill i Bain przechylają się pod tym względem do idealizmu, Spencer do realizmu).

Mniemanie, że świat materyalny, uważany sam na sam, nie jest wcale podobny do postrzeżeń, jakie o nim mamy; mniemanie to zgadza się z danymi naukowemi.

Nasze zatem postrzeżenia, czyli pojęcia, są to stany wewnętrzne umysłu, które *odpowiadają* rzeczom zewnętrznym, ale nie są do nich *podobne*. Gdy np. postrzegam dąb, postrzeżenie moje odpowiada szczegółowemu przedmiotowi zewnętrznemu, *ale nie jest jego kopią*.

Postrzeżenie jest więc rezultatem, który się różni od swoich spólczynników (t. j. podmiotu i przedmiotu), tak jak woda różni się od tlenu i wodoru, z których się składa.

Spółrzędne wyrazy „podmiot” i „przedmiot,” są dwoma terminami najmniej jeszcze ułomnemi do wyrażenia zasadniczego przeciwieństwa, jakie zachodzi między poznaniem a bytem. Materya i Umysł, świat Zewnętrzny i Wewnętrzny, są synonimami przedmiotu i podmiotu, ale prowadzą za sobą dwuznaczność.

Doświadczeniem zasadniczym, niedającym się zredukować, a z którego powstaje w nas pojęcie o świecie zewnętrznym, jest *opór*.

Ponieważ zjawiska umysłowe mają tę własność, że trwają pewien czas, zostawiają ślad po sobie, i znów się ukazują, powstaje z tego pamięć i wyobraźnia. Kojarzenie jest fundamentem tych zjawisk, chociaż nie tłumaczy wszystkich całkowicie.

Pytanie co do natury wiary (*belief*), twierdzenia czegoś, niejednakowo rozwiązują psychologowie tego kierunku. Jedni (jak starszy Mill i Spencer) tłumaczą wiarę przez skojarzenie nierozzerwalne; drudzy (Bain i młodszy Mill) widzą w niej pewną formę naszej natury czynnej, t. j. naszej woli.

Rozumowanie, uważane w pierwotnej swojej formie, postępuje od szczegółu do szczegółu. Z nagromadzonych prawd szczegółowych tworzą się sądy, propozycje ogólne; rozumowanie nazywa się wtedy indukcyą. Sąd ogólny jest jakby *registrem pro memoria*, w którym zanotowano szczegółowe dane, i służy za punkt wyjścia dla dedukcyi.

Wogóle, rozumowanie uważane w swojej całości, rozpoczyna się od szczegółu i prowadzi do szczegółu za pośrednictwem ogółu (sądu ogólnego), będącego zbiorem szczegółów.

Syllogizm nie jest wcale typem rozumowania, ale właściwie procesem sprawdzania.

Co do początku wyobrażeń (idei) filozofowie, o których była mowa, nie łączą się ani z sensualistami (Locke, Condillac), ani z racjonalistami (Kartezjusz i Leibnitz), ani z krytycyzmem (Kant).

Mówią oni do sensualistów: wasza hipoteza, jakoby umysł był „niezapisaną tablicą,” jest fałszywa i przeczy faktom. Zapomina ona, że umysł w akcie poznania, tyle co najmniej zostawia swego, ile przyj-

muje. Zkąd bowiem pochodzi, że dwaj ludzie, którzy przeszli tę samą edukacją, doznawali jednakowych wrażeń, żyli w tém samym otoczeniu, a jednak różnią się zupełnie od siebie? Sam ten fakt jużby zachwiał waszą teorią.

Do racjonalistów mówią zaś tak: Słusznie twierdzicie, że w akcie poznania jest coś, co od umysłu idzie; ale wasza hipoteza o ideach wrodzonych, tkwiących jako możebność w umyśle, nie może się ostać. Cóżto bowiem za idea, która istnieje w stanie ukrytym, o której się nie myśli? Zresztą, jeżeli te wyobrażenia są pierwotne i gotowe w umyśle, dlaczego się tak późno zjawiają, zamiast coby miały być najpierwsze w porządku chronologicznym?

Do Kantystów nareszcie mówią: Wasza doktryna transcendentalna o *formach* myślenia, przydatna w logice, nie jest warta w psychologii. Prawda, że te formy znajdują się na dnie naszych wiadomości, gdyż można je z nich wydobyć; ale jakim sposobem one się tam dostały? Chodzi tu o ich genezę, czego nie rozstrząsacie, ponieważ rozumiecie zawsze w tém przypuszczeniu, że macie przed sobą umysł dojrzały i zupełnie rozwinięty.

Porzuciciwszy więc te rozwiązania, szkoła empiryczna podaje swoje. Przynajmniej ona umysłowi samorzutność, dzięki której tenże przeraabia, i przekształca materyały przychodzące doń zewnątrz; ale ta samorzutność jego ma swoje źródło w organizmie, a szczególnie w konstytucyi układu nerwowego. Niektóre właściwości tłumaczą się przez odziedziczenie.

Słowem, rozwiązanie to, jest fizyologiczną przemianą doktryny Kantowskiej o formach myślenia.

Dwa najogólniejsze stosunki, które umysł ludzki pojąć może, są: kolejne następstwo (lub wprost klejność) i spółbytność. Stosunek, wyrażający kolejność, jest wielce prosty i stanowi pierwotny fakt świadomości.

Stosunek, wyrażający spółbytność, jest zdwojeniem poprzedniego; polega on na kolejności, która może być odwróconą, t. j. że można o niej myśleć najprzód w pewnym porządku, a następnie w porządku odwrotnym, np. od A idąc do C, lub od C do A.

Ze stosunkiem kolejności łączy się bardzo ważne pojęcie przyczyny, czyli jak ta szkoła nazywa, pojęcie następniczości (*la sequence*); stanowi ono jeden z przypadków kolejności.

Przyczynowość jest kolejnością stałą i jednostajną.

Niezmienny poprzednik nazywamy przyczyną; niezmienny następnik, skutkiem. Przypuszczenie jakiejś siły, która tajemniczo łączy oba terminy, jest płodem imaginacyi i wikła niepotrzebnie stosunek przyczyny ze skutkiem. Mowa tu o przyczynach, które same są także zjawiskami.

Ogół stosunków, wyrażających kolejność, stanowi *czas*. Ogół stosunków wyrażających spółbytność, nazywa się *przestrzenią*.

Charakter nieskończoności, przywiązany do wyobrażeń czasu; przestrzeni, t. j. niemożność z naszej strony pojęcia ich granicy, wy-

nika z prawa kojarzenia. Nie możemy myśleć o jednej chwili czasu, żeby się zaraz nie budziło wyobrażenie następnej, i tak dalej. Tak samo rzecz się ma z przestrzenią. Kojarzenie takie jest nieuniknione, ponieważ dane, wzięte z doświadczenia, a służące wyobrażeniom tym za podstawę, zawsze były takie same, bez wyjątku.

Rezultaty badań czynionych przez szkołę empiryczną angielską nad zjawiskami uczuciowymi, t. j. nad wzruszeniami, są mniej zadawalniające. Oto kilka punktów, co do których panuje zgoda.

Dwa fakta zasadnicze w tym porządku są: przyjemność i przykrość

Wzruszenia są dwójakiego rodzaju: proste i złożone.

Nie masz zgody ani co do nazwy, ani co do liczby wzruszeń prostych. Uczucia estetyczne i moralne zgodnie uważają za złożone wzruszenia.

Wola ma swoje źródło bądź w energii organizmu, bądź w instynktach, żądach i namiętnościach. Wola, gdy dojrzeje, jest siłą kierowniczą. Nim jednak dojrzeje, przebywa wiele prób, usiłowań, przegranych i zwycięstw. Wola, która z pozoru wygląda na siłę prostą, jest machiną bardzo skomplikowaną. Czyny dowolne ulegają prawu powszechnej przyczynowości. Sąż one naszym dziełem? Niewątpliwie; gdyż są rezultatem wszystkich stanów świadomości poprzedzających zdecydowanie się, czyli postanowienie; a zaś ogół tych stanów świadomości, stanowi nasze *Ja*. Sąż one wolne? Pytanie to bez potrzeby i znaczenia, a więc nie dające się rozwiązać. Właściwie pytanie owo, tak jak je metafizycy czynią, znaczy w gruncie: sąż czyny nasze bez przyczyn, pobudek, motywów? Oczywiście, że nie! Ale dlatego nie przestają być wolnymi i naszymi.

Psychologia tak rozumiana może i *powinna* być umiejętnością odrębną. Ale nie może i nie powinna się odosabniać od umiejętności sąsiednich, mianowicie od fizjologii; a nawet, ściśle rzecz biorąc, trudno między niemi poprowadzić wyraźniej linii granicznej, gdyż niektóre zjawiska należą tak do jednej, jak i do drugiej.

Psychologia opierając się na fizjologii, sama służy za podstawę naukom moralnym, społecznym i politycznym. Należy ją więc uzupełnić nauką praktyczną: *Ethologią*, czyli umiejętnością o tworzeniu się charakterów bądź indywidualnych, bądź narodowych.

Jakkolwiek, sformułowane w ten sposób rezultaty badań psychologicznych, dokonanych przez szkołę doświadczalną angielską, nie znajdują się *dostłownie* w roztrząsanych dziełach; i chociaż może nie każdy z autorów, o których była tu mowa, wszystkie te propozycje uznałby za swoje: niemniej jednak wszystkie dają się z prac ich wyciągnąć i stanowią ogólną charakterystykę ich kierunku naukowego.

(*Dokończenie nastąpi*).

RZUT OKA

na rozwój sztuki w ogólności, na jój dzieje i stan  
obecny u nas.

PRZEZ

*Karola Matuszewskiego.*

Zadanie sztuki. — Trzy kierunki w dążeniach ludzkości. — Historyozoficzna strona dziejów sztuki. — Znaczenie starożytnego Wschodu w jój rozwoju. Okres symboliczny. — Sztuki w Grecyi i Rzymie. Okres klasyczny, kult formy. — Upadek pogańskiej kultury. — Młodzieńcze społeczeństwa chrześcijańskie. — Ich długowiekowa bezwładność umysłowa. Wieki średnie. — Epoka odrodzenia. — Charakter ostatnich stuleci. — Publicystyka wobec sztuki. Niepowodzenia naszych specjalnych organów. — Zaczątki sztuki w Polsce. Panowanie stylu romańskiego. — Powody jego upadku. — Powstanie i szerzenie się stylu ostrołukowego. Jego rozkwit w Polsce. — Ożywiony okres w dziejach sztuki krajowej. — Dążność do indywidualizowania postaci jest jego znamieniem. — Upadek malarstwa i snycerstwa cechowego. — Napływ artystów cudzoziemskich i odrodzenie w Polsce. — Jego charakter i wpływ na sztukę miejscową. — Okres naśladownictwa. — Dźwiganie się narodu z upadku. — Zwiastuny odrodzenia się sztuki swojskiej. — Zwątpienie w możność jój zaszczepienia. — Malarstwo wchodzi na zdrową drogę. January Suchodolski. — Rozkwit sztuki w czasach ostatnich. — Krajowe wystawy dzieł sztuki.

Prawda, dobro i piękno, to jakby trzy punkta wytyczne na odległym widnokregu ludzkości, ku którym ludy parte potrzebą wewnętrzną, świadomie bądź nieświadomie, dążyły i wiecznie dążyć będą. Te trzy cele musiały téż wytworzyć w działalności umysłowej człowieka trzy odpowiednie kierunki, trzy różne drogi zaspokojenia jego potrzeb duchowych. Jak bowiem w dziedzinie wiedzy pragnie on przyjsć do posiadania stałych dla niój punktów oparcia, któreby mu pomogły do odkrycia prawa ogólnego, rządzącego zjawiskami otaczającego świata; jak w zakresie swych czynności nie przestaje on dążyć do dobrego,

by przez to spokój swój moralnej okupić istoty: tak w sferze zjawisk zmysłowych usiłuje znaleźć kształt, który łącząc w sobie urzeczywistnienie idei ładu i prawidłowości, zadowolilby go swą doskonałą harmonijnością. Tymto poszukiwanym kształtem jest właśnie piękno, zaś najszczytniejszym tego ostatniego wyrazem—ideał, który jest sztuki zadaniem. Niedołężne próby ludów pierwotnych osiągnięcia piękna kształtowego, owe nieforemne linie, kreślone niepewną jeszcze ręką na popielnicach i wyrobach z kości, są już objawem budzących się pragnień estetycznych.

Z dziejów wiadomo, że dążenia w tych trzech powyżej zaznaczonych kierunkach, jakkolwiek współrzędne i z jednego płynące źródła, zachowują między sobą różny, względnie do czasu i miejsca stosunek; z kąd znów wynika, że i udział ich w ogólnej sumie pracy duchowej, w danym dziejowym momencie, jest nierówniej doniosłości. A jakkolwiek ciągłość ich nie ulega nigdy zupełnej przerwie, nie zdaje się przecież istnieć między nimi żadna równoległość; owszem, w skutek oddziaływania mnóstwa nieobliczonych czynników, ten lub ów kierunek w danej chwili przemaga, wszystkie niemal siły absorbując, dopóki z kolei innemu nie ustąpi miejsca. Zauważyć też można, że systemy religijne, filozoficzne, prace prawodawcze i t. p. zdobyte ducha, poprzedzały prawie wszędzie okres rozkwitu sztuk pięknych; i następstwo takie jest niezaprzeczoną wyrazem logiki dziejowej, uszlachetnione bowiem pragnienia estetyczne, będące nieodzownym warunkiem rozwoju sztuki, wówczas dopiero wynurzyć się mogą, gdy już ludzie swe naglejsze, bezpośrednie zaspokoili potrzeby, i gdy, przez osiągnięcie pewnych rękojmi porządku społecznego i moralnego, dźwignęli się na wyższy cywilizacji szczebel.

\* \* \*

Dzieje sztuki wogóle, to najwymowniejsza ilustracja do dziejów stopniowego wyjarzmiania się ducha ludzkiego z pod władzy materji; to najplastyczniejszy obraz jego walk, niemocy, zwątpień i tryumfów. Cokolwiek od najdawniejszych czasów ludzkość czuła i myślała, co kochała lub nienawdziła, w co wierzyła i czego pragnęła: wszystko to wyraziło się w sztuce. Z odgrzebanych jój szczątków, które całe tysiące lat w ziemi spoczywały, odtworzyć się dziś dają z pewną dokładnością dzieje i charakter ludów, po których pozostały. Pokruszone te ręką czasu głazy i marmury, których przed wiekami tknęło się dłu-to snycerza; te góry całe granitu i cegieł, z których wyczytać jeszcze możemy myśl budowniczego co je spiętrzył, odgadnąć cele, dla zadośćuczynienia którym zostały dźwignięte; prawią dziś zdumionemu wędrowcowi iście czarodziejskie baśnie o tych odległych wiekach: są jakby skamieniałym echem tego życia, co kipiało niegdyś tam, gdzie dziś głucha zaległa pustynia. Dzieje sztuki, pospołu z dziejami politycznymi, literaturą i umiejętnościami zakreślają w pochodzie wieków wyraźnie tę ścieżkę, którą ludzkość w swym dziejowym rozwoju przebiegła;



a témsamém umozebniają poniekąd odgadnięcie dalszego jój kierunku. Sięgnijmy myślą w odległe czasy starożytnego Wschodu, gdzie się zawiązały pierwsze społeczne ogniska. Umarły dawno ludy, co zamieszkiwały brzegi Eufratu i Tygru, i niewielebysmy o ich długiem istnieniu wiedzieli, gdyby nie doszły do nas zabytki ich sztuki: ta kamienna puścizna starego świata. Z niejto naocznie się przekonywamy, jak w tych odległych, mgłą wieków zasłoniętych czasach, niemowleca jeszcze myśl ludzka mocowała się bezsilnie z materją, zmuszając ją do mówienia; a niezdoławszy przeniknąć głazu, w którym się wypowiedzieć pragnęła, zniemożona, bezsilna, zawisała na nim w postaci symbolu; lub rozgorączkowana łączyła z sobą w najdziwaczniejszy sposób kształty roślinnego i zwierzęcego świata i, w oczywistój z rozsądkiem rozterce, majaczyła wytwarzając niebywałe potwory. Nad Indusem i nad Nilem powtarza się to samo, i ztąd słusznie cały ten długi okres w dziejach sztuki nazwę symbolicznego otrzymał. Myśl nie wzniosła się tu była jeszcze na tyle, by zrównoważyć wpływ materji, by opanować formę; nastąpiło to dopiero później, w Grecji i Rzymie, a postęp ten w dziejach ducha ludzkiego przez cały szereg wieków przygotowanym być musiał. W Grecji widzimy myśl dźwigającą się z poniżenia i zespalającą z formą, a z tego szczęśliwego zrównoważenia się dwóch czynników powstał ów cudny, pełen młodzieńczego uroku okres klasyczny; okres, w którym rozbijała wyobraźnia przyoblekając myśl każdą w odpowiednie kształty, stworzyła cały szereg obrazowych mytów, wyrażających prawdy bądź duchowego, bądź materialnego porządku. Dlatego jestto przedewszystkiem okres największego rozkwitu sztuk plastycznych. Wobec mytów, symbole ledwie drugorzędne zajęły miejsce, a mistrze owój epoki stworzyli dzieła, których świat nigdy podziwiać nie przestanie i które są może ostatnim wyrazem plastyki.

Atoli pogański kult formy nie mógł być ostatecznym celem w umysłowym rozwoju świata: postępująca ciągle ludzkość nie zatrzymała się też na nim. Niebawem nowa idea zaświtała i wstrząsnęła podwalinami starego świata, którego godzina wybiła. Runęli bogowie z piedestałów, druzgocąc wszystko dokoła; opustoszały ich ołtarze, zachwiała się i rozprysła wiara w Olimp: bo oto w ziemi żydowskiej powstał „Syn człowieczy” i nową erę świata zapowiedział. Przewrót był burzliwy, straszny; ale z chaosu tego, ze zgliszcz, krwi i gruzów wyłaniał się zwolna świat odnowiony. Skonała światowładna Roma, wypowiedziawszy ostatni wyraz swój politycznej mądrości. Młodzieńcze społeczności chrześcijańskie, zerwawszy ze starym, pogańskim świata porządkiem, bez tradycji za sobą, wybrały się niejako bez zasobów w dziejową wędrówkę. Wpadły też niebawem w stan dziwnój bezwładności, w którym całe wieki przetrwały. Tak przeszła w dziejach długą ową noc wieków średnich. Mistyczny absolutyzm ducha, pogarda materji, formy i wszystkiego co z nią w bliższym związku, to główne znamiona umysłowych objawów tego okresu. Nigdzie się też nie wypiętnowały one wyraźniej, jak w sztuce. W niej unaocznia się cały

wstręt do formy, którą myśl ludzka, w poczuciu swój potęgi, już za niewystarczającą jej potrzebie, za krępującą jej swobodę uznała; pasuje się ona z nią, pragnąc z tych więzów wyzwolić i kruszy w końcu ową harmonijną równowagę, będącą starą, pogańską kulturą owocem. Wszystkie sztuki wieków średnich najdowodniej to poświadczają. Architekci ówcześni zdają się natrząsać z praw materji; snycerze i malarze, choć im doskonałych wzorów pod ręką nie brakło, ignorowali je zupełnie, a głównie treścią swych dzieł zajęci, to jest tém, co w nich wyrazić chcieli, o formę wcale się troszczyć nie zdają.

Na zrębie nowożytnych czasów, zerwana równowaga między myślą a materją, treścią a formą, powraca znowu, atoli tym razem niema już mowy o ich równości, o takiem jak w Grecji bratniem ich skojarzeniu: wyniosła myśl dyktuje warunki sojuszu sponiewieraną formie, której potrzebę uznać jest zmuszoną; i tak po długowiekowej waśni staje znów dzieło pokoju, dzieło świadomego tym razem zespolenia dwóch czynników, którego owocem owa bajecznie świetna epoka odrodzenia sztuk i umiejętności: epoka Rafaelów, da Vincich, Fra Bartolomeów, Buonarottich, Tycyanów i całej plejady niezrównanych mistrzów, którzy potęgą swego twórczego geniuszu dziś jeszcze świat zdumiewają.

Poczynająca się z reformacją era systematów filozoficznych, doktryn mających ludzkość uszczęśliwić i politycznych przewrotów; idealizm i materyalizm, i wszystkie owe oscylacje myśli ludzkiej, jakich obraz dają nam ostatnie wieki, znalazły taksamo swych plastycznych interpretatorów i apostołów w dziedzinie sztuki, w której odtąd najrozmaitsze krzyżują się i ścierają prądy. Styl odrodzenia w budownictwie, wytworzony na antykowych motywach, paczy się wkrótce i wyradza w różne odmiany kapryśnego baroku; i dopióro współcześni nam artyści pojęli lepiej architektoniczne piękno linii, ale i ci ponad eklektyzm wznieść się nie zdołali: nie wystrzeliła żadna oryginalna myśl będąca nowego stylu zapowiedzią, chyba za próby w tym rodzaju uważać zechcemy godny zaiste naszego wieku wynalazek: architekturę ze szkła i żelaza (Pałac Kryształowy w Sydenham, Muzeum Kensyngtońskie i t. p.). Rzeźba waha się między klasyczną tradycją, z którą jej zerwać trudno, a narzucanym jej przez nowatorów realizmem, który się jej dla miłości niby prawdy idealnych form wyrzec każe, niepewna, którą obrać drogę. Malarstwo dźwignąwszy się z upadku, sprowadzonego przez naśladowców Michała Anioła, zaciera w sobie wybitne cechy pierwotnych szkół włoskich; rzechy nawet można, że od czasów Caraccich, jedna już tylko powszechna istnieje szkoła, która wszystkie inne pochłoneła, usiłując przyswoić sobie ich zalety; dostrzegane zaś różne jej odcienia, są tylko indywidualności artystów odbiciem. Klasycyzm, romantyzm, naturalizm, naprzemian znajdują zwolenników między artystami, którzy względnie do pierwiastków dominujących w ich talencie, grupują się jeszcze na rysowników i kolorystów, ale to bez względu na czas w którym żyją, i na naród do którego należą; kierunek kolorystyczny, re-

alny, stanowczo jednak bierze górę, z uszczerbkiem rysunku; malarstwo rodzajowe, najbardziej w guście naszych czasów będące, główne zajmuje miejsce; tradycja dawnego malarstwa historyczno-religijnego, prawie stanowczo niknie. Wspaniałe próby wskrzeszenia wielkiego stylu (Cornelius, Kaulbach) nie znajdują naśladowców; malarstwo krajobrazowe wchodzi także na nowe tory, żywioł uczucia, piękno wyrazowe, stanowczo w jego utworach przeważają i zapewniają mu powodzenie, wśród żyjącej nerwowo społeczności. Słowem chaos, z którego mimoto od czasu do czasu wyłania się jaka potężna indywidualność, zwracająca na siebie powszechną uwagę. Nie uplastyczniają się w tej mozaice dążeń i kierunków owa swoboda myśli i ruchu, znamionująca nasz wiek, ów popęd do nowatorstwa i do szukania dróg nowych?

\* \* \*

Z tego pobieżnego rzutu oka na rozwój myśli, z uwzględnieniem jej stosunku do formy, można osiągnąć tę pewność, że dzieje polityczne, stan piśmiennictwa, same nie dają nam jeszcze wyczerpującego obrazu prac i dążeń danego społeczeństwa; że obraz ten uzupełniają dopiero dzieje sztuki, uwydatniające niejedyn rys, który bez nich pozostałby niezrozumiałym.

Przodujące cywilizacji narody posiadają cały szereg pism specjalnych, poświęconych sprawom współczesnej sztuki; notują one wybitniejsze objawy w tej dziedzinie pracy, zwracają na nie publiczną uwagę, usiłują wytworzyć w szerszych kołach zdrowy sąd o nich i wpływać tym sposobem na uszlachetnienie publicznego smaku, któremu, trudno zaprzeczyć, artyści w mniejszym lub większym stopniu zwykli hołdować. Spełniając to zadanie, pisma owe strzegą sztukę, o ile w ich mocy, od wejścia na zdrańcze manowce. Nasze miejscowe stosunki nie pozwoliły dotąd na wytworzenie się takich specjalnych organów; ożywiający się atoli z każdym rokiem ruch w naszym peryodycznym piśmiennictwie budzi nadzieję, iż niedługo zapewne na ich ukazanie się czekać będziemy. Muzyka zdobyła się już nawet na swój organ (*Echo muzyczne*). Próby czynione w tym względzie przed laty, śnać były jeszcze przedwczesne; wydawany przez Podczaszyńskiego *Pamiętnik sztuk pięknych*, sprawom sztuk plastycznych poświęcony i *Ruch muzyczny* Sikorskiego, mimo usiłowań wydawców, nie utrzymały się. Inne organa naszej publicystyki, jako z obowiązku śledzące postępy i zwroty w różnych kierunkach społecznej pracy, starały się wedle możliwości tę lukę wypełnić; w publikowanych atoli pracach z zakresu sztuki przebijają się najczęściej dorywczość, brak ładu i systematyczności, od którego to braku, wyznajemy, i nasze pismo niezupełnie było wolne. Atoli jałowość usiłowań stworzenia krajowej szkoły malarstwa i rzeźby była tak długa, zwątpione w jej możebność tak niemal powszechne, a wawrzyny jakie nasi mistrzowie zebrali w ciągu ostatnich lat kilkunastu tak niespodziane, zdumiewające, iż nic zaiste dziwnego, że ogół rzec można nie przygotowany zastały do ocenienia

całej doniosłości tego nowego, tak wiele obiecującego zwrotu w rozwoju sztuki krajowej.

\* \* \*

Orły rzymskich legionów nie wdarły się były nigdy w lesiste obszary nad Wisłą i Odrą; ludy zamieszkujące te zapadłe krainy, oddalone o całe dziesiątki mil od najbardziej na północ wysuniętych granic potężnego imperyumu, leżały już poza sferą jego politycznego i cywilizacyjnego wpływu. Dopiero Chrześcijaństwo wniosło do nas potrzeby i pojęcia, będące wytworem rzymskiej cywilizacji, a więc i uprawę sztuki w ściślejszém słowa znaczeniu. A lubo dobrodziejstwa te dostały się nam względnie późno, bo dopiero w X wieku; lubośmy nie czerpali ich bezpośrednio u źródła, jak szczęśliwsze pod tym względem ludy zachodniej i południowej Europy, które z téj racyi musiały nas o kilka wieków wyprzedzić: tém niemniej Polska, przymknąwszy raz do grona chrześcijańskich społeczności, brała odtąd żywy i szczery udział w sprawach zaprzatających ówczesny świat cywilizowany, dzieliła jego mniemania i aspiracye, i była pod każdym względem dość wierném jego powtórzeniem, w zdrobniałej naturalnie skali. Więc i pierwiastkowe dzieje sztuki krajowej przedstawiają się w tych samych głównych zarysach, co dzieje sztuki innych współczesnych ludów katolickiego świata. Tak np., w architekturze naszych kościołów murowanych z XI, XII i pierwszej połowy XIII wieku, występuje na jaw charakter więcój, lub mniej rozwiniętego stylu romańskiego, panującego jednocześnie w całej katolickiej Europie; podobnie w rzadkich dziś z téj epoki malowidłach polskich uwidocznia się naśladownictwo bizantyjskich wzorów, których niezaprzeczone znamiona noszą wszystkie utwory ówczesnego malarstwa u obcych. Kształtujące się dopiero młode społeczności, nie skryształizowały się były jeszcze, nie przyszły do poczucia swych odrębności; w rzeczach sztuki snują one niejako dalej nić rzymskiej tradycyi, a mimo rzutkości ich młodzieńczej fantazyi, mimo coraz swobodniejszego jój polotu, nie mogą się one jeszcze wznieść do oryginalnej w dziedzinie formy twórczości. Témcı bardziej Polska, najmłodsza córka Kościoła, w téj pierwszej dobie swój sztuki, nie mogła na jój utworach wyręć piętna swój narodowej odrębności, na którą zdobyć się nie miała jeszcze czasu. Wielce ciekawe zabytki sztuki z tych czasów noszą więc ogólne cechy sztuki zachodnio-europejskiej; ale są one dotąd tak nieliczne, poszukiwania zaś w tym względzie tak jeszcze świeże i niedostateczne, że bliższe poznanie tego okresu czynią niemożliwém.

W epoce, o której tylko co mówiliśmy, idea chrześcijańska, która już od kilkunastu wieków światem cywilizowanym rządziła, nie posiadała jeszcze w sztuce właściwej do swego wcielenia się formy, nie wytworzyła dotąd owój odrębnej, oryginalnej, symbolicznej mowy architektury. Przekształcana stopniowo i do potrzeb Kościoła naginana stara rzymska bazylika, doprowadziła z biegiem czasu do téj architektonicznej kombinacji myśli i motywów, którą stylem romańskim zowieśmy. A jakkolwiek jest on niezaprzeczoným wytworem i własnością wieków

średnich, wiąże się przeciw wyraźną tradycją z architekturą pogańskiego Rzymu. Idea chrześcijańska ośwładnęła tu do pewnego stopnia dawnymi formami, podwyższyła ściany, wydłużyła słupy i okna, rozszarpała po nagłówkach i drzwiach mnóstwo ornamentów, rozwinęła łukowe sklepienia i całej budowli nadała wyraz nieznaną przedtém wysmukłości, lekkości. Ta sama atoli idea, której ten styl powstanie swe zawdzięcza, stała się następnie jego wyrodzenia i upadku przyczyną. Nie ustając bowiem w tém dążeniu do wydłużania form, do nadawania im coraz większej lotności i wzniosłości, w dalszym rozwoju przebija ściany oknami, łamie wydłużone nadmiernie łuki i sklepienia, które skutkiem tego z okrągłych w ostro-łamane przechodzą, i tak zaciera i niweczy jego cechy, dając jednocześnie początek nowej, nieporównanie smuklejszej i lotniejszej architekturze, nie krępowanej odtąd żadnymi więzami tradycji.

Średniowieczny świat chrześcijański zdobył więc nareszcie formę, w której mógł się wypowiedzieć całkowicie duch, co go nawskroś ożywił: formą tą stał się nowy styl ostro-łukowy. Wyzwolona już z więzów materji myśl ludzka, w religijném uniesieniu zdaje się chcieć samą teraz materję ożywić, uduchowić, porywać ją i wraz z sobą w nadziemskie, niebieskie unieść sfery. Gorąca wiara ludów, z której się w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa tak naiwnie wyśpowiadały w uroczych, poetycznych legendach, strzela teraz w górę snopami słupów i linii pionowych, gubiących się w tajemniczym pół-mroku pod wyniosłym, ostro-łukowem sklepieniem tumu. Styl ten, którego wynalazek, jak tyle innych rzeczy, Niemcy uzurpują, powstał właściwie w północnej Francji, w pierwszej połowie XIII wieku; ale rozszerzył się on bardzo szybko po wszystkich krajach katolickiej Europy, wszędzie trafił do przekonania, przyjął się, przyswoił i nie tracąc wyróżniającej go cechy, wszędzie miejscowy przybrał charakter.

Jak w kilka wieków później odrodzenie przez Polskę dostaje się do Niemiec, tak teraz styl ostro-łukowy przychodzi do nas przez Niemcy, zdaje się przez Zakon Krzyżowy. To tłumaczy nam owo powinowactwo, którego trudno niedopatrzyć między pierwszemi próbami naszych ostro-łukowych budowli, a niemieckim, zwłaszcza krzyżackim gotykiem. Budownictwo ostro-łukowe ukazuje się u nas już w XIII wieku, ale dopiero później, za Kazimierza Wielkiego i Jagiełły, przypada doba jego rozkwitu. Ze stylem ostro-łukowym poczyna się też w Polsce większe ożywienie artystycznej twórczości, pierwszy wydatniejszy okres w dziejach jej sztuki. Ostro-łuk stał się w zupełności stylem swojskim, zapadł w budownictwie, lecz odbił się zarówno w snycerstwie i malarstwie, które to sztuki zbudził z uspienia i do pomocy wezwał. Gotyckie bowiem budowle, zwłaszcza świątynie, bardzo szerokie pole zostawiały dla opisu snycerzy i malarzy, szczególnie tak zwanych „szklarzy,” trudniących się malowaniem na szkle. Wsiąkł on tak głęboko w obyczaj, że i miniatury, któremi rękopisy zdobiono, i dzieła złotników, i tkaniny wzorzyste, i wszelki wyrób rzemiosła, mniej

lub więcej z sztuką spokrewnionego, noszą na sobie wyraźne jego piętno.

W XIV już wieku znajdujemy ślady istnienia w Krakowie korporacji (cechu) malarzy, do której też snycerze i złotnicy należeli; ale dokładniejszych wiadomości o tych pierwszych związkach szkoły krajowej nie posiadamy: akta radzieckie Krakowa przekazały nam imiona wielu mistrzów cechowych, począwszy od XV wieku, ale na tém kończą się nasze o nich wiadomości. Obrazy z tych czasów zachowały się jeszcze tu i owdzie w kościołach krakowskich: a pewno nie jeden obraz, nie jedna rzeźba, zdobiąca dziś kościoły nasze po wsiach i miastach, pochodzą z pracowni dawnych cechowych mistrzów. Słowem, w sztuce weszliśmy już byli na drogę, która mogła i powinna była jej rozwój zapewnić. A byłby to zaiste ciekawy obraz tych ożywionych usiłowań, gdybyśmy go mogli w dokładniejszych, szczegółowych nakreślić rysach; niestety, nieliczne i niedość wyjaśnione pomniki, szczupłość, a często i niedokładność wiadomości zebranych przez naszych badaczy, nie dają w tym względzie wystarczających punktów oparcia. Zaznaczyc tu przecież wypada, że jak w całej ówczesnej Europie północnej, tak i w Polsce, wychodząca z dzieciństwa sztuka, zdaleka od klasycznych wzorów starego Rzymu, na których się włoscy mogli wyrabiać artyści, czerpiąc siłę jedynie w uczuciu religijnem, w żywej naturze i indywidualności artystów, poszła zgoła innemi torami. Jak nową i oryginalną formą w budownictwie był styl ostro-łukowy, tak z niemniej samorzutnym kierunkiem spotykamy się w ówczesnem snycerstwie. Utwory jego nie mogą się wprawdzie poszczycić tą czystością i szlachetnością kształtów, co współczesne mu dzieła włoskie, nie posiadają tych, co one plastycznych powabów; natomiast, obok prawdziwie nieraz dziecinnnej prostoty, ujawnia się w nich wyraźnie nieznaną tamtym (przynajmniej nie w tym stopniu) dążność do indywidualizowania postaci, do nadawania im charakteru, do wyrażenia w układzie figur ruchu, a w ich obliczach uczucie i namietności. Artyści oddalają się od ideału antycznego, ale o tyleż się zbliżają do otaczającej ich natury. Kierunek ten wypowiedział się bardzo wyraźnie w naszej sztuce, wyraźniej może, niż gdzieindziej, a ciekawym jego okazem są snycerskie dzieła słynnego Wita Stwosza (ołtarz w kościele N. M. Panny w Krakowie). Trzeźwy ten realizm, ten nowy zgoła żywioł sztuki, musimy bądź cobydź uważać za jedno z nowożytnych jej znamion; bo prąd ten, stłumiony na razie przez odrodzenie, nie przestał spodem nurtować i w późniejszych wiekach niejednokrotnie wynurzał się w literaturze i plastyce, z niezwykłą uwydatniając się siłą. Mamy i w naszych czasach tego przykłady.

Z powodów nie dość jeszcze wyjaśnionych, cechowe malarstwo i snycerstwo polskie, tak kwitujące w wiekach XV i XVI, przeminęło bez większego znaczenia, niemal bez wpływu na dalsze losy sztuki krajowej. Możliwy byłoby myśleć, iż fatum jakieś powstrzymało ich dalszy rozwój, i na śmierć bezpotomną skazało. Gdy we Francji i Niemczech sztuki, pod wpływem włoskiego odrodzenia, wyjarzmiaty się zwolna z więzów ce-

chowych i zdobyły w końcu zupełną swobodę wzrostu, nasi mistrzowie cechowi pozostali poza obrębem tego ruchu; owszem, wyjednywanemi u królów przywilejami usiłowali ochronić swe wyodrębnione położenie i zawarować się od niebezpiecznego współzawodnictwa „partaczy,” jak nazywano tych, co wyłamywali się z pod ustaw cechowych.

Stosownie do brzmienia tych ostatnich, każdy malarz, jeśli chciał zostać mistrzem (majstrem), zobowiązany był wykonać na próbę (majstersztyk) obraz N. Maryi Panny z Dzieciątkiem Jezus, Zbawiciela, i Ś-go Jerzego na koniu. Wogólności malarze ci w swych pełnych prostoty, naiwnych utworach, trzymali się prawdopodobnie tradycyjnych szablonów, malowali wyłącznie obrazy treści religijnej, poza czém nie widzieli już godnych swego pędzla przedmiotów. O stanowisku i wartości tego cechowego malarstwa daćby mogły najlepsze wyobrażenie utwory licznych dziś w Kijowie malarzy obrazów religijnych, którzy, mówiąc nawiasem, także wzięli początek od kolonii polskich artystów, którzy się tu w XVII wieku z Litwy przeniósłszy, założyli kijowsko-polską szkołę malarstwa; a utwory dwu braci Tarasiewiczów, stojących niegdyś na czele téj szkoły, dziś są jeszcze naśladowane przez tych kijowskich malarzy, którzy całą niemal Rosyją swemi „ikonami” zasypują.

Godniej, jak widzieliśmy, przedstawiało się snycerstwo i budownictwo, ale i te nie lepszego doznały losu: odrodzenie je zabiło. Przybywający tłumnie na dwory królów i możnowładców artyści zagraniczni, przedstawiciele sztuki wyzwolonej i odrodzonej, malarze, snycerze i architekci, po większej części Włosi, wznosili kościoły, zamki i pałace, zdobili je malowidłami i dziełami snycerstwa, przez co stawało się zadość wyrafinowanemu smakowi dworu i pewnej liczby wielkich panów; atoli na rolniczy i rycerski gmin szlachty, osiadłej po modrzewiowych dworkach, nie wywarło to żadnego wpływu; cudzoziemskie te kwiaty, hodowane sztucznie, nie trafiały mu jakoś do upodobania, nie uczuwał ich potrzeby. Nie posiadamy dotąd opracowanej wyczerpująco historii sztuki krajowej, któraby nam dostatecznie wyjaśniła ciekawość ten okres, i wytknęła przyczyny tego wyosobnienia się z ogólnego ruchu w Europie. Sama organizacja cechowa artystów, bądźco-bądź nie tłumaczy jeszcze tego zjawiska, bo ruch odrodzenia spotkał się z nią wszędzie, i wszędzie stawiane mu z téj strony tamy pokonał; powoływanie się na polityczny ustrój społeczeństwa, na charakter, sprawy i tryb życia przodującej klasy w narodzie—szlachty, nie wyjaśnia również tego objawu w przekonywający sposób. Te i inne znane okoliczności mogły bezwątpienia tamować chwilowo rozwój sztuki, opóźnić go, ale nie tłumaczyć dlaczego mianowicie sztuka cechowa nie przyjęła przechodzącej z Włoch reformy, która się w całej oświeconej Europie przyjęła? dlaczego tak obcą okazała się temu ruchowi, i przez to się na zagładę skazała? Nam się zdaje, że właśnie to wczesne i nagłe wkroczenie do nas odrodzenia, które królowa Bona i jej Włosi z sobą sprowadzili, to gwałtowniejsze niż gdziebądźindziej w Europie jego sze-

rzenie się, ów brak wszelkiego przejściowego momentu; wreszcie obca zgoła pojęcia, jakie przynosili z sobą włoscy artyści, dla których wszystko co na miejscu zastali, było barbarzyńskiem i pogardy godnem; ta właśnie wyniosła ich wyłączność, burząca wszystko i przekształcająca, a nie radząca się ani miejscowej tradycji, ani wymagań klimatu:—oto co musiało być główną przyczyną, że okres odrodzenia, odwiecznym prawem reakcji, wywołał głuchy opór i przeszedł u nas bez dodatniego wpływu na rozwój sztuki miejscowej; owszem, wywarł na nią wpływ ujemny, bo zatamowawszy jej samodzielny polot, zważył ją i zgubił.

Malarstwo nasze może najniżej miało do stracenia; atoli wyszłe już dawno z niemowlęctwa snycerstwo, młode, bujne, a osobliwie rozkwitające w najlepszym podówczas budownictwo ostrołukowe, najbardziej od tego przewrotu ucierpiały. Powstrzymany w rozwoju gotyk polski nie miał nawet czasu wypowiedzieć swego ostatniego wyrazu. Taki stan rzeczy stworzył anomalią; dwie sztuki, zasadniczo różne, a istniejące jednocześnie obok siebie: jedna z nich swojska, ale cechowa, w karby rzemieślniczej rutyny ujęta i pozbawiona poparcia ukształceńszej części narodu, wiedzie odtąd żywot marny i w końcu zamiera; druga obca, ale uprzywilejowana, modna, stojąca na wysokości wymagań wykwiutnego smaku i ciesząca się silnym poparciem dworu i możnych. Ta ostatnia stała się prawie wyłącznym cudzoziemców monopolem; zastęp ich musiał być ciągle odświeżany nowym kontyngensem przybyszów; ale usiłowania te nie zaszczyliły sztuki na gruncie, a utwory ich pędzla i dłuta zachowały zawsze charakter obcy. Wykształceni zagranicą artyści polscy, bo byli i tacy, jako obcych wzorów naśladowcy, zmiany sprowadzić nie mogli. Nawet w przecenianej za zwyczaj pod względem znaczenia dla sztuki epoce Stanisławowskiej, nie pozbyła się ona tego sztucznego, egzotycznego, obcego dla szerszej publiczności charakteru, nie wyszła prawie poza dworskie sfery. Szymon Czechowicz i Franciszek Smuglewicz rozwinęli wprawdzie wielką działalność; byli to artyści wysokiego polotu, zaprawieni na najlepszych wzorach włoskich, znakomici kompozytorowie, i mnóstwo się po nich prawdziwie pięknych zostało obrazów; otworzyli nawet szkoły, w których młodzież uczyła się pod ich kierunkiem malarstwa; ale dwór jakoś usiłowań ich nie wspierał, może właśnie dlatego, że nie byli cudzoziemcami: nie odbiły się też one echem w narodzie. Zresztą, i to byli przedstawiciele włoskiego malarstwa.

Projekt akademii sztuk za Stanisława Augusta nie przyszedł do skutku, a otwarta przezeń szkoła malarstwa nie wydała spodziewanych owoców. Utrata politycznej niepodległości, upadek życia publicznego, nie mogły rokować i sztuce przyszłości. Ale ograniczona odtąd sfera działalności społecznej zmusiła obrócić niejako nawewnątrz i zewnątrz rozstrzelone przedtém siły. Wejrzano w siebie i zaczęto myśleć szczerze o moralnym i ekonomicznym podźwignieniu upadłego



narodu; usiłowania te nie zostały bezowocnymi: ożywił się ruch przemysłowy i handlowy, zakwitło ponownie i bujniej niż kiedy piśmienictwo, a niebawem i na odrodzenie sztuki przyjsć miała kolej.

Od początku już bieżącego wieku widać zabiegi instytucji i ludzi dobrej woli około podźwignienia, a raczej stworzenia, jak mniemano, sztuki krajowej; kilka bowiem wieków obcego naśladownictwa, spowodowana niém obojętność ogółu na to, co sztuką nazywano, wreszcie liczne a ciężkie kłeski publiczne, tak dalece zatarty w narodzie pamięć jój bujnego rozkwitu w okresie ostrołukowym, iż wyrobiło się dość powszechne przekonanie, jakobyśmy swojskiej sztuki nigdy nie mieli. Najważniejszym może do jój ożywienia krokiem, było otwarcie przy nowozałożonym uniwersytecie Warszawskim (1818 r.) wydziału malarstwa, na którym młodzież sposobila się w tej sztuce pod okiem zdolnych i sumiennych kierowników, jak: Józefa Brodowskiego, Kokulara i Blanka. Stary uniwersytet Wileński miał także podobny wydział, na którym naukę malarstwa udzielali tacy profesorowie, jak Smuglewicz i Rustem. Otwierali i artyści prywatne szkoły malarstwa u siebie, a lekcye rysunków wchodziły w program edukacji publicznej i prywatnej. Zaczęto urządzać wystawy obrazów w Warszawie, które później inne większe miasta naśladowały; i tak mnożyły się wskazówki, zapowiadające lepsze czasy. Nawet wypadki 1831 r. nie sparaliżowały tych usiłowań, choć może owoce ich opóźniły. Miejsce wydziałów malarstwa przy zwiniętych uniwersytetach w Warszawie i Wilnie, zajęła z kolei warszawska szkoła Sztuk pięknych, a wcześniej nieco rozwinęła swą działalność szkoła Sztuk pięknych w Krakowie. Młodzi adepci sztuki, wykształceni za granicą: w Rzymie, Monachium i Florencyi, zapoznawszy się z arcydziełami pierwszych mistrzów, powracali w domowe progi, wzbogaceni zasobem techniki i przejęci zamiłowaniem dla swego powołania. Zajęcie się losem sztuki ogarniało coraz większe kręgi, upodobanie do niej rosło; zczasem powstały stowarzyszenia (w Warszawie, Lwowie, Krakowie), mające na celu zachętę artystów i szerzenie dobrego smaku w publiczności. Światli obywatele, miłośnicy sztuki, zakładali prywatne zbiory jój zabytków, galerie obrazów, brali czynny udział w wydawaniu artystycznych publikacji i t. p. Prasa peryodyczna ze swj strony wspierała ten ruch pożądany: ukazywały się od czasu do czasu artykuły o sztuce i malarstwie w szczególności, zabierali głos J. I. Kraszewski, Ziemięcka, Smokowski (malarz), Michał Grabowski i wielu innych. Ostatni, oddawszy się z zapałem sprawie sztuki, piórem swém niemało się przyczynił do rozbudzenia życia artystycznego. Mimo to wszystko, nie brakło przecież sceptyków, według których sztuka była przywilejem innych narodów, np. Włochów; ci nie wierzyli w utworzenie się szkoły krajowego malarstwa. Taki np. znawca naszj społeczności, jak hr. Henryk Rzewuski, utrzymywał, że spodziewać się w Polsce malarstwa, tak nielogicznie, jak ekonomii politycznej u Węgrów, epicznej poezji u Ho-

lendrów. Podobnie Klaczko, w wydanej przez siebie broszurze, stanowczo możliwości zaszczepienia i rozwinięcia go u nas zaprzeczył; nawet wielki nasz wieszcz wierzył, że sztuki plastyczne nie godziły się z duchem narodu. Każdy z nich, w ustrój społeczny narodu i jego ducha wnikając, w różny sposób jednego chciał dowieść: że sztuki zawsze obcemi nam były, i że obcemi pozostać muszą. Zapomniano, że narody, to nie żadne stężełe, nieruchome masy; że to organizmy, które żyją i w ciągłym są ruchu; że dziś nie są tём, czём były dawniej, i że z żadnych danych przeszłości nie można wyrokować, jakie w przyszłości, przy zmienionych okolicznościach, przybiorą formy bytu, jakimi dalej pójdą drogami. Sam tylko rdzeń natury ludzkiej musi pozostać tём, czём jest, niezmienny. Słusznie też Michał Grabowski, zbijając jednostronne zapatrywanie autora *Soplicy*, twierdził, że ludy o danym charakterze, mogą się w szkole dziejowej uzdolnić do zupełnie czego innego, niż są dziś, czём były wczoraj, „bo to zawsze wprzód ludzie, niż Włosi, Holendrzy, Węgrzy.” Dziwić się zaiste musimy, jak ci, co własnymi oczyma patrzeli na tak wspaniałą rozkwit poezji, téj rodzonej sztuk plastycznych siostrzycy, która z tego samego źródła co one, siłę swą czerpie i tylko sposobem wyrażenia treści, formą, materiałem, różni się od nich; jak tacy ludzie, powtarzamy, mogli odmawiać narodowi zdolności do wcielania swych ideałów w rzeźbie i malarstwie?

Same wreszcie fakta zaprzeczyły najdowodniej tym jednostronnym teoryom. Pod wpływem nieustających usiłowań, budzą się drżące instynkta estetyczne, rodzi się potrzeba ich zaspokojenia, ukazują się coraz więcej talentów poświęconych uprawie sztuki, wynurzają się już nawet wybitniejsze indywidualności, zwiastujące zbliżanie się nowój w dziejach sztuki krajowej ery. Najdzielniejszym, najoryginalniejszym z przodowników na tём polu był niezaprzeczenie zgasły przed kilku laty w sędziwym wieku January Suchodolski. Prawda każe wyznać, że mieliśmy artystów lepiej technicznie wykształconych, lepszych kolorystów i rysowników; ale żaden z nich nie zyskał takiego uznania, takiej popularności. Tajemnica powodzenia Suchodolskiego w tём tkwiła właśnie, że czerpał treść do swych obrazów z życia narodu, że życie to rozumiał, odczuwał jego tętno, i to co czuł, oddać na płótnie potrafił. Malował on głównie sceny wojskowe, obozowe, a żywa jeszcze podówczas legenda wojen Napoleońskich, niedawna a tak obfita w wydarzenia epoka, wreszcie własne jego wspomnienia z życia obozowego, dostarczyły mu niewyczerpanego materiału, a oddziaływając na jego imaginacyę, zrobiły zeń to, czём był. Z artystów on najwięcej się przyczynił do podźwignienia u nas malarstwa, do zaszczepienia gustu do niego. Rozgłos Suchodolskiego swego czasu był olbrzymi: obrazy jego rozchwytywano, zasypywano go zamówieniami. Trafnie zauważył cytowany już przezemnie kilkakrotnie miłośnik sztuki i krytyk, że Suchodolski był dla odradzającego się malarstwa krajowego tem, czём dla narodowej poezji był Brodziński, z którym i to ma wspólnego, że tak jak tamten, był żołnierzem. Zrozumieli wreszcie

malarze (choć może nie wszyscy), że sama technika, choćby najpyszniejsza, nie tworzy jeszcze prawdziwego artysty; że forma domaga się treści; że chcąc trafić do uczucia narodu i sympatyę jego zjednać, należy do niego swojskim, zrozumiałym, serdecznym przemówić językiem; wyrzucić mu tajemnicę z pod duszy i wcielić w estetyczne kształty tak, żeby każdy, patrząc na nie, spotykał się z własnymi myślami i uczuciami, którychby jednak sam nigdy tak wymownie wyrazić nie umiał. Trzeba malować jego życie i dzieje, powaby ziemi, która tyle jego pokoleń wykołysała, a którą on — potem swojego czoła i strugami przelaną krwią napoił i użył: słowem, trzeba być malarzem narodowym. Tacy będą zawsze zrozumiani i uznanie nigdy ich nie minie. Od chwili, jak artyści polscy pojęli swe zadanie, los malarstwa krajowego jest zapewniony. I oto, po zejściu z pola owęj świetnej plejady poetów z Adamem na czele, którzy naszą literaturę do ogólnie europejskiego poziomu dźwignęli, po świetnym okresie w rozwoju muzyki krajowej, wynurza się niemniej wspaniała plejada malarzy, którzy, stanawszy odrazu na wysokości dzisiejszych wymagań, zaszczytne swemu krajowi w dziejach sztuki powszechnej zapewnili miejsce. Wystawa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, prywatna wystawa obrazów Ungra, wreszcie inne czasowo urządzone w naszym mieście wystawy, zapoznają publiczność z płodami odmłodzonego, zdrowo zakwitającego naszego malarstwa i nieco skromniej występującej rzeźby, jakoteż z przebijającymi się w nich kierunkami i dążeniami; ale to dopiero obraz cząstkowy. Lwów i Kraków posiadają bowiem również takie wystawy, a nadto niemała liczba utworów naszych malarzy zdobi wystawy zagraniczne: co wszystko dowodzi niezwykłego w pracy artystów ożywienia i dobrą jest przyszłości wróżbą. W szczegółowych sprawozdaniach z dziedziny malarstwa i rzeźby, którym niniejszy artykuł ma za wstęp służyć, postaramy się zapoznać bliżej czytelników z wybitniejszymi płodami i cechami naszych talentów.

OBRAZ HISTORYCZNY  
CYWILIZACYI SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO  
W WIEKU XII \*).

PRZEZ

*Dr. Stanisława Smolkę.*

Jeśli włość była obszerniejsza, a tém samém i więcej czeladzi potrzeba było do jój uprawy, chaty czeladnie leżały za częstokołem, dwór pański okalającym. Osiadła w nich ludność chłopska, uprawiała panu rolę, pasła bydło, łowiła ryby i barci pilnowała w lesie lub pełniła służbę w kuchni albo w komnatach, wszystko czyniąc według pańskiego upodobania i rozkazów włodarza. Rzecz jasna, że nie mogło tu być takiego podziału pracy, jak w rozległych posiadłościach książęcych lub kościelnych i cała ludność skupiała się zwykle przy dworze, bo na odrębne osady rybackie, bartnicze i służebne nie było ani potrzeby, ani dość miejsca w granicach pańskiej włości. Niejeden władyka posiadał kilka włości w rozmaitych stronach; gdzie więc nie miał swojego dworu, tam mu włodarz pilnował robót chłopskiej ludności i wszystkie plony odnosił do spichrza, dopóki synowie pańscy nie dorośli i w każdej włości nie pobudowali nowych dworów. Choć kto wreszcie, co najczęściej się zdarzało, na jednej tylko siedział włości, dosyć miał z niej zwykle pożytku, by nigdy braku nie zaznać, a ze sprzedaży skór i wosku zawsze się tyle okroiło, że i zbrojownię było z czego nowém kupnem pomnożyć i na ubranie kosztowniejsze starczyło, jeśli szatnię po przodkach odziedziczoną wypadło odświeżyć. Ale kiedy synowie podrośli i między nich jedyną włość wypadło podzielić, już im groziła bięda i nieuchronne stoczenie się z wyżyny społecznej władyki, jeśli nie gorszy jeszcze los w dalszych pokoleniach. Od tego jednak był władyka rycerzem, żeby temu zapobiedz i w synach jego nie na darmo rycerska krew płynęła; więc choć niewielką odziedzili ojcowiznę, mogli

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za sierpień r. b.

się sami czegoś lepszego dosłużyć. Nierównie też rządził synowie władzy spadali w poczet ubogich dziedziców, aniżeli dziedzice na chłopów schodzili lub wznosili się między rycerzy. Trudno było wprawdzie nową włość do dziedzicznej dokupić, bo choć mimo wspólności rodowych majątków, niejedna posiadłość była do nabycia, to nie każdy miał ze trzydzieści grzywien srebra albo i więcej gotówki, a tyle zwykle płaciło się za włość rycerską. To też nie sama próżność ciągnęła władków od rodziny i własnego domu na dwór książęcy, ale zarazem potrzeba i dbałość o los dzieci. Bo jeśli się udało pozyskać względy monarsze, a z nimi jakiś urząd na dworze, czy na którym z zamków książęcych, to ta służba zaszczytna, prócz nadziei dalszego wywyższenia i dochód także przynosiła, z którego czasem ładny grosz się uzbierał. Nieraz łaska książęca obdarzyła władkę, który umiał się koło tego zawiązać, nową jakiejś włości nadaniem, lub choćby tylko szczodrym darem ze skarbcza. A jeśli na wojnie udało się rycerzowi połów niewolnika, to dość było od księcia choćby jakie odludne pustkowie wyprosić, a siła robocza chłopą, w niewoli na niem osadzonego, przemieniała je rychło w nową włość rycerską, która, choć dla zbytnej nieraz odległości, od dworu władzy, niewiele mu na razie niosła pożytku, niebawem przydać się mogła na początek synowi, dopóki w służbie książęcej nie dobił się świetniejszego losu. Łup wojenny zresztą, w komorze starannie przechowany, i kosztu niejednemu władcy oszczędził i w złych latach mógł jeszcze od kłopotów ochronić, bo choćby za tanie pieniądze go się zbyło, nie trudno było na targu znaleźć kupca.

Bogactwo, jak zwykle na świecie, szło zawsze w parze z dostojnym znaczeniem i z znakomitością rodu. Boć jeśli kto miał włości rozległe, to albo je w nagrodę za wojenne zasługi otrzymał, a w takim razie służył jako rycerz zawołany, albo też odziedziczył je po przodkach, którzy w całym narodzie wielkiej zażywali powagi. Moźni panowie blaskiem swoich dostatków zdobyli dwór książęcy, w wojnie i w radzie pierwsze przy monarsze miejsce im się dostawało, a kto z nich po przodkach ze sławą znakomitego rodu bogate włości odziedziczył, nie odmawiał mu książę dostojeństw i zaszczytów, jeśli tylko do dworskiego życia się garnął. W ich więc ręku były przedewszystkiem znaczniejsze dostojeństwa i urzędy, a że obcy przybysze z krajów zachodnich w swojej ojczyźnie przywykli byli nazywać hrabiami bogatych i znakomitych panów feudalnych, więc i na polskich panów przeniosła się ta nazwa <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Gallus używa wyrazu *comes* w podwójnym znaczeniu: 1) jako magnat, pan możny np. t. I, str. 12 *ejus namque tempore* (za Bolesława Chrobrego) *non solum comites, verum etiam quoque nobiles torques aureas immensi ponderis bajulabant*; 2) jako kasztelan, urzędnik książęcy na grodzie ob. rozdz. III. 9. W pierwszym znaczeniu używają tego wyrazu dokumenty wieku XII, a zwłaszcza XIII, dodając „comes” przy imionach znacniejszych

Tak nad rycerską społecznością władyków wznosiła się można klasa hrabiów, magnatów, choć ścisłej granicy niepodobna było między nimi oznaczyć. Nie był to bowiem stan odrębny, kastowym odgrodzony murem; nie miał żadnych przywilejów wyłącznych, któreby dla innych były nieprzystępne; jedyną potęgę magnatów stanowiła społeczna podstawa ich stanowiska. Była to wierzchnia warstwa społeczności władzyckiej, do której coraz to więcej ze spodu wydobywało się jednostek. Kto miał szeszę albo dziesięć włóści, nie był już pospolitym władyką, a jeśli dzierżył jaki urząd lub coś znaczył na dworze, pospolicie nazywano go hrabią <sup>1)</sup>. Niczem jednak nie był jeszcze taki hrabia wobec Prandoty, Wojsława, Piotrka Włostowica lub innych równych im bogactwem panów, których imię nietylko w Polsce, ale nieraz i zagranicą głośno słyneło.

panów. W drugim znaczeniu użyte jest comes κατ' ἐξοχήν, gdyż zwykle kasztelanowie byli możnymi panami. Wprawdzie comes frankoński za Merovingów, za Karola Wielkiego lub Ludwika Pobożnego, był mniej więcej tém, czém kasztelan za Bolesława Krzywoustego, ale na początku XII wieku miał już ten wyraz w świecie feudalnym inne zupełnie znaczenie, a Gallus nie nauczył się z dzieł Wajtza lub Rotha zastosowywać nazwy frankońskiego comes do pojęcia polskiego kasztelana. Tak samo najznacniejszych, najmożniejszych panów nazywa Gallus, „principes” lub „duces” zwłaszcza wobec Bolesława Chrobrego, który jest rex; zresztą dux w tém znaczeniu jest u Gallusa rzadki. Zwykle dux oznacza tylko księcia, t. j. monarchę. T. I, str. 9: Si quando rusticus pauper... de quovis duxe vel comite quereretur... Adveniente vero principe, pro quo missum erat... Sicque diligenter rem pauperis ut alicujus magni principis pertractabat. T. I, str. 10, w obozie na wyprawie ruskiej: animalia innumera mactabantur, que sequenti sollemnitate ad mensam regis cum omnibus suis principibus comessuri more solito parabantur. t. I, str. 11 si forte aliquis principum contra quemlibet clericorum vel pontificum litigii causam inchoabat. Principes et populum cum discretione diligebat t. I, str. 13. Duces vero suosque comites ac principes acsi fratres vel filios diligebat, cosque, salva reverentia, sicut sapiens dominus honorabat. Wszystko to o Bolesławie Chrobrym. W rozdziałach o Krzywoustym spotyka się także niekiedy principes, ob. str. 433, 434, 438, 439. Magnates także Gallus niekiedy używa, np. str. 431: Sieciech i księżna Judyta legatum Magno Wratislaviensisque magnatibus regionis transmiserunt. Terminologią Wincentego zachowujemy na później, gdyż wtedy są już stosunki cokolwiek odmiennie.

<sup>1)</sup> Posiadłości dziedziczne zwano *patrimonium*, jakkolwiek niekiedy w terminologii téj nie odróżniano ściśle właściwego *patrimonium* od posiadłości, którą ktoś świeżo obdarzony został przez księcia. Tak Jan arcybiskup gnieźnieński, uposażając w r. 1154 świeżo założony klasztor jędrzejowski, częścią swych włóści dziedzicznych, słusznie mówi: *patrimonii mei liberam portionem, villas scilicet has: Rakoszyno, Potok, Łąteczno, Kakowo, Tarszawa, Chorzewa (Helcel: O klasztorze jędrzejowskim, str. 133).* Wszystkio te włóści leżą w sąsiedztwie, w pobliżu Jędrzejowa, i zajmują razem około 3 mil  $\square$ . Tego samego wyrażenia używa jednak w r. 1153 Zbilut, przy założeniu klasz-

Prandota, pradziad, szeroko później rozgałęzionego Odrowążów rodu, należał do najznakomitszych małopolskich panów, za czasów Krzywoustego. Dziedziczne jego włości rozlegały się na północno-zachodniej polaci Sandomierskiego płaskowzgórza, lesistych stoków pasma świętokrzyskiego, daleko ku północy, na obszarze blisko dwunastu mil kwadratowych. Znaczna część tych posiadłości leżała jeszcze pustką, pokryta lasem. W południowym zakątku, u brzegu rozległych borów, które stokami gór wspinały się ku kieleckim posiadłościom biskupstwa krakowskiego, kryło się na ponurém tle lasów, dziedziczne gniazdo Prandoty, Stary Odrowąż. Trudno dojść, jak się zwał w zamierzchłych czasach ten dziad czy pradziad Prandoty, który pierwszy w tém miejscu dwór sobie wystawił. Ale wciąż głęboką otaczali w późne czasy jego potomkowie to gniazdo dziedziczne, *starym* nazywając je Odrowążem i od niego całemu ich rodowi dostało się imię. Długo też samotnie i w odosobnieniu stał dwór w Odrowążu, tylko Gosañ dotrzymał mu o milę sąsiedztwa, również Prandoty dziedziczna posiadłość, najbardziej ze wszystkich jego włości na południe wysunięta. Już synowi Prandoty Szawłowi miliej było w innym przesiadywać dworzec, na drugim krańcu dziedzicznego obszaru, w pobliżu Żarnowa, znacznego książęcego zamku, gdzie weselsze musiało być życie, niż w odrowążkim pustkowiu. Tu niegdyś, na rozległych pastwiskach rozradzała się stadnina Prandoty, pod okiem kouiarskiej osady, a ztąd włość tę Końskiem nazywano. I długo jeszcze, w późniejsze lata, głośna była sława téj dziedzicznej Odrowążów stadniny, której wychowawce pod siodłem potomków Prandoty w niejednym krwawym boju dzielne usługi oddawały książętom. Tak kiedy któryś z tych panów

toru Ieknieńskiego, jakkolwiek Łekno w ścisłym tego słowa znaczeniu nie było jego patrimonium (*Kod. Wielkopolski*, t. I, str. 23). Być jednak może, że stylizacja ta jest właściwością tego samego pisarza, notaryusza dworu arcybiskupiego, gdyż przy wystawieniu Zbilutowego dokumentu był także arcybiskup obecny. Później tenże sam arcybiskup Jan, dodaje jeszcze klasztorowi 8 włości, których położenia niepodobna oznaczyć: hereditatem totam, quam habui ex parte cognati mei cui nomen erat Zmył, filii Rozate (*Cod. dipl. Pol.*, t. III, str. 6). Dokładnie znany majątek Dzierzka, pana małopolskiego z końca XII wieku, składał się z 10-ciu wsi, rozrzuconych w pow. szydlowskim, stopnickim, kieleckim, pod Waśniowem i t. p. w oddaleniu kilku lub kilkunastu mil (ob. testament Dzierzka z r. 1190. *Cod. dipl. Pol.* t. I, str. 15). W wieku XIII miewali comites zwykle po 10—12 wsi, np. 1230. (*Kod. Wielkopolski* nr. 128, 1284, tamże nr. 546, 1294, tamże nr. 718), Klemens jednak, pan małopolski a wojewoda księcia opolskiego, miał na początku XIII wieku tyle gotówki, że mógł wydać 500 grzywien srebra na murywanie opolskiego zamku, za co go książę obdarzył tyloma włościami, że doprowadził do 22 wsi; brat jego Andrzej, biskup płocki, mógł z ojcowizny swojej darować klasztorowi staniąteckiemu 9 wsi (*Cod. dipl. Pol.*, t. III, nr. 11, 18).

w jednej z swych włości, oddalanej od dziedzicznego obszaru, kościół na chwałę Pańską fundował, prócz Szańca, gdzie dom Boży postawiono i przyległych Mikułowic, uposażył go darem wieczystym jednego źrebicia, które pleban żaniecki co rok miał sobie wybierać ze stadniny w Końskiem. Ale nietylko z stadniny ta włość słygnęła, i innych bogactw obfitość zawierał dwór hrabiego Szawła. Onto bowiem obdarzył klasztor trzemeszeński dziesięciną z swojej piwnicy w Końskiem, której „miodopłynne” lasy dziedzicznych posiadłości nielada haracz składać musiały. I spichrze Szawłowego dworu ledwie pomieścić mogły obfitość zboża, jeśli tylko z włości przylegających do Końskiego, z Nieświnia, Modliszewic, Kazanowa, Popowa i Dzibałtowic po żniwach do nich plony zwieziono. Po drugiej stronie Żarnowa już w tych czasach zapewne nie leżał pustką i północny zakątek dziedzicznego obszaru, gdzie później zasłynął Białaczów, jako siedziba jednego z najznakomitszych potomków Prandoty tego samego imienia. Nie wiadomo jednak zupełnie, czy wschodnia połać tych posiadłości, granicząca od północy z książęcimi osadami pod Skrzynnem, poddała się była już wówczas pługowi i pracy rąk ludzkich; w cztery stulecia później kwitł tam Szydłowiec, gniazdo najgłówniejszej latorośli Odrowążów.

Wiele jednak innych jeszcze włości posiadał Prandota, prócz tego dziedzicznego obszaru. Jeśli niejedna posiadłość, którą w najbliższych pokoleniach spotykamy w rękę jego potomków, przez nich dopiero nabytą została, to do niego już w każdym razie, może z książęcego daru, należał ów piękny i gęsto już na owe czasy zaludniony jednomyliwy obszar czarnoziemiu nad Szreniawą, o dwie tylko mile od Krakowa odległy, nad którym panował Prędocin, przez niego właśnie założony. Trudniej już powiedzieć to napewno o bogatych włościach tego samego mniejwięcej obszaru nad górną Pilicą, w zachodnio-północnym zakątku ziemi Krakowskiej, gdyż być może, że je posiadał dopiero jeden z synów Prandoty, któremu, jako włość dziedziczna, dostał się był Prędocin w udziale; tam zasłynęły później Szczekociny i Sprowa, które w XV wieku dały imię dwom niemniej od Szydłowieckich słynnym odnogom rodu Prandoty.

Wojśław, już w czasach Władysława Hermana, magnat głośnego imienia, był krewnym wszechwładnego Sieciecha i niemało zapewne zawdzięczał poparciu, dbałego o swą krew wojewody. W służbie dworskiej miał podobno urząd krajczego, że jednak nietylko ze smaczną zwierzyną na półmisku umiał się żelazem rozprawić, dawał tego nieraz dowody w wojnach pomorskich. Niemało zaufania musiał w nim Sieciech pokładać, skoro pragnąc najważniejsze stanowiska swojemi obsadzić ludźmi, oddał mu urząd ochmistra, przy młodym synu monarszym, przez co mógł sobie wcześniej pozyskać względy przyszłego władcy i bohatera. W czasie wojny domowej i zaburzeń, intrygami Sieciecha spowodowanych, pokrewieństwo z wojewodą ściągnęło nań nieufność Krzywoustego, nie był jednak Wojśław tak ściśle z swym



krewniakiem związany, żeby upadek Sieciecha miał nazawsze zachwiać jego stanowiskiem. Przeciwnie, skoro burza minęła, należał do grona najbliższych doradców i dygnitarzy Krzywoustego, bo też mało było panów, którzyby mu bogactwem i znaczeniem mogli dorównać. Około trzydziestu włości, na całym obszarze Kujaw i Mazowska rozsianych, składało jego majątek. Najwięcej tych posiadłości skupiło się po obu brzegach Wisły, a zwłaszcza na lewym, w pobliżu dwu zamków książęcych: Przystupu i Słońska, ale i pod Włocławkiem, nad Gopłem i nad jeziorami wielkopolskimi, w sąsiedztwie trzemeszeńskiego klasztoru, i znów za Wisłą, a nawet pod Ciechanowem, sterczały dwory Wojsławowe. Nie było też obawy, żeby się ta potęga w drugim pokoleniu na wiele części rozbiła, bo pierwsze małżeństwo z Kiełczówną pobłogosławił mu Bóg tylko dwoma synami: Januszem i Trojanem, a w drugim z Dobiechną czyli Dobromiłą Kilianówną, nie doczekał się żadnego potomstwa. Mimo to nie chciał Wojsław, by bezdzietnej wdowie miało na czem zbywać po jego śmierci i obdarzył Dobiechnę takim majątkiem, że każdy rycerz, gdyby go był posiadł, znacznym mógłby się zwać hrabią. Klejnotem tego majątku były Rochny, nad mazowiecką Skrwią, zdawna od książąt prawem targu wyposażone, które w licznych opłatach targowych nie miały przynosiły dochód; prócz tego ośm jeszcze włości na Mazowszu i na Kujawach należało do tej wdowej oprawy. Ale Dobiechna, mało o marności światowe dbając, wolała wszystkich tych dóbr użyć na jaką pobożną fundacją, wiedziała bowiem, że i Wojsławowi miłym byłby taki uczynek, skoro sam za życia nie szczędził swoich bogactw na szcudre dary dla rozmaitych kościołów; tak nawet w skarbcu krakowskiej katedry, o którą mało kto na Kujawach się troszczył, przechowywano między najdroższymi kosztownościami dwa bogate, zupełne ubrania kapłańskie, które z daru Wojsława pochodziły i wspaniały płaszcz z drogiej materii. Za zgodą piasierbów wybudowała zatem Dobiechna, na podzamczu płockim, świątynię Bogarodzicy, którą w długie później lata Wojsławowym kościołem nazywano, wyposażywszy fundacją swą wszystkim, co miała z darowizny męża. Pomni tego potomkowie Wojsława, nie zapominali o tym kościele i nowe świadczyli mu dobrodziejstwa, ale też rościli sobie nad nim prawo patronatu. Między nimi, po Trojanie i Januszu, w trzecim pokoleniu, zastąpił Żyrostaw, sławny wojewoda mazowiecki, później zaś jeszcze, na początku XIII wieku, prawnuk Wojsława Getko, który w Płocku zasiadł na biskupiej stolicy.

Ani Prandota jednak lub Wojsław, ani Skarbimir nawet, Jaszczółd, Czadryk, ani Michał, wielkim zwany, głośny założyciel lubińskiego klasztoru, ani Degno, Pakosław, Odolan, Wszebor, i jak się tam ci wszyscy magnaci z czasów Krzywoustego nazywali, żaden z nich nie miał takiej sławy bajecznych bogactw, co hr. Piotrko Włostowic. W późne też jeszcze wieki igrała z jego postacią fantazyja ludowa, drażniona echem głuchych wieści o dziwnych przygodach i nieprzeliczonych skarbach Piotrowych. We mgle tradycyi jaśnieje ten bogacz za-

mierzchłych czasów, jako bajeczny stróż jakichś tajemniczych, nieprzebranych skarbów, których najrozrzutniejszej nawet dłoni nie dane było wyczerpać. W zamorskich, od złota kąpiących krajach, rada była fantazyja ludu widzieć ich źródło, w złupionym skarbcu królewskim, do którego od wieków zlewały się najkosztowniejsze zdobycze korsarskich okrętów, po całym rozległych mórz obszarze za łupami goniących. Ztąd też, kiedy czas zatarł w pamięci narodu prawdziwe rysy Piotrowej postaci, mogła się wylądź o nim tradycya, że pochodził z Danii i duńskich królów skarbiec uwiózł z sobą do Polski. Na Szlązku tymczasem leżały jego włości dziedziczne, a główném ich jądrem była nawet połowa tych wzgórz, które się dokoła szczytu tajemniczój góry szlązkiéj wznosiły. Niepospolitoy to zatem musiał być ród, który z dziada i pradziada miał swoje włości na téj świętój górze, hołdem całej ludności szlązkiéj od wieków czczonéj; albo przed wiekami księżęta szczepowi szlązkiego plemienia musieli być jego przodkami, boć znów druga połowa góry była monarszą własnością, albo téż co najmniej jeszcze ze pierwszego brzasku Chrześcijaństwa otrzymał te włości z książęcego daru, który z naddiadów Piotrowych, już wówczas mąż jakiś znaczny i dostojny. Wielkiéj jednak rozległości, zdaje się, te ziemie nie miały i w ogóle w najświetniejszych nawet czasach hrabiego Piotra, źródłem jego potęgi były raczej tajemnicze skarby, niż wielka obfitość włości. To téż właśnie tém bardziej drażniły fantazyją ludową jego bogactwa, skoro widziano, że nie tak możni panowie na większych i liczniejszych włościach siedzieli; że wreszcie Bogumił Włostowic, brat Piotrów, równy z nim dział ojcowizny otrzymawszy, nawet do znaczniejszych nie zaliczał się hrabiów.

Piotr był zapewne rówieśnikiem Krzywoustego, może z nim razem pasowany był na rycerza, a chrzest wojenny otrzymał niezawodnie w pomorskich wojnach Władysława Hermana. Kto wie nawet, czy w mętnéj tradycyi o duńskim skarbcu niéma jakiegoś ziarnka prawdy. To pewna, że pomorscy korsarze, w odwet za wycieczki Wikingów, zapuszczali się często na duńskie wybrzeża i z niemałym nieraz powracali do domu plonem. Może więc to późniejsze podanie było odgłosem prawdziwéj wieści o jakimś bogatym łupie, który sobie Piotr w początkach rycerskiego zawodu przywiózł był z bojów pomorskich. Dzielnym bowiem bezwątpienia musiał być rycerzem, skoro później, po upadku Skarbimira, został wojewodą i stanął na czele wszystkich hufców Bolesławowych <sup>1)</sup>. Ale i to pewna, że nie wszystkie skarby, któ-

<sup>1)</sup> Wyraźnie nazywają Piotra wojewodą tylko późniejsze źródła, mianowicie: *Kronika polska, Mon. Pol. hist. t. III, str. 629* i *Chronica Petri comitis*, tamże str. 766, potwierdza tę wiadomość jednak współczesny Herbord t. II, str. 4. Habebat autem Petrum quendam militie ductorem... qui erat prefectus a duce super viros bellatores. O kronice Piotrowej por. Smolka, *Pomniki dziejowe w XII zeszytce Ateneum z r. 1879*, gdzie zestawiona jest cała literatura polemiczna o téj materyi.

remi później błyszczał, zdobył mu rycerski miecz w krwawym boju. Piotr, nie leniąc się trudów wojennych, innym zostawiał szukanie szczęścia, na samych tylko polach bitew; on piał się w górę nie mężstwem tylko, ale zarazem i rzadkim w prostej naturze ówczesnego rycerza polskiego podstępem: w każdym jego znaczniejszym powodzeniu, prócz niepospolitej odwagi i dziwnej przytomności umysłu, była na dnie *graeca fides*. O bizantyńskie wprawdzie stosunki później dopiero przyszło mu się otrząść, ale kto wie, czy ruska krew nie płynęła po kądzieli w jego żyłach. Ojciec jego Włodzimierz miał ruskie imię, więc może pomiędzy niewiastami Piotrowego rodu była jakaś Rusinka, którą naprzykład pradziad jego, niezawodnie Chrobrego rycerski towarzysz, z kijowskiej mógł sobie przywieść wyprawy. Na Ruś też niustannie coś Piotra ciągnęło i ruskie dwory książęce były widownią jego największych powodzeń, którym całą swą potęgę, wszystkie bogactwa zawdzięczał.

Na stolicy wielkoksiążęcej w Kijowie siedział w pierwszych latach Krzywoustego Świętopełk-Michał Izasławicz, brat cioteczny Władysława Hermana. Lichy to był monarcha i tylko z łaski Włodzimierza Monomacha dostał mu się tron kijowski. Z mężstwa nie słynął i nieraz za jego panowania doznała Ruś ciężkich razów od dziczy połowieckiej; ale za to dobrze umiał jakiego niebezpiecznego krewniaka podstępem złowić w pęta, za nic sobie mając najuroczystsze przysięgi, i świętych praw bezbronnego poselstwa, w pokojowych przybywającego zamiarach, nie wzdrygał się zdradziecko podeptać. To też nikczemne czyny swoje okupywał czołobitnością bez granic dla świętej cerkwi; nigdy nie wyruszał na wojnę, zanim go świątobliwy igumen peczerskiej ławry nie pokropił wodą święconą. Nie stać go też było na świetne związki małżeńskie, dopóki za życia Wszewołoda panował w Turowie; dość dobrą wtedy dlań żoną była Połowczanka, z którą dwie córki spłodziwszy, dla wzmocnienia sąsiedzkiej przyjaźni, jedną wydał za królewicza węgierskiego, Kolomanowego syna, drugą za naszego Bolesława. I Polsce bowiem i Rusi zależało na tym spowinowaceniu, choć Krzywousty i Zbysława blizkiemi byli sobie krewnymi; więc aż o Rzym oparła się ta sprawa, a papież Paschalis II łaskawie udzielił im dyspensy. Ale skoro Połowczanka umarła a Świętopełk na kijowskiej zasiadł stolicy, o świetniejszej pomyślał małżonce. Prototypem zaś majestatu i blasku był dla Rusi cesarski dwór w Konstantynopolu, ztamtąd zatem udało się Świętopełkowi dostać księżniczkę Barbarę, blizką krewną cesarza Aleksego Kommena. A cesarz, jeśli dziewicę swego rodu ruskiemu księciu dawał w małżeństwo, dbał już o to, by północnych barbarzyńców oślnić bogactwem i świetnością skarbów posagowych. Było więc czém po sam wierzch napełnić skarbiec kijowski, w niedawnych latach przetrzebiony trochę przez Bolesława Śmiałego, bo nawet już w proch rozsypały się w grobach peczerskiej ławry ciała Świętopełka i jego małżonki, kiedy jeszcze po całym świecie, w dalekiej nawet Szwabii

opowiadano sobie o tym bogactw potopie, który z Barbarą Komneną spłynął do Kijowa.

Dopóki żyła Zbysława Świętopełkówna, nietylko sąsiedzka przyjaźń, ale częste i bliskie stosunki łączyły z Kijowem dwór Krzywoustego. Wielki książę tak zaś był skory wzmacniać ich węzły, że nie syt powinowactwa z polskim księciem, postanowił córkę swoją z Barbarą Komneny urodzoną, wydać za któregoś z paniąt dworu Bolesławowego, co najjaskrawiej znaczenie i potęgę ówczesnych magnatów polskich objaśnia. Piotr był przyjacielem tego szczęśliwego oblubieńca i podjąwszy się dziewosłębów, z jego upoważnienia pojechał na dwór kijowski. Ale tak pokierował tam całą sprawą, tak umiał się wkraść w łaskę kniazia i miłość księżniczki pozyskać, że zamiast dla przyjaciela, sobie samemu przywiózł żonę z Kijowa. Nic niewiadomo, jak się potem z oszukanym oblubieńcem rozprawił, dość, że mu to małżeństwo zbudowało fundament takiej potęgi, o jakiej nikomu z magnatów się nie marzyło. Przez Maryą Świętopełkównę, wnuczkę bizantyńskich cesarzy, był szwagrem własnego swojego pana i węgierskiego królewicza a młodego Władysława, który po Krzywoustym tron miał odziedziczyć, mógł nazywać swoim siostrzeńcem. Tyle zaś złota; kosztowności i najpyszniejszych pawołożów, przywozła mu w posagu córka bogatęj Komneny, że bez bajki o złupieniu duńskiego króla łatwo można sobie wytkłomaczyć obfitość jego skarbcza.

Niemaló też zapewne zaważyło na szali powinowactwo z domem księżęcym, kiedy mu Krzywousty oddawał najwyższe dostojeństwo wojewody; boć kogóż miał niem obdarzyć, jak nie najbogatszego, a przytém dzielnego i najmędrszego magnata? Świeże zaś doświadczenie ze Skarbimirem zalecało przeczorność w wyborze, a na swego krewniaka mógł książę najłatwiej się spuścić. Kiedy więc Piotr był już wojewodą, a Krzywousty wszystkich dobywał wysileń, by ostatecznie poskromić i zawojować Pomorzan, zagroziło Polsce od Wschodu nowe niebezpieczeństwo. Z Rusią już dawno zerwały się były węzły bliższej przyjaźni, od śmierci Zbysławy i odkąd w Kijowie, po zgonie Świętopełka zapanował Monomach. Niewielki książę był jednak w tej chwili duszą wrogich przeciw Polsce zamysłów, ale Wołodar Rościszawicz przemyski, najbliższy sąsiad południowo-wschodnich kresów polskiego państwa, władzca tej ziemi nad Sanem rozsiadkłej, do której przodkowie Krzywoustego nigdy nie wyrzekli się byli swych pretensyi, odkąd jeszcze za świętego Włodzimierza czasów, Rusini z niej wyparli ludność lechicką; Wołodar zatem, czy jakimś odnowieniem polskich pretensyi dotknięty, czy w słusznej może tylko obawie, że oręż Krzywoustego po ujarzmieniu Pomorza, przeciw niemu najrychlej się zwrócił, wciągnął do wrogiej Polsce koalicji sąsiednich kniazioń ruskich, dziec połowiecką, Jadzwingów i Prusaków, a nawet z Pomorzanami wszedł w porozumienie, by wspólnemi siłami na Bolesława uderzyć.

Z panami rady swojej, między którymi Piotr pierwsze zajmował miejsce, roztrząsał zatem stroskany książę trudność położenia, zasta-

nawiając się tylko nad t $\acute{e}$ m, czy Wołodara uprzedzić i z wszystkiemi nań uderzyć siłami, czy t $\acute{e}$ ż pozyskać sobie wprzód niektórych sprzymierzeńców przemyskiego kniazia. Piotr zgadzał się z t $\acute{e}$ m, że pewny cios, na Wołodara dobrze wymierzony, zażegna odrazu całą burzę, sam jednak podjął się wywieść z matni księcia i całe państwo. Dobrawszy sobie zat $\acute{e}$ m trzydziestu towarzyszy, pośpieszył znanym szlakiem ruskim do Przemyśla. Boć Wołodar był mu przecież krewnym przez żonę, jak wszyscy ruscy książęta, więc na dworze krewnego mógł się spodziewać dobrego przyjęcia, zwłaszcza jeśli przybywał z wiadomością, że go Bolesław pokrzywdził i odepchnął od siebie. Uwierzył Wołodar, bo dla czegożby taki pan możny, z wnuczką cesarską ożeniony, nie miał zdrzeć ze swoim szwagrem? z t $\acute{e}$ m większą zat $\acute{e}$ m przyjął go ochotą i gościnnością; niebawem miała już bowiem wyprawa na Polskę wyruszyć a więc można było się spodziewać, że wszyscy przyjaciele Piotra z najeżdzcą się połączą. Niedawno syn mu się urodził, którego Piotr dla t $\acute{e}$ m silniejszego wzmocnienia przyjaźni do chrztu musiał trzymać; wśród godów i biesiad rozkołysał się Wołodar nadzieją łatwego zwycięstwa: ucztom i zabawom końca nie było. Raz wyruszyli w lasy na łowy; wtedy Piotr wszystkich towarzyszy zabrał ze sobą a oddalwszy się z kumem od kniaziewskiego orszaku, porwał go, spętał i w szybkiej ucieczce wśród lasów, stanął niebawem za polską granicą i za kilka dni odstawił Wołodara na dwór Bolesławów. Nic nie pozostało oszukanemu kniaziewi, jak, gorzko optakując zdradę chytrego kuma, zaprzysiądz wiargę Krzywoustemu i o sowity okup się postarać. Niemało jednak wozów z ruskimi skarbami przejechać musiała z Przemyśla krakowskim szlakiem, niemało objuczonych wielbłądów bizantyńskiego pochodzenia dostało się wówczas do Polski, zanim zdjęto z Wołodara więzy. Bogaty to musiał być okup, skoro współczesnemu pisarzowi dał pozór do przesadnych wyrazów, że całą Ruś do niezwykłego przywiódł ubóstwa. Uradowany Bolesław wszystkiemi temi skarbami pragnął Piotra wynagrodzić, jemu cały okup odstępując. Ale wojewoda chciał uniknąć podejrzania, jakoby dla margo zysku dopuścił się t $\acute{e}$ j zdrady i tylko część Wołodarowych bogactw, w ni $\acute{e}$ j jednak co najkosztowniejsze klejnoty, jako dar wspaniałości monarszej, pomnożyły obfitość Piotrowego skarbcu.

Być może że niekiedy używał Piotr tych bogactw na dokupywanie jakichś nowych włości, ale do wielkich ziemi obszarów, jak wiadomo, nigdy nie doszedł; bo choć tu i owdzie były czasem jakieś dobra do nabycia, nikt nie miał wówczas na sprzedaż znaczniejszych posiadłości. Lecz i bez takich ziemi obszarów, jak włości Prandoty lub Wojsława, był Piotr najmożniejszym polskim magnatem a córka jego, prawnuczka carogrodzkich cesarzy, za najbogatszą niezawodnie uchodziła dziedziczkę; małżeństwo z nią wyniosło t $\acute{e}$ ż odrazu do rzędu pierwszych magnatów Jakse z Miechowa, znakomitego rodu i sławnego rycerza z Krakowskiej ziemi, który później swą wyprawą krzyżową do Palestyny i fundacyą Bożogrobców, w dziedzicznej włości głośno za-

słynął. I obcych nawet oczy, przywykłe do świetności dworu zachodnich cesarzy, olśniewał blask bogactw Piotrowych i przepych, którym się lubił otaczać. Tak kiedy przybył raz do Magdeburga po relikwie dla jednej ze swych fundacji, mnichy myślały że to jakiś król lub książę udzielny, „zarliwy wiary chrześcijańskiej zwolennik, który około jej rozszerzenia w swém państwie wielkie położył zasługi.” Było go zresztą z kim porównać wtedy w Magdeburgu, bo właśnie na święta Bożego Narodzenia zjechał tam dwór Konrada III, z nim zaś kwiat rycerstwa i książąt niemieckich i niemałe musiał mieć Piotr znaczenie na dworze cesarskim, skoro Konrad sam wstawiał się za nim u arcybiskupa o upragnione relikwie. Kiedy wreszcie w kilka miesięcy później ten skarb duchowny przybył do Wrocławia, Piotr, upojony radością, „wszystkich jeńców, których miał w swojej mocy, wolnością obdarzył;” arcybiskupa zaś i jego dworzan, przybyłych z relikwiami, tyłoma kosztownościami obsypał, że panięć wspaniałomyślności polskiego magnata, w długie jeszcze potem lata utrzymywała się w Magdeburgu. Przeważną bowiem część skarbów Piotrowych pochłaniały pobożne fundacje.

Było to właśnie w duchu owego czasu, że giętkość i zatwardziałość sumienia, często szły w parze z bezgraniczną dewocją i szczodrością dla kościoła. Typem tego rodzaju był Fulko, hrabia andegaweński, słynny na całą Francją z zbrodniczych wybryków rycerskiego rzemiosła, pan akwitański, który na kilka zaledwie dziesiątków lat żył przed Piotrem. Onto razu pewnego, zrównawszy z ziemią miasto Saumur, w obawie o gniew ś. Florentego, który był tego miejsca patronem, ślubował mu wystawić w Angers większą i wspanialszą jeszcze świątynię. Nie żałował też na to skarbów, nieraz krwią niewinną obryzanych, a skoro dzieła dokonał, postanowił do nowego kościoła relikwie świętego sprowadzić. Niepodobna jednak było ruszyć ich z miejsca, co naturalnie za jasny znak uważano, że gniew ś. Florentego jeszcze nie minął; do wściekłości tém doprowadzony Fulko, naklął się też przynajmniej na niego dowoli, przezywając go głupcem i bezbożnikiem. Dwakroć odbył Fulko pielgrzymkę do Jerozolimy; raz, do naga rozebrany, przyczołgał się do grobu Chrystusowego, godzinami całemi zimny głaz jego całował i spory kawał z niego własnymi zębami odkąsił, by go jako drogą relikwię przywieźć do domu. Cóż więc dziwnego, że i Piotr Włostowic, choć nie miał tak burzliwego życia jak Fulko d'Anjou za sobą, czuł potrzebę różne grzechy swego żywota pobożnymi fundacyami okupić. Współcześnie już opowiadano sobie w Niemczech, że sam papież nawet, czy też polscy biskupi, kazali mu za złamanie wiary Wołodarowi, co najmniej 70 kościołów własnym wybudować kosztem, taką naznaczając pokutę za ten czyn zdradziecki i „inne niegodziwości zbrodnicze.” Bądź co bądź, czy te pobożne uczynki z potrzeby własnego sumienia wypływały, czy też były nakazaną pokutą za grzechy, mało co tak wówczas schlebiało próżności magnata, jak licznymi a bogatymi zasłynąć fundacyami, a nikt w tém Piotrowi nie mógł dorównać, bo nikt nie rozporządzał taką mnogością złota,

kosztowności i gotówki, kiedy wszyscy w ziemi przeważnie mieli swoje bogactwa.

Każdy prawie magnat rad był pozostawić po sobie pobożną pamiątkę, która po śmierci i grzech niejeden zmazać mu miała i na ziemi w długie czasy przechowywała pamięć jego imienia. Mało kogo wprawdzie stać stać było na założenie nowego klasztoru, bo na dostatnie wyżywienie kilkudziesięciu mnichów i ambitnego a przywykłego do bogactw opata, na wybudowanie okazalszej świątyni klasztornej, ledwie cała fortuna magnacka byłaby mogła wystarczyć. Kto jednak w swoich posiadłościach dziedzicznych nie miał jeszcze kościoła, stawiał go z drzewa lub polnych kamieni, dając jedną albo dwie włości na kosztą służby Bożej i uposażenie plebana, którego za to swoim nadwornym kapelanem mógł nazywać. Ale o takich fundacyach, jak Piotra Włostowica, nikomu z panów polskich się nie marzyło. W ich liczbie jaśniały dwa klasztory: jeden w starych dziedzicznych włościach Piotrowych na górze szląckiej, dokąd aż z Flandryi, z Arrouaise w hrabstwie Artois, sprowadził kanoników reguły ś. Augustyna; drugi benedyktyński pod samym Wrocławiem, w lesistém ustroniu, na prawym brzegu Odry, koło dawniej kaplicy ś. Michała. Nie sam wprawdzie Piotr ponosił olbrzymie koszta bogatego uposażenia tych klasztorów, boć skoro tylko o znaczniejszą część jego z własnej szkatuły się postarał, dopełniała reszty wspierałomyślność księcia i pobożne dary możnych przyjaciół, których każdy miał sobie za obowiązek jakąś włość do Piotrowej fundacyi przyrzucić. I przytém wreszcie nie zawodziła Piotra właściwa mu a wypróbowana obrotność. Tak np. umiał sobie poradzić, kiedy mu brakło ziemi do pierwszego uposażenia wrocławskiego klasztoru a trudno było gdziekolwiek nabyć dogodny obszar. Otóż między relikwiami Piotrowego skarba, znajdowała się cudowna ręka ś. Szczepana pierwszego męczennika, z żywém jeszcze mięsem przy kości tkwiącém; drogocenna relikwia, która z posagiem Barbary Komneny a później z bogactwami Świętopełkówny, przywedrowała z Konstantynopola przez Kijów do Polski. Krzywousty dowiedziawszy się o niej, nie znał ceny, którejby za nią nie ofiarował i chętnie zamienił ją u Piotra za Kościan błotny, rozległą a żyzną włość pod Wrocławiem, o 5000 łanach. Bądź co bądź jednak, w fundacyach Piotrowych rozplynęła się niezawodnie większa część jego bogactw. Prócz tych dwu klasztorów, wypełniały liczbę siedmdziesięciu przeszło fundacyi rozliczne mniejsze i większe kościoły a nadto przytuliska dla pielgrzymów i szpitala, w których osadzeni dnohowni szpitalnicy, biednych a schorzałych wędrowców pielegnowali. Jeśli nie wszystkie zaś kościoły, to przynajmniej znaczną ich liczbę budował nie z drzewa lecz z kamieni, drogie pieniądze płacąc obcym mistrzom, których w tym celu z zagranicy musiał sprowadzać. Ale téż, skoro tylko w r. 1142 mnisi szwabskiego klasztoru w Zwifalten przybyli do Polski, najstawniejszym całego kraju mężem był w ich mniemaniu sędziwy już wówczas Piotr Włostowic, głośny fundator siedmdziesięciu kościołów, zjawisko w społecznych

i późniejszych dziejach jedyne, któremu równego w żadnym kraju nie znano.

Tém bardziej był Piotr w Polsce wyjątkową postacią, że ani przed nim, ale przez długie wieki po jego czasach nie było w kraju magnata, któryby rzadką u nas obrotnością, sprytem i podstępem doszedł do tak olbrzymiego ruchomego majątku. Częściej już nieznaczny rycerz prostą zasługą w służbie książęcej dobijał się wielkiej fortuny. Czasami przyszedł tak szczęśliwy moment pańskiej szczodrości, że nawet bez szczególnych zasług, w danej chwili można było obłowić się niepoślednim nabytkiem, który sam już nieraz stanął kamieniem węgielnym, do późniejszej potęgi magnackiej. Jeśli np. w rodzinie książęcej zdarzył się jakiś radosny wypadek, to wtedy łaska książęca nie znała granic, przelewając się w wyskokach wspaniałomyślności i kto tylko w takim razie bawił przy księciu, pewno nie odchodził z próżnemi rękoma. Dlatego téż dobrze było pilnować pańskiego dworu, zwłaszcza w czasie jakich nadzwyczajnych uroczystości. Tak między innymi pierwsze zaślubiny Krzywoustego, dla niejednego pana i rycerza stały się źródłem znacznych dostatków. Przez ósm dni przed ślubem i tyleż potem, „bez odpoczynku” rozrzucał Bolesław naokół bogate dary. Mniejsza o to jeśli komu dostają się złote naczynia i srebrne, drogie futra wspaniałym a rzadkim nastrzępione włosem lub jedwabią kryte materye i złotogłowiem zdobne: niektórzy dworzanie i rycerze otrzymywali włości i znaczne ziemi obszary, zamki, a nawet całe miasta.

Zwykle wprawdzie po całym kraju rozrzucone były te włości, które ktoś w różnych czasach z książęcego daru otrzymał i nie było z nich takiego pożytku, jak z rozległego obszaru w jedném miejscu zbitego. Ale nieraz i całą kasztelanią, z zamkiem książęcym, wszystkimi posiadłościami i użytkami, obdarzała za nadzwyczajne zasługi łaska monarsza wiernego rycerza, który przez to odrazu stawał się magnatem. Tak jeszcze za Krzywoustego w r. 1136, było Łekno grodem książęcym, ogniskiem osobnej kasztelanii, jak Nakło, Łąd, Kalisz czy Ruda. Ale w kilkanaście lat potem, już Zbilut, dzielny Mieszka wojownik, władał na zamku łekneńskim i we wszystkich książęcych niedawno włościach całej kasztelanii, jako w swojej własności, bo pewno ten wspaniały dar otrzymał za usługi oddane księciu w czasie ostatnich wojen domowych. Rad był przy tej fortunie o zbawieniu duszy pamiętać i nie zwlekał téż długo z fundowaniem klasztoru cysterskiego, do czego mu pomogli sąsiedzi, przydaniem niejednej włości. Zawsze jednak zostało jeszcze na rozległym obszarze kasztelanii dość ziemi dla synów Zbilutowych, którzy na „dziedzicznych” już siedząc posiadłościach, kilku słynnym później szlacheckim rodzinom dali początek.

Bądź co bądź zresztą, czy dobra magnackie rozrzucone były włościami po kraju, czy w zbitéj masie leżały, czy z monarszego pochodziły nadania, lub téż może zawiązkiem ich była dziedziczna posia-



dłość książęcego niegdyś rodu z pogańskich czasów: w każdym razie mieli w nich ówczesni panowie silną i niezachwianą podstawę materyalnej potęgi, wysoko górującą nad resztą społeczeństwa. Użytki z ról, pastwisk, lasów, rzek i jezior przynosiły im taką obfitość surowych produktów targiem, to tylko niedbalstwo tych bogaczy, we wszystko do syta opływających, było tego przyczyną. Boć i gotówki im nie brakło. Jeśli bowiem nawet w sprzedaż zbytnich plonów nie wiele się wdawano, to każdy magnat miał na obszarze swych włości obfitą kopalnię gotówki w mytach przewozowych, którym i obcy kupiec i biedny rolnik na targ spieszący opłacać się musieli, w targach, za przywilejem książęcym w dogodnym miejscu ustanowionych, gdzie przy każdym kupnie wysokie opłaty zbierali pańscy włodarze, w karczmach, pełnych napoju z pańskiego lasu, które przy miejscach targowych i szlakach gęściej uczęszczanych, skwapliwie czyhały na grosz wędrowca. Choć więc mało kto pod tak szczęśliwą był urodzony gwiazdą, jak Piotr Włostowic i tylko on bizantyńskie skarby w swój komorze ukrywał, nikomu z magnatów złota i srebra nie brakło. I pewnie nie jednemu tylko Piotrowi się to zdarzyło, że go obcy za udzielnego wzięli monarchę.

Pierwszy pokwit polskiego możnowładztwa był wówczas w brasku swój złotój ery. Jeszcze czynniki społeczne, z których ta pierwsza arystokracja polskich dziejów wykwitła, były w nieustannym ruchu i w całej pełni swój działalności. Budowa społeczna narodu zaokrąglala się w granicach architektonicznego planu, który jej cyrkiel organizacyjnego geniuszu pierwszych władców nakreślił, naród żył atmosferą podbojów i zasług wojennych a dłoń szczodrości książęcej nie była się jeszcze zamknęła. Zbliżał się dopiero w dziejach pierwszej arystokracji polskiej punkt kulminacyjny, nacechowany najjaskrawszym blaskiem jej politycznego stanowiska. Ale jak w ogóle ten objaw tylekroć w dziejach się powtarza, z chwilą punktu kulminacyjnego miał już rozpocząć się okres przekwitu. Niebawem bowiem nastaly inne czasy, w całej atmosferze dziejowej zaszły ważne przemiany, zwałtała energia czynników społecznych, którym dawne możnowładztwo początek swój, wzrost i byt zawdzięczało i wygasły, lub przynajmniej przestały tak obficie tryskać źródła książęcej szczodrości. Zabrakło materiału do pomnażania fortun możnowładczych w dawnym rozmiarze, a rozrastanie się rodu magnackich pociągało za sobą coraz to nowe działy i coraz większe rozbicie podstaw materyalnych dawniej potęgi. Po dwu wiekach dopiero otwarły się w ziemiach ruskich nowe jej źródła i zaświtał okres drugiego kwitnienia polskiej arystokracji, który nam w samym początku dał Melsztyńskich, Tarnowskich, Sprowskich, Rytwiańskich, typy tak różne od starych Prandotów, Wojsławów, Piotrów i Zbilutów.

Jeśli jednak rozległe dobra magnatów Krzywoustego coraz większemu w późniejszych czasach ulegały rozdrobieniu, to natomiast ob-

szerniejsze od nich nieraz kompleksy kościelnych posiadłości, „martwą ręką” silnie skrepowane, tylko pomnażać się mogły, żadnego uszczuplenia nigdy nie doznając. Cały prawie majątek kościelny był w posiadaniu biskupów i klasztorów, gdyż skromne uposażenie nielicznych jeszcze kościołów parafialnych drobną tylko częścią jego stanowiło. Kościoły te powstawały przeważnie z fundacyi możnych panów, którzy w obrębie swoich posiadłości pragnęli mieć takie źródło duchowej pociechy; i biskup przyczyniał się zwykle do ich zakładania, zezwalając fundatorowi należne kościołowi dziesięciny składać temu domowi Bożemu, który własnym wystawili kosztem a ztąd urósł z czasem przywilej tak zwaney dziesięciny swobodnej, uważany później za jeden z najkosztowniejszych klejnotów wolności szlacheckiej. Resztę dziesięcin zbierał z całej diecezji biskup, mając w nich jedno z najważniejszych źródeł uposażenia swego kościoła, oparte na prawie kanoniczném, które się domagało téj ofiary od całej bez wyjątku chrześcijańskiej ludności.

Dawno już jednak minęły były te czasy, kiedy zbiór dziesięcin stanowił główne źródło kościelnych dochodów. W Polsce od wprowadzenia Chrześcijaństwa, szczodrość książęca niemniej była wylaną dla Kościoła jak dla rycerstwa i świeckich dworaków, więc ogromne obszary ziemi dostały się kościołom katedralnym i klasztorom przy samém założeniu, za czasów Chrobrego i obudwu Mieszków. Sędziwe opactwa benedyktyńskie na Tyńcu, na Łysěj górze i w Mogilnie, miały prawdziwie biskupie uposażenie, wszystkie inne jednak prześcigał klasztor tyniecki, najstarszy a więc nad wszystkimi późniejszymi fundacyami benedyktyńskimi przełożony, którego opat nie darmo panem „stu wsi” się nazywał. Nie tak już bogate było opactwo kanoników regularnych w Trzemesznie, choć dawnych, bo jeszcze Mieszkowych podobno sięgało czasów, lub pokrewny mu późniejszy klasztor czerwieński na Mazowszu. I sieciechowscy wreszcie albo lubińscy benedyktyni nie dorównywali dostatkami starszej braci na Tyńcu lub Łysěj górze, boć i wojewoda Hermana, choć najbogatszym swego czasu był panem, lub wielki hrabia Michał na dworze Krzywoustego, nie mogli się z książętami mierzyć.

Przy pierwotném wyposażeniu kościołów katedralnych i starych opactw książęcej fundacyi, obdarzał monarcha najczęściej biskupa lub klasztor całemi kasztelaniami, z gródem książęcym, z całym obszarem ziem uprawnych, wód i lasów, ze wszystkimi osadami chłopów, do gleby przywiązanych. Te kasztelanie biskupie, które później stanowiły główne jądło posiadłości kościołów katedralnych, były zatém prawie bez wyjątku owocem szczodrości pierwszych monarchów chrześcijańskich, choć nieraz i później jeszcze pobożność książęca dorzuciła jakiś mniejszy gród z okręgiem do pierwotnego uposażenia; tak kujawska katedra otrzymała kasztelanią łagowską dopiero za Władysława Hermana, na wstawienie się księżny Judyty a nawet jeszcze w sto lat później, Leszko Mazowiecki, syn Bolesława Kędzierzawego, obdarzył ją

Płońskiem, starym nadwiślańskim grodem poniżej Włocławka. Od samego jednak, zdaje się, założenia posiadało arcybiskupstwo gnieźnieńskie kasztelanię żnińską na północnych wówczas kresach Wielkopolski i łowicką w mazowieckiej ziemi. Kujawskiego biskupa pierwotnym uposażeniem była kasztelania wolborska, nad lewym brzegiem Pilicy, do czego później prócz łagowskiej, po zawojowaniu Pomorza, przybyła kasztelania gdańska. Do bogatej katedry krakowskiej należały trzy kasztelanie: sławkowska opodal Krakowa, tarczeska w górach świętokrzyskich, w sąsiedztwie posiadłości łysogórskiego klasztoru, obszar późniejszych dwu kluczków biskupich, kieleckiego i bodzętyńskiego, wreszcie chropska, czyli piątkowicka w Sieradzkim. Biskupstwo wrocławskie od dawnych czasów posiadało kasztelanię otmuchowską nad Nisą i część milickiej nad Baryczą, na wielkopolskiej granicy. I Tyniec wreszcie był niezawodnie w prastarych czasach grodem książęcym, a kiedy na wzgórzu zamkowym stanęła metropolia polskich opactw benedyktyńskich, cały okręg dawniej kasztelanii tynieckiej przeszedł na własność klasztoru.

Prócz tych kasztelanii, należały jeszcze do każdej katedry rozliczne włości w obrębie jej diecezji a nieraz i poza jej granicami po całym kraju rozrzucone. Blisko sześćdziesiąt osad na całym obszarze Szlązka, przeważnie dary księcia, choć także i niektórych możnych panów, składało obok dwu kasztelanii, uposażenie biskupstwa wrocławskiego. Nie mniejsza liczba włości arcybiskupa gnieźnieńskiego rozrzucona była po całym kraju: cztery pod samem Gnieznem, dziewięć pod Gąsawą, ośm koło Kalisza, trzy nad Ołobokiem, siedm pod Sieradzem, czternaście nad Wartą pod Spicymierzem, siedm opodal Krakowa, sześć na Kujawach; sama zaś kasztelania żnińska obejmowała 22 osad a między niemi niektóre, jak na ów wiek, bardzo nawet liczne. Około czterdziestu osad miał również klasztor tyniecki w swych posiadłościach za czasów Krzywoustego, później zaś w miarę rozrostu ludności i coraz energiczniejszego trzebieżenia lasów, z każdym niemal dziesiątkiem lat wzrastała ich liczba, tak, że w istocie nie wiele brakowało bogatemu opactwu do legendarnej cyfry stu włości. Do majątku kościelnego należały wreszcie także tak zwane wota książęce, które nieraz większą miały wartość, niż darowizna jakiegoś pustkowieca, oddalonego od głównych kompleksów posiadłości kościelnych. W dowód szczególnej mianowicie łaski i dewocji dla niektórych kościołów lub klasztorów, zobowiązywał się niekiedy książę do corocznego daru, który wypłacano ze skarbu monarszego, lub z pewnych z góry oznaczonych zamków. Tak np. klasztor tyniecki posiadał dwa wota po 12 grzywnien srebra a prócz tego otrzymywał co roku ze stadnin książęcych trzy wybrane żrebięta; katedrę kujawską obdarzył Leszko Mazowiecki coroczną ofiarą dziesięciu garncy miodu z piwnicy książęcej w Włocławku; opactwo zaś mogilnickie otrzymywało po dziesięć, siedm, cztery i dwie grzywny z rozmaitych grodów: z Łęczycy, Spicymierza, Wolborza, Żarnowa i Rozprzy. Skoro zaś dziesięciny były stałym po-

datkiem dla kościoła, który należało składać biskupowi dyecezyi, wolno było księciu dowolnie rozporządzać drugą dziesięciną, t. j., dziewiątą częścią ogólnych dochodów, czyli dziewięciną, czy to ze wszystkich użytków jakiegós terytoryum, czy téż wyłącznie z niektórych bliżej oznaczonych regaliów. Tak np., opactwu mogiłańskiemu przyznana była na całym obszarze Mazowsza dziesięcina z opłat targowych, z mennicy, z daniny składanej do skarbu w wieprzach, z połowu ryb w książących osadach rybackich, a nadto każde dziewiąte nowonarodzone źrebię ze stadnin mazowieckich.

Zadna téż fortuna magnacka nie dorównywała uposażeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, lub krakowskiej katedry i trudno było nawet o świeckiego bogacza, któryby mógł zmierzyć się dostatkami z którymkolwiek starém opactwem benedyktyńskiem, tembardziej, że w rozległych posiadłościach kościelnych podział pracy w osadach chłopskich większy przynosił pożytek i wogóle zmysł organizacyjny kościoła przy wyższym ukształceniu duchowieństwa, najwcześniej w swoich dobrach lepszą gospodarke zaprowadził. Licniejsze wprawdzie i większe obowiązki ciążyły na tych możnowładcach duchownych, bo biskup musiał z dochodów swoich koszta służby Bożej opędzić i liczne orszaki niższego duchowieństwa utrzymywać, a nadto przepisy kanoniczne nakazywały mu używać bogactw kościelnych na wspieranie ubogich, wdów i sierot, pielęgnowanie chorych, pielgrzymów i wszelkiego rodzaju miłosierne uczynki. W tych czasach wreszcie przychodził prawdopodobnie do skutku w dyecezach polskich podział kościelnego majątku na dobra biskupiego stołu i posiadłości kapituł. Ale w każdym razie zależało to przeważnie od dobrej woli każdego biskupa, ile z olbrzymich dochodów swojej stolicy na istotne pomnożenie chwały Bożej, na cele kościelne i uczynki chrześciańskiego miłosierdzia przeznaczał, czego zaś używał dla siebie samego, dla swych prywatnych widoków i dla wzmocnienia świeckiej potęgi swego możnowładczego stanowiska.

Stolice biskupie powstały były w czasie wprowadzenia Chrześcianaństwa przy głównych grodach książących, panujących nad obszarami plemiennymi, z których każdy był odrębną częścią składową świeżo do życia dziejowego powołanej Polski. Kiedy więc jedyne pierwotnie biskupstwo polskie w Poznaniu nie wystarczało już po trzech dziesiątkach lat potrzebom duchowym rozszerzonego państwa, założono z czasem katedrę wrocławską dla Szlązka, krakowską dla małopolskiej Chrobacy, płocką dla zawiślańskiego Mazowsza i poddano je naczelnemu zwierzchnictwu nowej metropolii gnieźnieńskiej. I Kujawom dostało się wkrótce odrębne biskupstwo z kresowém posłannictwem misyi na Pomorzu, siedziba jego wahała się przez czas jakiś między Kruszwicą, Włocławkiem, aż w końcu powaga nadwiślańskiego grodu przygniotła zbladłe znaczenie starego siedliska nad Gopłem. Równie kresowe posłannictwo względem pogańskich Lutyków miał Lubusz, ostatnie biskupstwo polskie na lewym brzegu Odry. Rzecz jasna, że tym dawnym szczepew lechickich ogniskom, w których najczęściej świetny dwór książący prze-

bywał, stolice biskupie nowego dodały blasku. Zgromadziły się w nich wszystkie bogactwa kraju, w ręku księcia i biskupów skupione; u stóp monarszego grodu i murowanej katedry rozbijała swoje siedziby liczna czeladź biskupia i książęca, zatrudniona rzemiosłem i misternymi wyrobami; tu wreszcie powstały główne targi wielkiego, przewozowego handlu, gdyż tylko na dworze księcia, wśród przybywających doń magnatów i między wyższym duchowieństwem, mogli znaleźć zagraniczni handlarze kupca na kosztowny towar, z obcych przywieziony krajów. Niedziw więc, że już wcześniej te stolice biskupie, miastami oddawna zwane, przybrały zupełnie odmienną fizygnomią od nędznych osad wiejskich, rolniczych i służebnych, porozrzucanych po całym kraju.

Nie mogły to być jeszcze miasta w właściwem tego słowa znaczeniu, z odrębną, na samorządzie opartą organizacją, która i w zachodnich krajach od niedawna dopiero z nieznaczących zrazu zawiązków zaczęła się być rozwijać; nie dorównywały też współczesnym miastom u sąsiednich narodów słowiańskich, na Rusi i na Pomorzu. Tam bowiem roły się miasta od rodzimój ludności kupieckiej, wzbogaconej ruchliwem wyzyskiwaniem ożywionych stosunków handlowych, która w ustroju społecznym i politycznym narodu ważną odgrywała rolę. Ruś miała w swych spławnych rzekach, ku morzu Czarnemu płynących i w samem dalej morzu, wygodny gościniec handlowy do Carogrodu, tego ogniska handlu orientalnego, gdzie za surowe produkta ziem ruskich, łatwo było dostać kosztownych wyrobów wydoskonalonej techniki bizantyńskiej i muzułmańskiej. A choć wiele tych artykułów zbytku zostawało na Rusi, kto tylko miał trochę zmysłu handlowego, mógł je z dobrym zyskiem dalej odprzedać, bo z Zachodu przybywali po nie kupcy lądową drogą do Kijowa, a morzem do wybrzeży bałtyckich, do których znów drugą siecią rzek ruskich wygodny prowadził gościniec. I Pomorzanom nie trudno zatem było wyzyskać szczęśliwe położenie handlowe swój ojczyzny, skoro ich los posadził nad tém morzem, które Zachód europejski z przystaniami północnej Rusi łączyło. Że im zaś w handlu morskim przeszkadzały łupiestwa normańskich mieszkańców południowego wybrzeża Bałtyku, więc obok zmysłu handlowego rozbudziła się w nich żyłka korsarska, która nadając kupieckiemu zawodowi pewien zakrój rycerski, wyniosła go nawet na wyżynę przedniejszej warstwy społecznej. U nas było inaczej. Kierunek polskich rzek odsunął ludność od stosunków handlowych z Rusią i kupcami bizantyńskimi, témbardziej, że Ruś te same miała do zbycia surowe produkta, a wcześniej nabrawszy zmysłu spekulacyjnego, nie dopuszczała sąsiadów do konkurencji. Ujścia zaś rzek naszych strzegły właśnie w czasach, w których charakter narodu już pewien ustalony przybierał kierunek, wrocie Polsce i w wojnie tylko stykające się z nią plemiona. Wskutek tego, zmysł handlowy, tak bujnie rozwinięty u sąsiednich współplemieńców, obcym pozostał polskiej ludności; choć zaś później nastąpiły pomyślniejsze stosunki dla zbycia krajowych produktów, brakło przedsiębiorczości kupieckiej, brakło inicjatywy i tylko obcym przyby-

szom sprzedawano surowe płody, jeśli się po nie zgłosili po drodze w swych wyprawach handlowych. Cały obszar Polski przerzynały bowiem utarte gościńce kupieckie, które w ogólnym systemie ówczesnego handlu europejskiego ważną odgrywały rolę. Po nich to snuli się przedsiębiorczego ducha cudzoziemcy, wioząc na Zachód bogaty towar wschodni z Kijowa. W przejeździe przez Polskę warto im było naładować wozy polskimi futrami, skórą, woskiem, a nieraz i zbożem, bo i w miastach niemieckich i w Kijowie nawet, gdzie je obok ruskiego towaru na targ wystawiano, zawsze znalazł się kupiec na te produkta.

Widywano więc w Polsce na szlakach handlowych i Niemców i Rusinów, najbliższych sąsiadów z jednego i drugiego końca, ale jednych i drugich było niewiele, bo Rusinom lepiej opłacała się podróż do Carogrodu, a kupiec niemiecki, nie ośmielony jeszcze do wielkich przedsięwzięć, poprzestawał przeważnie w owych czasach na skromniejszym zysku z pośrednictwa handlowego wewnątrz kraju. Najwięcej zmysłu i sposobności do utrzymywania kosmopolitycznych stosunków handlowych między Rusią a Zachodem, mieli żydzi, to plemię bez ojczyzny, pochodzeniem i wiarą wszystkim narodom chrześcijańskim obce, w którego też rękę zmonopolizował się prawie cały ten handel. Niedawne to zresztą były jeszcze czasy, kiedy i na Zachodzie, w Niemczech, lub we Francji, tak mało ludności krajowej garnęło się do spekulacji handlowych, że pojęcie kupca łączyło się prawie nierozdzielnie z pojęciem żyda. Kosmopolityczne rozproszenie po całym świecie, wskutek którego wszędzie znajdowali żydzi swych współwyznawców, popierało już wielce wszelkie ich stosunki handlowe, a właściwa temu plemieniu semickiemu łączność i solidarność, ułatwiała kupcom żydowskim niezbędne w wielkich spekulacjach gromadzenie znaczniejszych kapitałów. Handel zaś ruski od wieków już żydów ku sobie nęcił, zwłaszcza w IX i X stuleciu, kiedy w sąsiedztwie wschodniem Rusi mieli tak wygodny punkt oparcia u Chazarów, których władcy na ich wiarę wtedy się nawrócili. W Polsce chętnie widziano i przyjmowano tych przelotnych ptaków, bo od nich tylko można było dostać gotówki, lub bogatych wyrobów za zbędny zasób surowych płodów, lub za świeżego niewolnika. Nie broniono im nawet nabywać włości, jak świadczy przykład Piotra Włostowicza, który od żydów odkupił Tynec na Szlązku.

Rzadko jednak zajmowali żydzi w Polsce stałe siedziby; gospodarstwa rolnego nie mieli ochoty się tykać, mając w handlu o wiele obfitszy zarobek, a nawet do miast nie garnęli się na mieszkanie, bo i tam do wielkich spekulacji nie było pola; stosunki ekonomiczne zamało wogóle się rozwinęły, a ludność krajowa była jeszcze albo zanadto bogatą, albo zbyt ubogą, żeby lichwiarskie rzemiosło mogło się dobrze opłacać. Inaczej było w Czechach, albo na Rusi. W Kijowie tyle żydowstwa się namnożyło, że Włodzimierz Monomach wypędzać je już musiał z swojej stolicy, Praga zaś także nęciła ich do siebie, bo tam na rozgraniczu Wschodu i Zachodu europejskiego był szczególnie dogodny punkt do kierowania wielkimi spekulacjami handlowymi. I w polskich zresztą

miastach osiedlało się już wówczas po kilku, lub kilkunastu żydowskich przybyszach, którzy pomagali w interesach owym przejeżdżnym współwyznawcom. Później z każdym dziesiątkiem lat wzrastała się ich liczba, zwłaszcza odkąd w epoce krucyat coraz większego prześladowania w Niemczech doznawali.

Wskutek wypraw krzyżowych wreszcie, wskutek bliższego zetknięcia między Wschodem muzułmańskim, a chrześcijańskim Zachodem, zaszły w następnych czasach ważne zmiany w całym systemie europejskiego handlu, ożywiły się bezpośrednio stosunki handlowe miast włoskich ze Wschodem, a handel ruski coraz bardziej tracił dawne znaczenie. Dla żydów było cios wielki; prześladowania wzrastały się, w zachodnich krajach rodzimy żywił mieszczkański, rozwijający się w coraz większą potęgę, odsuwał ich od konkurencji w handlu i nic im nie pozostawało, jak lichwa, do której już trzeba było stałe zajmować siedziby. Tymczasem zaś i w Polsce ożywiały się ekonomiczne stosunki, wzmógł się obrót pieniężny i dla lichwiarskiego rzemiosła więcej już było pola, odtąd więc i żydzi gęściej zaczęli w kraju osiadać.

Zaczęło się to mniej więcej od połowy XV wieku. Wtedy to już także i przemysł zachodnich krajów, rozwijawszy się pod wpływem krucyat, zaczął coraz więcej zaopatrywać Polskę w swoje produkty, odkąd handel ruski przestawał być dla niej jedyną kopalnią zbytkowych artykułów, a więc z wolna poczynali się garnąć do kraju kupcy niemieccy. Gdziekolwiek zakładali sobie po miastach polskich kupieckie kantory, które służyły do utrzymywania stosunków z ogniskami życia handlowego w ojczyźnie. Wprzód jeszcze wskazała im tę drogę ludność rzemieślnicza. Bo odkąd w Polsce wzrastały się wytworniejsze potrzeby codziennego życia, nie mogła im nastarczyć nieliczna czeladź rzemieślnicza, która tylko księży i biskupów była własnością. Przedsiębiorczy rzemieślnik niemiecki, osiedlwszy się w którymś z miast polskich, mógł zawsze na wyroby swoje znaleźć kupca między możnymi panami, a jeśli się odznaczał zręcznością i szczególną jakąś tajemnicą techniki posiadał, zdarzało mu się niebawem sposobność zarobić coś także na dworach książęcych i biskupich, choć tam pospolite zwłaszcza roboty wykonywała zwykle czeladź rzemieślnicza.

Taka to ludność różnorodna skupiała się w ówczesnych miastach polskich. To też choć zaludnienie nieliczne jeszcze zwykle było i tylko w czasie jarmarków ożywiała się atmosfera napływem obcych handlarzy, niemałe dochody miewał pan miasta, którym prawie zawsze był sam książę. Do niego prócz ceł, myta przewozowego i wszelkich opłat targowych, należało również wyłącznie prawo utrzymywania karczem i jatek, w których ludność miejska przepędzała dni świąteczne i zaopatrywała się w napój i pożywienie. Rzadko wprawdzie pozostawały karczmy i jatki własnością książęcą, zwykle obdarzał nimi monarcha jakis kościół, lub klasztor, który, wypuszczając je później w dzierżawę, miał przeto zapewniony stały dochód coroczny. Tak np., w Krakowie dwie jatki należały od czasów Bolesława Chrobrego do opactwa na Tyń-

cu, dwie inne zaś, a prócz tego trzy karczmy z przyległemi gruntami, posiadała tam samego założenia kolegiata św. Michała na zamku, mając z nich w XIII wieku około pięciu grzywien srebra rocznego dochodu. Różna jednak bywała wartość takiej własności, w tym samym bowiem czasie przynosiły klasztorowi trzebnickiemu karczmy i jatki w Wrocławiu przeszło dwadzieścia grzywien. I obcy rzemieślnicy wreszcie, osiedlając się po miastach, musieli składać księciu jakieś stałe opłaty, ale zato doznawali jego opieki i czasem mieli nawet zwierzchnika zpośród siebie wybieranego, a tém samém jakiś związek osobnej gminy i samorządu.

Przedewszystkiém jednak zależało osadnikom miejskim na obronie i bezpieczeństwie w razie nieprzyjacielskiego napadu. I własny interes zresztą nakazywał księciu dbać o to, by w czasie wojny miasto nie uległo zniszczeniu, bo z każdą kłeską, która je spotkała, wysychały źródła skarbowych dochodów. Dlatego téż do pojęcia miasta należało obwarowanie całego obszaru, przez różnorodną ludność miejską zamieszkałego. Nie miały jeszcze wprawdzie ówczesne miasta, tak jak późniejsze średniowieczne komuny, warownych murów z mnóstwem baszt obronnych, na których utrzymanie tyle kosztów łożyło bogate mieszczaństwo. Ani gmin bowiem miejskich nie znała wówczas Polska, ani nawet zamki książęce murów nie miały. Ale takiego przynajmniej obwarowania, na jakie stać było grody ówczesne, nie odmawiano także i miastom; okalał je zatém bezwątpienia częstokół drewniany, wśród którego w należytych odstępach, dla łatwiejszego przeglądu okolicy wznosiły się modrzewiowe wieżyce, a wały ziemne i głębokie fosy wylane wodą i połączone z korytem rzeki, dopełniały pierwiastkowego obwarowania. Wszystko to było zarazem zewnętrzną linią fortyfikacyjną, ku tém bezpieczniejszej obronie wewnętrznej cytadeli, w której obok zamku książęcego mieścił się kościół katedralny, a przy nim mieszkanie biskupa i duchowieństwa. Jeśli zresztą zamek, jak w Krakowie, wznosił się na wzgórzu nad samym brzegiem rzeki, która z swym zakrętem była dlań główną, naturalną obroną, wtedy podgrodzie, opasane odrębnym obwarowaniem, z jednej tylko strony otwarte, przypierało nią do zamkowego wzgórza, stanowiąc również z swemi fortyfikacyami zewnętrzną linię obronną, po której przełamaniu dopiero nieprzyjaciel mógł przystąpić do oblężenia zamku.

Szczypty w każdym razie był obszar miejskiego podgrodzia, już dla samój trudności obwarowania rozleglejszój płaszczyny; to téż ciasno w niém było różnorodnej ludności, której wypadło zamieszkać u stóp zamkowego wzgórza. Dla kogo zatém nie stało miejsca na tym ścieśnionym obszarze, osiadał za drugą linią fortyfikacyjną, na przedmieściach, w sąsiedztwie osad służebnych księcia, lub biskupa i wraz z niemi w czasie napadu nieprzyjacielskiego chronić się musiał za fosę i częstokoły, zostawiając domostwo swoje na pastwę najeźdźców. Miasto samo, czyli podgrodzie, nieokazały miało pozór, wszystkie światności skupiały się na zamku. W braku gminy, w braku jakiegokolwiek



organizacji miejskiej, nikt nie dbał o utrzymanie czystości i porządku. W każdym mieście musiał być obszerny plac niezabudowany, na którym odbywały się targi; tam przybywała okoliczna ludność włościańska ze swoją chudobą, na którą w mieście najłatwiej kupiec się znalazł; tam obcy handlarze rozbijali namioty, wystawiając w nich kosztowny towar na sprzedaż, dokoła zaś stały jatki i karczmy, w których wesoło odbywały się dźwięki gęśli, zwłaszcza w dni świąteczne, lub w czasie jarmarku, kiedy cały plac gęsto był zasiany płótnami namiotów. Od placu targowego, aż do częstokolów, ciągnęły się ulice, zabudowane po obu stronach rzędami lichych chałup, nędznie z drzewa ciosanych, lub kleconych z gliny, a w nich osobno mieszkała rzemieślnicza czeladź, osobno żydzi, osobno zwłaszcza cudzoziemcy w mieście osiedli, którzy w obcym kraju chętnie trzymali się razem; tak np., w Wrocławiu, już w XII wieku, była ulica Walońska, wyłącznie przez przedsiębiorczych przybyszy z Flandryi zamieszkała. Czasem i pan jakiś, lub rycerz, zakupił sobie w mieście kawał gruntu i wystawił na nim dom niewielki, w którym, przybyszy do miasta, miał wygodne schronienie, o niczyją łaskę nie dbając. Na ulicach błoto nigdy prawie nie wysychało, a koła kupieckich wozów tonęły w podmokłej ziemi; istne bagna rozlewały się pomiędzy rzędami domów i tylko po mostach, lub kładkach, naprędce z drzewa stawianych, dostać się można było z jednej ulicy na drugą.

Nie lepiej wyglądały ulice Gniezna, kiedy w sto lat przed czasami Krzywoustego, w połowie marca 1000 roku, cesarz Otto zdążył niemi do grobu św. Wojciecha. Chrobry pragnął osłonić nagą tę nędzę swojej stolicy wszystkimi bogactwami, jakie jego własny i przodków jego oręż od wieku w skarbcu nagromadził; wysłał więc cesarzowi błotną drogę aż do samych progów świątyni lśnąciami wspaniałościami kosztownej purpury, szeleszczących jedwabów i drogich kobierców złotem przetykanych. Nędzne ulice Gniezna nie raziły panów z niemieckiego orszaku Ottona, boć i w własnej ojczyźnie, choć o tyle starszą szczylicili się cywilizacją, rzadko zdarzało im się coś lepszego widzieć po miastach. Sam cesarz jednak, bizantyńskiej matki dziecię, przywykły do monumentalnych pozostałości starego Rzymu, czuł pewnie dobrze, że po „barbarzyńskiej” stąpa ziemi, której przed nim żadnego jeszcze Rzymianina stopa nie dotknęła. Ale mało zapewne zważał Otton na kurne chaty gnieźnieńskich ulic: on lubił blask i przepych, bo młodzieńcze jego, marzycielskie oko widziało w nim piętno cywilizacji, do której wdychał ten najpiękniejszy fantasta w cesarskim dyademie, instynktem szukając dróg, któremiby świat cały mógł do niej poprowadzić. Olsnił go zatem i upoił przepych, który gospodarz jego rozwinął na przyjęcie cesarza i rozkochał się w Chrobrym tém bardziej, że ten potężny książę barbarzyńskich Słowian, który wspaniale umiał władzę świata u siebie przyjmować, tyle zasług położył około rozkrzewienia chrześcijańskiej wiary wśród swoich ludów i takiej pobożności dał dowody w czci swojej dla Ottonowego przyjaciela, niedawnego męczennika, apostoła Prusaków. To był człowiek, w którym cesarz spodziewał się znaleźć

godnego współnika swoich pięknych imperatorskich marzeń i planów. I nie pomylił się tym razem instynkt fantasty. Niebawem śmierć prze-rwała tęczową przedzę jego marzeń ale uczczony przezeń władzca Le-chitów, któremu Bóg dał jeszcze pożyć ówczesnego wieku dla dobra swego państwa i całej ludzkości, miał czasu dosyć, by rojowisku barbarzyń-skich plemion, zbitych w jeden naród żelazną obręczą swęj potęgi kró-lewskiej, narzucić tak silną organizacją, napoić choćby gwałtem taką dozą cywilizacyjnego pigmentu, że za wnuków jego już Polska do cy-wilizowanego należała świata a społeczeństwo jęj, zdolne rozwijać się dalej, dawno już się wyłoniło z dziecięcęj, nawpół sennęj toni przed-dziejowego nicestwa.

Przywykliśmy wprawdzie wyobrażać sobie tę dobę przedhistorycznego nicestwa w słonecznych barwach legendowęj sielanki złotego wieku. Choćby jednak w istocie ta epoka miała w sobie tyle idyllicznego pierwiastku, ile tylko najzarliwszy obrońca rodzimęj cywilizacji słowiańskięj może sobie wyobrazić, niepodobna zaprzeczyć, że obok tęj sielanki było w nięj dość miejsca na straszną jeszcze surowość obyczajów, prawdziwem barbarzyństwem tchnącą. Wszak zaledwie w trzy, lub cztery dziesiątki lat przed pielgrzymką Ottonową, było to jeszcze w Polsce pospolitą rzeczą, że po śmierci męża jedna z żon jego, wyziona-wszy ducha pod nożem ofiarnym, wraz z jego ciałem płonęła na stosie. Mógły to kto uważać za surowy wprawdzie, ale dodatni rys małżeńskięj wierności i w istocie arabski pisarz Al-Bekri, który nam o czasach Mieszkowych ciekawe wiadomości przekazał, oddaje należne pochwały czystości małżeńskięj lechickich niewiast. Dziewczęta jednak ówczesne, według tego samego pisarza, nigdy nie dostawały się mężom dziewczycami, skoro bowiem tylko dorosły i rozkwitły, co nocy wychodziły z domu, by rankiem znów do rodziców powrócić, używszy do syta miłosnych rozkoszy w domu jakiego młodzieńca z sąsiedztwa. Byłto zaś widocznie powszechny zwyczaj, bo gdy mąż przypadkiem dziewięć pojął w małżeństwo, odpychał ją ze wzgardą i cierpkim wyrzutem, że gdyby była coś warta, pewnieby już był się kto na tęp poznał do tego czasu. Co się działo z dziećmi, które takim odwiedzinom dziewczęcęm życie zawdzięczały, nie mówi pisarz arabski; niemają jednak musiał być dla rodziców kłopot z dziewczętami, skoro o Pomorzanach np., wiadomo, że zabijali nowonarodzone córki, jeśli ich więćj w rodzinie na świat przychodziło. Późne echo tych stosunków odzywa się jeszcze w edyktach czeskiego Brzetysława, których właśnie zadaniem było stare pogańskie narowy z gruntu wyplenić. Ksiązę naznacza w nich mianowicie karę wygnania na dziewczęta i wdowy, które tracąc wstydy i dobre imię, w nieprawych związkach w ciążę zachodzą. „Boć przecież, dodaje naiwnie dla usprawiedliwienia tęj surowości, skoro im nikt nie broni prawowitych małżeństw zawierać, na cóż łączą się nieprawnie z mężczyznami i później płód z siebie spędzają, co jest największym grzechem ze wszystkich zbrodni.”

Cokolwiek jednak działo się z dziećmi tych pogańskich odwiedzin dziesiętych, choć niewiadomo, jakie stanowisko w społeczeństwie im się dostawało, to pewna, że nawet największa ich liczba nie zdołała nadwzględnić znaczenia rodziny, jak o tém świadczy potęga rodowego pierwiastku, który w budowie społecznej wszystkich szczepów słowiańskich, tak ważną rolę odgrywał. Nietykalna w istocie była świętość związków rodzinnych. W Czechach, gdzie w pierwotnych czasach stosunki społeczne i obyczajowe tak mało od naszych się różniły, mamy w jednym głośnym wypadku z X wieku ciekawą ilustracją, co znaczyła w rodzinie czystość i wiara małżeńska. Możnemu władcy sprzeniewierzyła się żona, zaszczytwszy jakiegoś kłeryka swojemi względami; skoro zbrodnia się wykryła, jedynem schronieniem dla nieszczęśliwej niewiasty była opieka Kościoła, bo cały ród oszukanego męża, wszyscy krewni porwali się do noża, by we krwi cudzołżnicy zmasać hańbę swego imienia. Lecz na nic nie przydała się jej opieka łagodnego biskupa św. Wojciecha: wywleczono ją od ołtarza, którego się chwyciła konwulsyjnie drżącymi rękami i musiała zginąć pod nożem mściwego małżonka. Że zaś cudzołżstwo i porywanie cudzych żon, mimo to nie należało do rzadkich, wyjątkowych wypadków, jak o tém pewne świadczą wskazówki, łatwo sobie wyobrazić, jak krwawe i okropne zajścia zamęcały tę pozorną sielankę prastarych czasów słowiańskich. Mimo to wszystko zresztą, mimo świętości i nietykalności związków rodzinnych, czémże była rodzina wobec powszechnego, a głęboko zakorzonego wielożeństwa, z którym napróżno przez tak długie lata przyszło Kościołowi walczyć. Mąż dbał o wierność małżeńską swych żon i nałożnic, nietylko z instynktu i obyczaju, ale i z obowiązku, gdyż wobec całego rodu był za to odpowiedzialnym, żeby mu nie wkraść się do rodziny cudzy bękart, któryby zarówno z jego własnymi synami miał prawo do wspólnej własności rodowej. Ale niewiasta w wielożeństwie czémże innem być mogła, jak sługą w domu, między wieloma sługami i warsztatem do produkcji nową siłą roboczą w przyszłym pokoleniu <sup>1)</sup>: o cywilizacyjnem posłannictwie kobiety nie mogło być mowy. Wielożeństwo musiało w Słowiańszczyźnie mieć te same zło i rozprzegające następstwa, co na Wschodzie, bez tych niejakich korzyści, które poligamia przynosiła orientalnój naturze wyznawców Islamu, będąc w tamtejszych warunkach klimatycznych złą, lecz nieuniknioną koniecznością.

Bądź co bądź, było jednak już wielki postęp w stosunku do dawniejszego stanu cywilizacyjnego tych plemion, którego archeologiczne zabytki przechowały się długo u odgradzonych od reszty świata ruskich Drewlan, Radzycyzan i Wiatyczan. Ideałem społecznych stosunków było bowiem wielożeństwo wobec komunizmu niewiast, i indywidualna

<sup>1)</sup> Wielożeństwo wspólne wszystkim Słowianom, najdłużej utrzymało się wraz z pogaństwem u Pomorzan, gdzie je św. Otto w całej pełni jeszcze zastał. Obacz Ebbona, Herborda i mnicha Prieflingeńskiego.

własność, choć ściślemi szrankami rodowego dziedzictwa ograniczona w porównaniu z bezwzględny komunistycznym rodowej własności. Również w dziedzinie rodzinnych pojęć religijnych niepodobna zaprzeczyć Słowianom nieustannego postępu, o którym świadczą niewątpliwie różne fazy w rozwoju mitologicznych wyobrażeń u rozmaitych plemion. I w tym też jest jedyna odpowiedź na wszelkie deklamacje o bezwzględnej niezdolności słowiańskiego szczerpu do dalszego rozwoju z rodzinnych pierwiastków, bez zetknięcia się z obcymi żywiołami. Jak powolnym jednak musiał być ten rozwój i do jak nieznacznych w nim rezultatów całe wieki doprowadzały, o tym pouczy nas najlepiej stan cywilizacyjny połabskich Lechitów w połowie XII stulecia, w dwieście lat po nawróceniu ich braci nad Wartą i Wisłą. Nie samych Słowian zresztą było to właściwością, boć i u Saksonów pogańskich spotykamy się po ośmiu wiekach swobodnego i niczym nie krępowanego rozwoju z tym samym ustrojem społecznym i tą samą cywilizacją, co u plemion germańskich Tacytowego opisu. Ten pewnik bowiem tylekroć już dzieje stwierdziły, że takie ludy pierwotne, tylko gwałtownym zerwaniem z dawnymi, rodzinnymi stosunkami, przesiąknąwszy obcym wpływem cywilizacyjnym, mogą wyjść z pierwiastkowej nicości, stać się narodem i z resztą świata naprzód podążać, choć im to przychodzi okupić utratą niejednej powabuń i sielankowej cechy rodzinnych stosunków.

To też inny był nawskróś naród Krzywoustego od ludów Mieszkowych lub pod Chrobrego panowaniem. Kościół zapuścił silne korzenie potęgi i wpływu, wytepił z gruntu wielożęstwo i w ogóle w całej dziedzinie etycznych stosunków zeszedł był już tak obficie plon Chrześcijaństwa, że Polska niewiele się różniła pod względem moralnym od zachodnich sąsiadów. Rozmaite zresztą były owoce tej działalności Kościoła w różnych okolicach kraju, gdyż duchowieństwa parafialnego nie tak liczny jeszcze był zastęp, a wpływ Kościoła rozchodził się przeważnie ze stolic biskupich i klasztorów. Toż samo było z oświatą, przez Kościół krzewioną. Choć zresztą nauka, jak w całym świecie ówczesnym, nie przestawała być wyłącznym prawie monopolem duchowieństwa i niewiele ję udzielało się całemu społeczeństwu, to już przez wybitną rolę, jaką biskupi w dziejach narodu odgrywali, wpływ ję widocznie w nich się objawiał. Nietylko wreszcie żaki do służby kościelnej przeznaczone, uczyły się w szkołach przy krakowskiej katedrze, która już za Władysława Hermana obcym nawet a wykształconym przybyszom wydawała się niepośledniem źródłem nauki. Nawet magnaci rycerskiego rzemiosła, niemato dbać musieli o wykształcenie swych dzieci, skoro św. Ottonowi, nauczycielski zawód przyniósł w Polsce znaczne dostatki. Nie na uczonych wprawdzie kierowały się pod jego okiem magnackie dzieci, ale choćby tylko znajomość katechizmu z tej nauki wyniosły, w każdym razie w całym życiu tych późniejszych dostojników Krzywoustego, odbić się musiał wpływ wychowawczy tak niepospolitego człowieka, który później w całym świecie, wobec ce-

sarzy i papieży, zasłynął jako jedna z pierwszych znakomitości swego czasu.

Obce żywioły nie przyniosły Polsce feudalizmu, którego giętkie i podatne formy były w owój epoce, dla ówczesnych potrzeb najdogodniejszym bezwątpienia i najdoskonalszym typem społecznych stosunków. Niéma czego jednak żałować, gdyż ten skok byłby nadto gwałtownym, a społeczeństwo zakute przemocą w kajdany zupełnie obcych, rodzimemu jego duchowi nieodpowiednich stosunków, byłoby musiało utracić wszelką swobodę indywidualnego rozwoju. Ustrój społeczny, na który złożyły się zarówno obcy wpływ jak i rodzimy pierwiastek, był prosty wprawdzie i pod wieloma względami niedoskonały, ale przystawał dobrze do indywidualności narodu, rozwiniętej w ciągu dwu wieków dziejowego życia. Jako machina do wyszukiwania bogactej przyrody kraju na pożytek narodu i świata, miała organizacya społeczna ówczesnej Polski rozliczne braki, ale była stokroć wyższą od dawnego stanu przed dwoma wiekami, kiedy rzadko rozsiadła ludność lechickich plemion, niezdolna jeszcze zapanować nad przyrodą, ledwie drobną cząstkę jej sił dla siebie wyzyskać umiała. Co najważniejsza zaś, ustrój ten, choć młodociany i pierwiastkowy, miał niezaprzeczoną zdolność doskonalenia się i szybkiego rozwoju, a nietrudno nawet wskazać w nim te kiełkujące zawiazki postępu, którym potrzeba było tylko popchnięcia w właściwym kierunku.

Zawsze jeszcze wiele bogactw kraju leżało odłogiem i brak tylko było rąk, brak siły roboczej, żeby je na pożytek narodu obrócić. Nie starczyła na to niewola ludności chłopskiej, bo i liczba jej nie była dostateczna i w pracy niewolnika zamało było energii i ochoczości, skoro wyłącznie dla cudzego musiał się wysilać pożytku. Przystawały wreszcie sączyć źródła niewoli, z każdym bowiem dziesiątkiem lat mniej było pola do wojen o zakroju dawnych wypraw zdobywczych, a tém samém i do połowu niewolnika. Najskuteczniejsze lekarstwo na ten brak zaczynała jednak społeczność narodu znajdować sama w sobie. Zubożali dziedzice, spadając do klasy czynszowników, na obcych włościach wskazywali drogę, gdzie szukać należało lekarstwa. Z nich mógł się utworzyć stan wolnych kmieci czynszowych, najwłaściwsza siła robocza do zużytkowania tyłu pustek i odłogów, tyłu nieprzystępnych dla potrzeb narodu bogactw przyrody. Czynszowi kmiecie, nie tracąc osobistej wolności, inną zupełnie mieli, niż niewolnik podnieję do skrzętniejszej pracy i intensywniejszego gospodarstwa, bo co im z plonów zostało ponad wysokość należnego czynszu, to ich wyłączną było własnością, szczeblem do zamożności coraz większej i do lepszego losu. Potrzeba było tylko silniejszego popchnięcia zewnątrz, wzorów do intensywnego gospodarstwa i do organizacyi stanu czynszowników. To téż odkąd tylko niemieckie klasztory w następnych lat dziesiątkach zaczęły sprowadzać kolonistów z swojej ojczyzny, osadzać ich na czynszu i wolne gminy dla nich zakładać; niebawem i Polacy poszli za niemieckim przykładem, a nie tylko obcych sprowa-

dzali przybyszy, ale również i chłopskim osadom zaczęli nadawać organizacją swobodnych niemieckich kolonii.

Drugim zadaniem, które następne czasy musiały spełnić, było wytworzenie krajowego przemysłu i handlu, a z nim razem miast w właściwem tego słowa znaczeniu i mieszczańskiemu żywiołowi. W czeladzi rzemieślniczej księcia i biskupów i w przybyszach, którzy po miastach osiadali, oddając się rzemiosłu, był już pewien ku temu związek, zbyt słaby jednak, żeby bez silniejszego popchnięcia z zewnątrz, mógł się rychło należycie rozwinąć. I na Zachodzie bowiem, nie od rzemieślników wyszedł ten ruch społeczny, którego owocem było powstanie swobodnych komun miejskich, lecz od bogatszej i obrotniejszej klasy kupieckiej, której dostatki, nagromadzone przedsiębiorczością handlową, rychlej nadały potrzebną do tego siłę, a zarazem i tój siły poczucie. Polacy zaś nietylko nie mieli zmysłu do handlu, ale również w budowie społecznej narodu, brak było materyału na klasę kupiecką, bo rzemieślnik był zanadto biedny i przygnębiony, żeby mógł dojść do kapitału i przedzierzgnąć się w kupca, a z magnatów i biskupów, w których rękę jedynie skupiała się potęga kapitału, również nie mógł się zrekrutować stan kupiecki. Tylko dla cudzoziemskich zatem, niemieckich zwłaszcza spekulantów, było pole do interesów handlowych. Ale niemieccy kupcy nie radzi byli osiadać jednostkami po miastach polskich, by w drugim już pokoleniu zrosć się z nową ojczyzną i tak dać początek narodowej klasie kupieckiej. Potrzeba im było do rozwinięcia interesów handlowych komunalnej atmosfery, tych wszystkich swobód i przywilejów gminnej organizacji, którą miasta zachodnie w powolnym rozwoju, w ciągu wieków sobie zdobyły. Nic też w następnych czasach nie pozostawało Polsce, jak zaszczerpieniem tój samej organizacji na swoim gruncie, obcy żywioł handlowy i przemysłowy do siebie przynęcać. Na niemieckie więc tylko miasta stać nas było w średniowiecznej epoce, niemieckie instytucjami swemi i ludnością, w których nie tak łatwo jak w koloniach wiejskich rodzimy żywioł mógł sobie zdobyć przewagę, bo je stosunki handlowe nieustannie z dawną ojczyzną wiązały.

Takie dwa problemata pozostawił do rozwiązania ustrój społeczny narodu, w czasach Krzywoustego następnym czasom. Rozwiązanie było proste i łatwe, choć co do drugiego problematu niekorzystne dla narodowego pierwiastku. Nim jednak do niego przyszło, musiały wprzód w dziejach politycznych narodu zajść nowe, ważne wypadki, w skutek których ustrój państwa znaczniej uległ przemianie, a w jego zmienionych ramach i na polu stosunków społecznych nowy ruch się obudził.

# SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

*Emila Castelara.*

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską* \*).

Tom I.

X.

Margarita pozostała w dziwném osłupieniu. Nie pojmowała co się z nią dzieje. Nawykłą do widzenia zawsze wokół siebie zepsucia, fałszu, uczuć kłamanych, ta wysoka prawość, te słowa natchnione, to szczytne zaparcie się, dla niej rzec można całkiem obce, osłepiły ją swojemi nieznanymi a cudnymi blaski. Biedna ta śpiewaczka, jakby mocą jakiegoś czarodziejskiego zaklęcia, wzbudziła w jój sercu niepokój, zamąciła jój myśl, utkwiła w jój pamięci, z której zwykle wszystko tak chyżo ulatywało. Margarita uczuła jój wyższość nad sobą: pani można i bogata widziała na jój skroni koronę, której ona nie mogłaby nabyć dla siebie za wszystkie swoje dyamenty.

Z téj zadumy wyrwało ją nadejście garderobiany, która szukała pani aby ją rozebrać i położyć do łóżka. Margarita roztargniona szła do swojej sypialni, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z silnego wrażenia.

\*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za sierpień r. b.

Położywszy się, napróżno starała się usnąć. Rozgorączkowana wyobraźnia przedstawiała jęj ze wszystkimi odcieniami postać Anieli, jęj miłość, jęj tkliwość, jęj niedołę. A przy tęp wszystkięp wspomnienia te rozżarzały w nięj wielką namiętność dla Edwarda. Od chwili gdy go widziała kochanym przez istotę tak wyższą, zaczynała coraz większą cenę przywiązywać do posiadania jego serca.

Nareszcie widząc iż w żaden sposób niepodobna przywołać snu na powieki, wstała a pierwszęp jęj staraniem było zapytać się zwierciadła o wdzięki swojej twarzy.

Jakkolwiek miłość własna zwykła blaskiem piękności powlekać zwierciadła, a mitologiczna słabość Narcyza trafia się bardzo często i bardzo pospolicie na tym świecie; jednakże Margarita widząc swe li-ca blade, oczy podkrążone siną obwódką, usta spiekłe i zbiełate, jakiegoś przykrego doznała uczucia i z piersi jęj wydarło się przeciągłe westchnienie skrytej obawy.

Zapomniała już o tęp, że Edward nie zadowolnił jęj pragnienia zemsty; zapomniała także o jego przedtęp tak uległej a przez to samo lekceważonej miłości: od chwili gdy na horyzoncie pojawiła się mała chmurka, płomień namiętności dotąd tak obrachowanej, rozlił się potężnie w jęj duszy. Ustroiła się bardzo starannie, pilnie studyowała ruchy i wyraz twarzy, jak gdyby bezlitosna hardość jęj ducha przemieniła się w najpospolitszą zalotność.

Edward spóźniał się niezwykle. Margarita bezustanku tylko wstawała, chodziła i znów powracała do okna, to niecierpliwie biegala po swych wspaniałych komnatach, gwałtownie rzucała drzwiami, z wściekłością mięta trzymaną w rękę chusteczkę, a nawet czasem cisnęła o ziemię jakie cacko z chińskiej porcelany, chcąc aby ten hałas i szczątki po posadzce rozsypane, oderwały choćby na chwilkę jęj uwagę od dotkliwych pocisków burzącego się w nięj niepokoju.

W końcu dał się słyszeć w dali turkot powozu. Margarita roz-tworzyła okno chcąc zobaczyć czy to będzie powóz jęj kochanka, lecz sama skryła się za firanki, aby Edward nie domyślił się jęj niecierpliwego wyglądania.

Wistocie był to jego powóz. Młodzieniec wysiadł, leniwym krokiem przeszedł pałacowy perystyl, wstąpił na wschody, a wchodząc do pokoju w którym zwykle przesiadywała Margarita, wyciągnął do nięj rękę: lecz nie z tęp dawnęp upojeniem, ale z wyraźną oziębłością.

— Co panu jest?—spytała Margarita—czyś pan chory?

— Nic mi nie jest.

— Oszukujesz mię pan z pewnością: nigdy nie widziałam pa-na tak smutnym.

— To, to prawda.

— A nie wolno mi się spytać o przyczynę?

— Miałem sen.

— Głębokie musiał ten sen sprawić na panu wrażenie?



— Bardzo głębokie!!! Stawił mi przed oczy dawniejsze moje życie...

— A muszą to być wielce miłe wspomnienia, skoro taki żal w panu obudzają.

— O! bardzo miłe!

— A jednakże w owém życiu, ja żadnej nie odegrywałam roli, ja, której pan tylokrotnie miłość zaprzysięgałeś.

— A! miłość! nie wymawiaj pani tego wyrazu!

— Jakto? Dlaczego?

— Bo mi ból sprawia.

— Przecież nieraz pan w swoim poetycznym języku zwałęś ją nektarem życia!

— A tak, nektar... nie: lepiej nazwać trucizną zjadliwą, która nam trawi wnętrzości.

— Więc się tak panu dało to uczucie we znaki?

— Słuszna kara niebios!... Nie miałem odwagi poświęcić dla niej uciech życia i pójść za jej głosem...

— Co słyszę?—zawołała Margarita—co za odkrycie! Więc to nie ja, nie Margarita jest przedmiotem pańskiej miłości?

— Oh! są takie chwile, że sam nie wiem co mówię. Przecież pani wiesz dobrze iż panią kocham—odparł chłodno Edward.

— A zapewne: nie mogę mieć najmniejszej wątpliwości w tym względzie.

— Gdybyś pani wiedziała...

— Ależ powiedz mi pan, o jakim to głosie mówiłeś? Dlaczego wczoraj tak uciekłeś odemnie? Mów pan, mów: chcę wiedzieć.

— Ja z panią nigdy nie mogę być szczerym.

— A to dlaczego?

— Bo pani słów moich na seryo nie bierzesz.

Zmiarkowała Margarita, iż gdyby okazała ile ją Edward obchodzi, możeby miłość jego to ostudziło. Wyrachowana kobieta, nawet tam gdzie chodziło o najgorętsze pragnienia, zaczęła swoje żywe zajęcie pokrywać zasłoną obojętności.

— Jeżeli pan nie dbasz o to, ażebym była wtajemniczoną w jego sekreta, mnie też na tém nic nie zależy. Wiedz pan, iż cokolwiek byłoby to, o czém mi nie chcesz powiedzieć, nie będę sobie nad tém mózgu suszyć.

— Wiem o tém—odparł Edward, ożywiając się—wiem aż nadto z bolesnego doświadczenia.

Widząc dobre skutki swoich przebiegów, Margarita mówiła dalej udając ziewanie.

— Widzi pan, jak mię bawią pańskie historie, nawet zanim się o nich dowiedziałam. Mówmy o czémś inném. A! nie widziałeś pan mego bukietu z wczorajszego balu. Już prawie usechł.

Postąpiła do konsoli, na której stała piękna porcelanowa urna, wyjęła z niej bukiet i wracając do swojej ofiary, mówiła:

— Patrz pan. Ta róża jest darem księcia mantuańskiego, który składając ją na mojej dłoni rzekł: „przyjm to odemnie, piękna różo mojego serca!” Ten jaśmin pochodzi od niemieckiego poety, młodego Ludolfa, który wetknąwszy go w moje warkocze zawołał: „niechaj woń jego tak upaja ciebie, jak mnie upoił widok twoich wdzięków!” A tę gałązkę bazylijki dał mi dojrzały sensat <sup>1)</sup>, pan radzca królewski, ten co to pana tak nudzi i przytém mi powiedział: „skoro mię pani kochać nie chcesz, więc ci w darze składam całą moję nienawiść: rób sobie z nią pani co ci się podoba.” Fiołek ten dostałam od znakomitego malarza, który się platonicznie we mnie pokochał. Ale co za ten gwóźdź, to dłużna jestem pocałunek...

— Margarito!—zawołał Edward, którego twarz ożywiła się coraz bardziej, w miarę jak słuchał tój złośliwej gadaniny.—Margarito, wbijasz mi sztylet w serce!

— Nazbyt się kochasz pan w czczych a szumnych i napuszysztych frazesach. Przrzekłeś mi pan opowiedzieć historiją swego życia i byłam gotowa go słuchać. Ponieważ nic nie mówię, przeto ja musiałam mówić w zastępstwie za pana, a że nie umiem przechowywać w pamięci zbyt odległych czasów, więc opowiadam dzieje ostatniego wieczoru, którego każdy z tych kwiatów jest symbolem.

— To prawda. I każdy z tych kwiatów ma tysiące kolców, które się ostro wpijają w moje serce i kaleczą je.

Takim był charakter Edwarda. Niestaly i zmienny, zarówno dobre jak złe mogło go porywać tak łatwo jak wiatr unosi słomę. Głos Anieli czarodziejsko nań działał. Mowa Margarity napowrót w nim budziła uspięne przed chwilą wrażenia. Zawsze wahający się, niepewny w pojęciach i uczuciach, nie zasługiwał na tę wielką miłość jaką wzbudzał. Jeden pocałunek Margarity popchnął go do zbrodni: jeden dźwięk głosu Anieli odwrócił go od niej. Przypominając sobie Anielę, wpadł w zachwyt; kilka słów Margarity wyrwały go z tego zachwytu.

Na dnie jego serca jedno się mieściło prawdziwe uczucie, które najprzeważniej wpłynęło na dalsze jego losy: była to ambicya, żądza popularności, ubieganie się o poklask świata. Tak więc porzucenie Anieli można sobie było tłómaczyć nędznym losem, jaki był udziałem biednej dziewczyny, jak również stosunek z Margaritą wielkiem znaczeniem, jakie piękna pani posiadała w wysokich sferach towarzyskich w Neapolu. Wszakże nie idzie zatém, iżby w naturze tych uczuć nie zachodziła wielka różnica i żeby w nich nie było pewnej dozy prawdy i zapału.

— No—mówiła Margarita—ja opowiedziałam panu moję historiją, teraz już panu koniecznie wypada opowiedzieć mi swoję. Słucham pana.

<sup>1)</sup> Roślina uważana jako godło nienawiści.

— Zgodzisz się pani na to—rzekł Edward—że w moim wieku nie można przypuszczać, abyś pani była najpierwszą moją miłością.

— Zapewne: pojmuję to.

— Przedtém kochałem...

— A teraz już pan nie kochasz?

— Teraz Kocham panią.

Na te słowa Margarita odpowiedziała głośnym śmiechem; lecz gdyby Edward chciałby uważać, dostrzegłby w tym objawie wesołości nadzwyczajną gorycz.

— Wraciałem z długiej podróży po Florencyi, a wracałem z tęsknoty za moją włoską ojczyzną. Nie mogłem już dłużej wytrzymać: dusza moja, jak rybitwa ulatywała na północ. Przybyłem, ucałowałem ziemię ojczystą i czułem się szczęśliwym. Mimo to morze nęciło mię zawsze do siebie. Przepędzałem dni w łódce rozkosznie kołysanej przez morskie fale. Wsiadając na ląd, biegałem za urocami dziewczynami wiejskimi, których wdzięki i niewinność przypominały mi legendowe pasterki z Sannazaru. W jednej z moich wycieczek napotkałem młode dziewczę... O! bodajbym jęj nie był nigdy spotkał! Dusza moja przylgnęła do nięj. Było to uczucie czyste, słodkie, kłliwe: miłość dwu serc rozkwitających do życia. Lecz ten miłosny stosunek nie mógł trwać wiecznie bez narażenia mojęj przyszłości i bez przyniesienia wielkiej krzywdy ukochanemu dziewczęciu. Mogłemże ją poślubić? Nie! Ani moje urodzenie, ani moje widoki nadal, nie pozwalały na to. Miałemże ją uwieść? Wyznaję, iż myśl ta nikczemna nigdy mi nie przeszła przez głowę. Nie mogłem chcieć, by to poświęcone naczynie, zawierające w sobie najpierwsze uroki mojęj duszy, utraciło swą kryształową czystość. A więc zawsze ją utrzymywać w błędnym? I tego nie mógłbym w żaden sposób. Niegodnym to było mego charakteru, niewłaściwym mojęj naturze. W takim stanie rzeczy cóż począć? Porzucić ją? Tysiąc razy o tęp myślałem, ale nie mogłem, nie!... Aż wtęp pewnego wieczoru pani się pojawiła oczom moim. Wówczas zrozumiałem, iż w świecie istnieją uczucia potężniejsze od tych, które mię wiązały do tego dziewczęcia. Zrozumiałem, iż istnieją namiętności, które żarem krew palą, mózg przewracają, doprowadzają do obłędu—zabijają. Od tęp chwili ofiara przedtęp tak ciężka, stała się możliwą, stała się łatwą. Już więcj do nięj nie wróciłem. Niekiedy staje mi na myśli wspomnienie jęj miłości; lecz wnet odbiega, szybko odlatuje zostawiając za ledwie lekki i niewyraźny ślad na mojęj duszy. A nadewszystko kiedy panią widzę, słyszę, rana się goi, uczucie to zaciera się zupełnie w mojem sercu i w mojęj pamięci.

— Otóż, panie Edwardzie—rzekła Margarita—muszę teraz mówić zupełnie szczerze: nie wierzę w pana miłość ku mnie.

— Czyżto mało jeszcze, że zapomniałem o tamtęp?

— A któż mi zaręczy, że jutro tak samo nie zapomnisz pan o mnie?

- Sprawiedliwa kara za moję winę!
- A mimo to wszystko... Edwardzie... ja...
- Cóż pani miałaś powiedzieć?
- Nie! powinnam ukryć to w głębi serca...
- Pani!—nalegał gorączkowo Edward—jednym słowem możesz mię uczynić szczęśliwym, lub...
- Ja jestem szczęśliwą tém...
- Czém? czém? mów pani! czém?
- Tém, że kocham ciebie Edwardzie.

Edward pochwycił ją w swoje objęcia i w upojeniu tulił do serca. Margarita, jakby nagle opamiętała się i pożałowała słów wyrzeczonych, wyrwała się z uścisku Edwarda i nakazującym tonem rzekła:

— Nie idź pan za mną! bardzo proszę!

Młodzieniec stał jak skamieniały, widząc jęj dumną postawę, słysząc ten rozkaz stanowczy.

A ona wznosząc oczy i ręce ku niebu, zawołała bolesnym, rozpaczliwym głosem:

— Oh! pocóż mu to powiedziałam!

I znikła w dalszych pokojach.

## XI.

Tymczasem Aniela prosiła swojego ojca, aby się znów przygotowywał do drogi z powrotem.

— Opuśćmy Neapol—mówiła—ja tu oddychać nie mogę. Chodźmy do naszój wioski, do naszego domku: chodźmy coprędzej do matki.

— Alboż ci nie mówiłem—odparł ojciec—że nie trzebabyło wychodzić z domu? Aleś ty nie chciała zaufać rodzicom.

— Ach! prawda, prawda! Zawiniłam ciężko przeciw rodzicielskiej miłości, jedynę jaką jest niezmienną na tój ziemi, i za to mię Bóg karze.

— Moje dziecko, nasze poglądy na życie są ograniczone. My nie możemy ogarnąć je w całości. Mniemamy iż osiągnięcie jednego godziwego pragnienia stanowi nasze szczęście, nasz los. Lecz Bóg, który ma naraz przed oczyma całe pasmo życia od początku do końca, który zna ostateczny cel wszystkich naszych czynności, skutki wszelkich spraw naszych, Bóg z nieszczęścia dzisiejszego wysnuwa jutrzejsze szczęście.

— Dla mnie szczęście bez niego! Sądziszże to, ojczc, możliwem? To uczucie jest krwią mojego serca. Jam temu nie winna że ono wrosło we mnie tak nadzwyczajnie, tak głęboko: czuję że ono mi życie z sobą zabiera.

— Uzbrój się silnie przeciw twojemu sercu. Życie jest walką bez końca. Wszakże wiesz, że ja spadł z szczytu wielkości w ten smutny stan poniżenia, w jakim się obecnie znajduję. A jednakże gdy sobie wspomnę, iż w mojęj dzisiejszój chatce niekiedy uśmiechnęło się

do mnie szczęście nieznanne w dawniejszym wspaniałym pałacu, padam na kolana i błogosławię miłosierdzie Boże.

— Ja nie mogę być szczęśliwą. Ta wielka miłość, która jakby czysty źródło wytryskała z mojej duszy, wysycha w pustyni zapomnienia. To serce które z taką uderzało siłą, martwieje i usycha: tak żyć, jestto żyć w stanie śmierci.

— Rozumiem cię, moje dziecko. Ty sobie wyobrażasz, iż życie twoje nie może mieć innego celu jak upiększenie życia jakiegoś człowieka; sądzisz iż piękność twoja, głos, wyobraźnia, zalety twoje są powierzonym ci od Boga skarbem, na to, abyś go wkrótce temu człowiekowi oddała.

— A zapewne. Nacóż się przyda życie, jeżeli niema przyczynić uroku czyjemuś życiu? Na co serce, jeżeli niema dla siebie celu? Czemuże są wszystkie zalety w samotności? témsamém co kwiaty rosnące na pustyni.

— Alboż sądzisz, że kwiat na pustyni nie jest pożyteczniejszym dla wielkiego dzieła Bożego aniżeli kwiat ogrodowy? Ten zwykle służy tylko do zadowolenia swoją pięknością i wonią próżności lub zbytku i najczęściej usycha na balu. Tamten zaś nieznanany, nie widziany, oczyszcza powietrze swojemi zapachy i w spokoju daje ziemi nasiona, z których potem nowe wystrzelą rośliny, na pociechę zbłąkanego wędrowca lub powietrznego ptastwa.

— Ach! ja napróżno oglądam się na wszystkie strony: nic nie widzę, nic, tylko pustkę. Ja z polotem jego myśli wznosiłam się w niebiosy. Dusza jego była niby anioł, który na skrzydłach swoich niesie modlitwę do Boga.

— Aniele! staraj się uleczyć z téj niemocy. Kiedyś sama się jęj powstydzisz. Nie szukaj nigdzie szczęścia, krom w samej sobie.

— O! mój ojczel! ja sądziłam że Edward dla mnie stworzony. Kiedy go ujrzała raz pierwszy, stanęłam jak wryta. Gdy przemówił, dźwięk jego głosu zawsze mi brzmiał w uszach, miłszy niż śpiew ptasząt. Widząc go znów, zaczęłam pojmować iż stworzoną jestem do kochania. Nigdy przyroda nie wydała mi się piękniejszą. Nigdy z większą wiarą nie składałam rąk do modlitwy. Zdawało mi się iż wzrok mój przebijają niebiosy i ogląda chwałę niebian. Zdawało mi się iż przeobrażała się istność moja i duszę w sobie czułam uskrzydloną. Wieczorem, z jakąż rozkoszą przyjmowałam na czoło pieszczotę księżycowych promieni! Rankiem, z jakąż radością witałam wschodzące słońce! A teraz, cóż mi po wszystkich pięknościach przyrody? Już mi nie potrzebna ani myśl, ani pamięć, ani serce, ani życie: co mi po wszystkiém bez niego? Oh! tylko umrzeć, umrzeć!

— Aniele! nie bluźnij Bogu! nie przedstawiaj się taką Jego oczom jaką nie jesteś, jaką być nie możesz. Wyjdź z tego ciasnego koła, które cię ugniata. Wznos się, wzlatuj w wyższe sfery. Pomnij iż na świecie nie jeden człowiek lecz ludzkość istnieje, i że wszyscy mamy obowiązki względem ludzkości.

— Ojczel! nie odrywaj robaczka od małego listka, na którym uczepony żyje i nie rzucaj go na obszar zieleni, bo tam zmarłby z głodu; nie wydzieraj młodego skowronka z gniazdka i nie pędź go pod obłoki, gdyż w tych górnych przestworach zmarłby z zimna: nie mów o ludzkości mnie, która sobie myślę, iż mi dla jednego tylko człowieka nie starczyło miłości.

— Biedna! A temu człowiekowi nie starczyło jój dla ciebie.

Aniela zakryła sobie twarz rękami.

— Utraciłaś już tego człowieka, moje dziecko. Ukochałaś go nad miarę; miłość ta pochłaniała ci duszę. Dziękuj Bogu, gdyż teraz wracasz w jój posiadanie; teraz już należeć będziesz do siebie, do swoich rodziców: podziękuj Bogu, Anielo!

— I nie będę nawet mogła ochronić go od nieszczęścia, w które niechybnie wpadnie? Czyż nic dla niego zdziałać nie potrafię?... Ach! nic, nic!

— Dziecko, wracajmy do naszej chatki: tam odzyskasz zdrowie duszy.

— Prawda, prawda! Tam zdrój zobacę i opowiem mu że on mię już nie kocha. Poskarżę się na jego niewdzięczność przed gołębiami, gdy przyjdą znów dziobać mi ziarno z dłoni. Ach! gdziekolwiek się obrócę, wszędzie napotkam ślady naszej miłości. Wyobraź sobie, ojczel, iż świat się zapada pod naszymi stopami. Otóż mnie się to przytrafiło. Świat mi się wymknął z pod stóp, a ja zostałam i nié mam już na nim gdzie stąpić...

Wszelkie uwagi i rozumowania biédnego starca nie były zdolne uśmierzyć niezmiernój boleści dziewczęcia.

Nareszcie opuścili Neapol. Udali się w tę drogę sami tylko we dwoje, podążając przez morskie pobrzeże do swojej wioszczyzny. Aniela idąc zawsze sobie nucila, najczęściej półgłosem, jakąś piosenkę do Edwarda. Gdy przybyli do jakiej gospody lub do małej wioski, tam się zatrzymywali i Aniela śpiewała na wielki podziw wszystkich co ją usłyszeli. Dostawszy nędzną zapłatę za ten śpiew cudowny, kupowali sobie kawałek chleba.

I tak sobie wędrowała ta zajmująca para. Gdyby ich był jaki poeta spotkał na morskim brzegu, pod jedném z tych drzew odwiecznych, wznoszących swe wierzchołki ponad czarów oceanem; gdyby był dostrzegł boleść biédnego starca, smutek odmalowany na czole i w oczach pięknej dziewczicy: byłby sobie wyobrażał iż widzi smętną Antygone, kiedy po drogach i polach wiodła swego ojca, nieszczęśliwego Edypa i w tych dwu postaciach byłby uczcił wskrzeszenie utworów wyobraźni Sofoklesa.

Boleść Aniela zaczynała przybierać cechę rezygnacy i posępnego smutku, które nie zmniejszają jój ogromu, przynosiły pewien stopień ukojenia i spokoju. Pierwsza jego gwałtowność przeminęła. Następnie poczucie obowiązku wytworzyło w duszy dziewczęcia jakby drugą naturę i stało się jedném z normalnych praw jój istnienia. Lecz wszyst-

kie te przemiany, wszystkie wielkie przeobrażenia, zwiększały słodycz, czystość, czar jój głosu.

W małej wiosce przybycie jój stało się powodem nadzwyczajnej radości. Matka wyszła naprzeciwko niej, prawie aż na to samo miejsce, gdzie się kiedyś żegnały z sobą. Aniela przystąpiła do niej i ukłękła dla przyjęcia jój błogosławieństwa; a potem powstawszy drżąca i zalana łzami padła w jój objęcia. Dziewczęta uradowane skakały wokół niej, a Aniela otarłszy łzy, po kolei serdecznie je ścisnęła. Młodzież uderzyła we dzwony kościelne na uczczenie jój powrotu, i zielenią a kwieciami posypała drogę, którą miała przechodzić. I późnym już wieczorem, kiedy Aniela udała się na spoczynek, na ulicy słychać było tamburinę i przy świetle księżyca wszystkie najszyko-niejsze dziewczęta z wioski tańczyły *tarantelę* na cześć jój przy-bycia.

Zaświtała jutrzienka na niebie, a wraz z nią w duszy Anieli wspomnienie jój miłości. Ranek był piękny i pogodny. Zdawało się jak gdyby natura stowarzyszyła się z mieszkańcami wioski w uczuciu radości.

Aniela otworzyła okno, i przy pierwszym dnia brzasku patrzała na okolicę tém piękniejszą, kiedy półcieniem świtu oblana, przypomina tajemniczy mrok świątyni. Rybackie łódzie zaczynały się kołysać na falach. Wszędzie otwierały się drzwi małych chat. Dzwony pozdrowiały Bożą Dziewicę, która zdawała się uśmiechać światu w różnanych obłoczkach pojawiających się na krańcach horyzontu.

Był to poranek tak pogodny jak ów, w którym Aniela opuszczała swoją wioskę. Naówczas pasowała się z wątpliwością. Dziś zimna rzeczywistość w swoje moc ujęła jój duszę. „Więc to prawda że Edward o mnie zapomniał?— myślała sobie Aniela. Jakże to się dzieje że ja żyję? O! chyba go nie kocham, skoro jeszcze żyję, albo chyba że boleść nie zabija!”

Pogrążona w tych myślach zeszała na pobrzeże i patrzała na miejsce, kędy zwykle łódka jego przybijała. W uśpionych falach odbijało się niebo jak w niewinnej duszyczce niemowlęcia spoczywającego w kolebce... „Pocóż przychodzicieś — zawołała Aniela — jeżeli miałeś mnie porzucić!”

Weszła na mały pagórek z kąd zawsze wyglądała ukazania się łódki. Widok roz pogodzonego morza zatarł chwilowo w myśli Anieli pamięć o nieszczęściu. Morze było tak piękne i jasne, wody jego tak spokojne, lekkie powiewy zaledwie marszczyły ich powierzchnię, stońce które wnet miało wypłynąć w całym swym majestacie, darzyło je tak uroczeni i bogatemi odbłaski, iż Aniela wyobrażała sobie przez krótką chwilę iż morze się tak rozweseliło obecnością Edwarda. Rychło pierzchno złudzenie... i poszła dalej.

Jakby ślepym wiedziona instynktem zbliżyła się do jednego drzewa: niestety!... na pniu tego drzewa znajdowały się połączone z sobą imiona Edwarda i Anieli, a u dołu krzyż, którym młodzieniec wieczy-

stą zaprzysięgał miłość!... Przystanąła i popatrzała na ten znak przysięgi. „Dłuższe było trwanie kwiatów na tém drzewie—mówiła—aniżeli mojego szczęścia!..

I znów dalej odprawiała bolesną pielgrzymkę, zwiedzając miejsca które były świadkami tych chwil szczęsnych a niewinnych. Ach! bo człowiek zwykł jak drzewo przywiązywać się do pewnego kątku ziemi i zdaje mu się iż pewne uczucia mogą się wskrzesić za stąpieniem na miejsce, gdzie wzięty swój początek.

Aniela doszła do źródła. Woda sączyła się jak dawniej z miłym i harmonijnym szmerem. „Płyną jeszcze te wody—mówiła sobie—w których tyle razy, kiedym niedowierzała jego słowom, mówił mi żebym się przejrzała, dla przekonania się, iż spokój mego oblicza zadaje kłam ustom, wyrażającym obawę.” Źródło wytryskało, a uczucie wyszło. Któżby pomyślał, iż skała miększą będzie od serca człowieczego?

Na wszystkie strony i w rozmaitych kierunkach przelatywały białe gołębie. Ach! w naturze wszystko pozostaje przy życiu, trwa ciągle. W ludzkim duchu wszystko zamiera, wszystko podlega zmianom! Drzewa wierzchołkami strzelały ku niebu, morze nie cofnęło się ani o cal jeden, niebo zachowało rumiane obłoczki, źródło swoje miłe mruczenie, szczygiełki swój wdzięczny świegot, swój lot gołębie, a biedna Aniela postradała to, co dla niej było wszystkim!

Wśród takich i tym podobnych rozmyślań zaczęła płakać. Wtém usłyszała lekki szelest, odwróciła głowę i ujrzała obok siebie młodego rybaka: było Genaro.

— Płaczesz?—mówił—i jam także płakał... a płakałem przez ciebie.

— Nie mów mi tego!—zawołała Aniela, błagalnie składając dłonie.

— Śledziłem śladu stóp twoich, i całowałem miejsca, gdzie sobie przypomiąłem żeś stąpiła.

— Genaro!

— Chodziłem do kapliczki po to tylko, żeby zobaczyć kwiaty, które składałaś u stóp Boga Rodzicy, chociaż dobrze wiedziałem, że nie na moją intencją były ofiarowane.

— Biednyś ty!

— Schodziłem także na pobraże oglądać miejsce, z którego patrzyłaś na morze, podczas gdy ja w twoje oczy patrzyłem; a jednakże dobrze wiedziałem, że nie na mnie zwracały się twoje spojrzenia.

— O! jakże boleję nad tobą!

— Wzdychałem przy tym źródle, tam, gdzie i ty nieraz za swoim ukochanym westchnęłaś. A teraz, kiedy ty po nim płaczesz, ja płaczę po tobie...

Łkania stłumiły głos młodego rybaka.

Aniela blada, drżąca, wobec tego biednego chłopca, tak wzniosłe wyrażającego swoje uczucia, wyciągnęła ręce ku niebu wołając:



— O! Panie, Panie! dlaczegoż wszyscy mamy być tak nieszczęśliwi!

Po chwilce zesłała w milczeniu z pagórka, z załzawioném okiem, z sercem miotaném straszną i wielką boleścią.

Lecz już w jęj duszy ból stawał się jakby drugą naturą. A więc i ta rozpacz gwałtowna, przebywając przeobrażenia, zamieniła się w końcu w smętność, łagodną wprawdzie, lecz zawsze bolesną. Zwolna, stopniowo, oswajała się z tém wszystkiém co ją otaczało i stopniowo także cierpienie stawało się jakby duszą jęj duszy, jakby podstawą i prawidłem jęj życia.

## XII.

Wielkie, okropne nieszczęście dopełniło miary cierpięń Anieli. Ojciec jęj umarł. Wiek daleko więcj, aniżeli strapienia, położył kres jęgo życiu. Straszny ten cios ogromem swęgo ciężaru przybił nieszczęsną Anielę! Łzy jęj płynące, rzekłbyś, z nigdy niewyczerpanęgo źródła, zatrzymały się. Boleść w tém przejściu w ponurą oschłość okropniejszą jest, zgubniejszą, aniżeli nią bywa w naturalnym swoim stanie,

Biędnęj matce Anieli ciężko było wyżyć w tych stronach, gdzie spoczywały popioły jęj męża, pod tym dachem, który był świadkiem srogich nieszczęść. Mimo to Aniela nie radaby opuszczać tęj wioski. Tu były wspomnienia błęgich dni dawniejszych, tu miejsca, gdzie jęj zaświtał kiedyś promyk szczęścia. W tym tu zakątku miłszém jęj było życie. I nieraz sobie myślała, iż pragnęłaby po śmierci być pochowaną u stóp tęj wierzby, która pierwsze jęj przysięgi miłości słyszała.

Lecz czyż wolno jęj było tu pozostać? Nie. Przeznaczenie gnało ją do Neapolu. Biędna matka nięmiała sił już pracować. Ojciec umarł. Ona zatęm, i to nieodzownie, powinna stać się podporą swojęj rodzicielki. W czasie pobytu w Neapolu, głos jęj, śpiew, przynęcał tłumy ludzi. Drzwi wszystkich neapolitańskich teatrów byłyby stanęły dla nięj otworem. To wszystko teraz sobie przypomniła.

Drżało jęj serce. Uważała to sobie za wielkie nieszczęście być zmuszoną do śpiewania w teatrze; jednakże nakłoniła się do tego w najszlachetniejszym celu, z najświętszych pobudek, dla dobra matki.

A więc pewnego dnia, widząc ją wielce stroskaną i zasmuconą, ukłękła przy nięj, i obsypując ją najczulszemi pieszczotami, mówiła:

— Co ci jest, moja jedyna?

— Trapią mię i obecne cierpienia, i smutne przeczucia większych jeszcze nadal. Najwięcj mię martwi twoje położenie.

— O to się nie kłopotcz, najdroższa matko.

— Smutno pomysłć o dniu, kiedy nie zostanie nam ani kawałka chleba.

— To nas nie spotka.

— Dziecko moje, to nas jutro spotkać może.

— Jutro pójdziemy do Neapolu.

— A cóż w Neapolu?

— Tam los nasz się polepszy; będziesz opływać w dostatkach, kochana matko. Mam zamiar wstąpić do teatru.

— O, nie! droga Aniela! wołę nędzę!... W tém życiu tyle niebezpieczeństw!...

— Nie dla twojej córki, która na nieszczęście zna już ten świat, chociaż tak krótko w nim żyła.

— Ależ, moje dziecko, to zbyt ciężka dla ciebie ofiara.

— Ciężka? kiedy mi idzie o matkę? nic niema dla mnie ciężkiego. Tak, tak, wybierajmy się w drogę: to już rzecz postanowiona.

Aniela tyle miała władzy nad sercem matki, iż ta nie śmiała sprzeciwiać się jej chęciom i zamiarom.

W kilka dni potem Aniela opuszczała wraz z matką, miłą sobie wioseczkę. Poprzedniego wieczora zwiedziła po kolei każde z miejsc, gdzie jaką błogą przeżyła godzinę, jaką chwilę słodkiej i czystej miłości. Zdawało się jej, że to powtórne rozstawanie się z Edwardem; zdało jej się, że w miejscach tych duszę swą pozostawia: tak wielkiem było jej cierpienie.

Genaro znów towarzyszył Anieli w powrocie jej do Neapolu. Dzień był prześliczny. Niebo płonęło, rozjaśnione żarem słonecznych promieni. Morze lekko się marszczyło pod ożywczem tchnieniem łagodnego wietrzyku. Wszystko było pięknem.

Aniela siedząc w łódce, patrzyła na oddalające się brzegi, a nieopodal Genaro w nią się chciwie wpatrywał. Żadna już nadzieja nie zaświtała w sercach tych dwojga młodych istot, żadne złudzenie przez ich duszę nie mignęło. Oboje cierpieli, oboje płakali bez nadziei pociechy.

Wreszcie przybyli do Neapolu. Aniela, żegnając się z Genarem, uczuła żywą boleść, wypływającą z litości, jaką w niej wzbudzało jego cierpienie, na które nie było lekarstwa...

Genaro powrócił do swojej cichej wioszczyny: Aniela z matką zapuściły się w ogromny labirynt ulic Neapolu.

### XIII.

Kilka już miesięcy upłynęło od przybycia Anieli do Neapolu, kiedy pewnego dnia nad wieczorem, Edward rozmawiając sam na sam z Margaritą, mówił do niej:

— A to dziwna rada! z kąd ci to przyszło do głowy?

— Tak, tak!—odrzekła Margarita—musisz się ożenić koniecznie.

— Więc chyba z tobą?

— A jeśli nie zechcesz ze mną... to się ożeń z jaką inną.

— Czy ci to obojętne?

— Tak, prawie.

- Obojętnel
- Zapewne, bo i ja postanowiłam sobie pójść za mąż.
- Ty?... za kogo?... Margarito! mów!
- Niech cię to nie przestrasza: za ciebie.
- Za mnie? za mnie? Aa!.. jeżeli... bo...

Edward nie wiedział sam co miał powiedzieć, tak go przeraziła ta groźba.

- Widzę że cię to zmieszało.
- Ale cóż znowu?...
- Nie zapieraj się: umiem czytać w twoich oczach.
- Chcesz sobie wszystko na złe tłómaczyć.
- Widzisz, jak mi jakoś zniecka ta myśl przyszła do głowy; ale baczność, żebym czasem w niej nazbyt nie zasmakowała.

— Byłoby to dopełnieniem mojego szczęścia—wycedził Edward z widocznym przymusem.

— Ślicznie dziękuję panu. Racz tylko pan nadać większy pozor prawdy swoim komplementom.

— Ależ bo, koniec końców, nie mogę odgadnąć powodu tego szczególniejszego zachęcenia.

— A ja, koniec końców, z łatwością odgaduję powód twojego przestachu.

— Mojego przestachu?... cóż znów?... Jak możesz coś podobnego przypuszczać?... ale bo tyle razy czytając Jerzego Sand, deklamowałaś przeciwko małżeństwu...

— Alboż mi niewolno zmienić zdanie? Już mi się naprzykrzył melodramat życia, i zaczynam przyzwyczajać się do prozy.

— Dawniej byłabyś powiedziała: do tragedyi.

— To wszystko jedno: lubię zmiany, jaknajwięcej zmian.

— Wiesz dobrze, iż tylko w jednej rzeczy proszę cię o stałość, to jest w uczuciu jakie masz dla mnie.

— To w gruncie pozostanie jak było, nic się nie zmieni: zgoła nic oprócz formy.

— Ale, Margarito, czy to na seryo mówisz?

— Najzupełniej na seryo.

Edward zaczął się śmiać bardzo głośno.

— Nie wyzywaj mię twoim śmiechem.

— Nieleddie miałbym ochotę wyzwać...

— Żlebyś zrobił, Edwardzie: bardzo źle. Wiesz, że zawsze wygrywam.

— Jakto? Przecież w końcu wygrana była moja.

— Hm! Przypomnij sobie owe morskie wycieczki, owe miłostki sielankowe.

Chmura smutku przesunęła się po czole Edwarda.

— Otóż widzisz—mówiła dalej Margarita—tam był wielki bóg twego życia, wielki cel twoich pragnień, a ja zwyciężyłam i wszystko to ci zabrałam.

Edward zakrył sobie twarz rękoma i zawołał:

— To prawda, prawda!

— Wstydzisz się sam siebie? Otóż więcej jeszcze będziesz się wstydził, gdy ujrzysz spełnioną tę moją ostatnią fantazyą.

— I mówisz o tém z taką zimną krwią?

— Bo znam cię dobrze, doskonale... Ale zmienmy przedmiot rozmowy. Ten już wyczerpany. Mówmy o czémkolwiek inném. A! muszę ci coś powiedzieć, o czém może nie wiesz.

— Cóżto takiego?

— O wielkiej niespodziance, jaką nasz teatr ma nas uraczyć.

— Tak?

— Występuje na scenie młoda osoba, jakiś cud świata, jak powiadają.

— A więc będziemy mieli nadzwyczajne przedstawienie w teatrze? Wcale o tém nie słyszałem.

— W teatrze opery. Jestto śpiewaczka, drogi Edwardzie, ale śpiewaczka jakiej nie bywało dotąd. Coś nadzwyczajnego, jak utrzymują ogólnie.

— Doprawdy? Jakże się nazywa?

— Na imię ma Aniela.

Margarita złośliwy wzrok utkwiła w twarzy Edwarda, na której znać było wielkie wrażenie.

— Tak, Aniela! Aniela! — powtórzała Margarita. — Ale zdaje się, jakby to imię bardzo cię dotknęło? Edwardzie, Edwardzie, ty coś ukrywasz przedemną.

— Ależ nic, nic.

— A więc pójdziemy na operę?

— Pójdziemy.

Edward wstał i wziął za kapelusze; Margarita pożegnała go ceremonialnym ukłonem: tak się zakończyła ta rozmowa.

Jednakże zamiar związków ślubnych nie opuszczał ani na chwilę myśli Margarity, podobnie jak wspomnienie Anieli dręczyło bezpręstannie myśl Edwarda. Margarita postanowiła bądźco bądź aż do tego stopnia rządzić sercem Edwarda, właśnie dlatego, iż okazał się niepewnym, wabającym, usłyszawszy o tym zamiarze. Zresztą, po wielkich zboczeniach w życiu, za które w sumieniu żadnego nie czuła wyrzutu, małżeństwo było w jej oczach tylko urzeczywistnieniem fantazyi. Zrazu, bez najmniejszego zamiaru dotknęła téj myśli; lecz skoro tylko dostrzegła wstręt do niej w Edwardzie, rozmiłowała się w niej, jako w czémś niepodobnym do osiągnięcia. I stanowczo rozmyślała nad jej urzeczywistnieniem. Liczyła tu na coraz bardziej wzmagającą się słabość charakteru Edwarda.

Prawo sprzeczności, wrodzone człowiekowi, stanowiło, że tak powiemy, całą treść istoty Edwarda. Można powiedzieć, iż jednocześnie kochał on i Margaritę i nieszczęsną Anielę.

Ile razy dusza się w nim budziła, i czuł pragnienie miłości czystej, nieskażonej, tej miłości, której smutki milszemi są od wszelkich epileptycznych radości towarzyskich i światowych, wtenczas mu w wyobraźni ukazywał się, niby anioł z nieba zstępujący, przeczysty obraz najpierwszej miłości.

Gdy zaś ponęty rozkoszy doń się uśmiechnęły, gdy go wabiła ta miłość, która polega na zmysłowym upojeniu; wtedy mu przed rozgorączkowanym wzrokiem stawała, we wszystkie swe powaby strojna postać Margarity.

Lecz od chwili, gdy walka ta się rozpoczęła, rozkosz odniosła zwycięstwo nad szczęściem, namiętny pocałunek nad niewinnym spojrzeniem, przemijający pociąg zmysłowy nad wieczystą duszy miłością.

Mimo to Edward, w którym miłość czysta, można powiedzieć, usnęła, niby duch opiekuńczy, zamykający oczy, ażeby nie widzieć zbrudzenia duszy, Edward miewał widzenia tego niewystawionego szczęścia, ilekroć z biegiem czasu lub wydarzeniem trafu doleciało do niego jakieś westchnienie, jakieś wspomnienie, jakieś echo z tego cudnego a nadziemskiego świata, opromienionego różowym światłem tajemniczości i nieskończoności.

Aniela w Neapolu!—myślał sobie.—Najpierwszy urok jego duszy, najpierwsze serca ukochanie, ma się przedstawić w teatrze, i tym cudownym głosem, któremu Edward z zachwytem przysłuchiwał się pod cieniem wierzby, zachwycać tysiące ludzi, i w nagrodę od nich odbierać zimne oklaski, ale nie ten ogień świętej miłości, który duszę oczyszczał i wyswobadzał ją ze wszystkich ziemskich więzów! A on, dla którego głos ten był stworzony, on go opuścił; on, do którego należała ta artystyczna dusza, on o niej zapomniał!

Były chwile, iż mu przychodziło na myśl, aby ją odszukać, upaść przed nią na kolana, błagać o przebaczenie, uznać się jej niewolnikiem, serce swoje w obliczu Boga połączyć z sercem tej anielskiej istoty, osiąść z nią gdzieś w samotnej ustroni, na wsi, i tam życie pędzić ciche, błogie, pogodne, zajęte pracą, uszczęśliwianiem swojej jedynej, i obowiązkami, jakie podoba się Bogu włożyć na niego.

Lecz w téjże samej chwili, gdy tworzył te plany, występowały przeciwko nim wrodzone popędy, ukazując mu na wszystkie strony żłudne uciech mary: umysł jego rozgorączkowany szaleem festynów, orgii, rzucał im na pastwę ową pierwszą miłość, i sam wpadał w błoto poniżenia i zepsucia przez brak sił do stawienia oporu zgubnym pokusom.

Dlatego też imię Anieli, zamiast być dlań rzeczywistością, było raczej wspomnieniem i nadzieją innego lepszego świata, cnót ideałem, podniętą do udoskonalenia się, o jakim dusza jego marzyła, nie mając jednakże mocy stosowania się do tych niebiańskich rad i przestróg.

## XIV.

Nadszedł nareszcie dzień, który miał być dla Anieli początkiem jój artystycznego zawodu. I, rzecz szczególna! w niewiele dni potem miał się odbyć obrzęd ślubny Edwarda z Margaritą.

Ta ostatnia użyła wszelkich sposobów, jakie poddać jój mógł zmysł niewieści, aby najprzód skłonić, a potem doprowadzić do takiego postanowienia kochanego Edwarda, który w godzinach znużenia za ledwie o niój pamiętał, a w chwilach gorączkowego rozdrażnienia ulegał wszystkim jój rozkazom, albowiem najpierwszém następstwem skazenia bywa pozbawienie wolności duchowej; wolności, tego daru Bożego, któremu tylko nieskazitelność serca ma moc zachować pierwotną jego czystość. Tak więc Edward, który z początku się opierał, w końcu uległ: doszedł już do tego, iż w sumieniu jego poczucie moralne, rzec można, zamarło!

W wysokich sferach towarzystwa w Neapolu o niczém inném nie mówiono, a przedmiotem wszystkich żarcików i plotek była powolność i rezygnacya Edwarda.

Co jeszcze było najdziwniejszém w tym razie, to, że miłość Edwarda i Margarity doszła już do peryodu znudzenia i przesytu. Ale téj kobiecie, która wiedziała jak łatwo przyszłoby jój, w czasach gdy Edward był u jój nóg, doprowadzić go do małżeństwa, myśl ta wcale nie przyszła do głowy; aż dopiero wtenczas, gdy skutkiem odniesionego zwycięstwa ostygł ów pierwszy szal namiętności, i tylko już sztuką mogła wymódtz spełnienie swego zamiaru, uważała to za największą chlubę dla swój żelaznej woli, która nigdy się nie zawahała, kiedy chodziło o jakieś wielkie a nadzwyczajnie trudne zadanie. Życie jest olbrzymią walką, a świat dla niój szrankami.

Zwróćmy teraz oczy na Wielki teatr opery w Neapolu. Nie często przedstawiał on widok równie świetny i wspaniały. Przepysznie oświecony, przepelniony widzami, przystrojony mnóstwem pań pięknych, na których twarzach malowała się ciekawość i niecierpliwość, pełen odurzających wonności i dźwięków melodyjnej muzyki, teatr wyobrażał dosadnie wielkość wypadku w dziejach sztuki, o jakim głosiła wieść publiczna.

Na scenie przedstawiana była *Lucya*, ta przecudowna opera Donizetti'ego, który umiał zespolić głębokość ducha Północy, z świetnością ducha Południa; ten hymn miłości, zatapiający dusze nasze w szczytnym smutku; ta skarga serca rozdartego boleścią, wzbijająca się myślą i pragnieniem w niebiosy, te uroczne dźwięki, istne łzy, spadające w ocean życia, westchnienia nadziei i żalu, rozbiegające się w przestworach i zlatające ku Bogu, jak to uczucie, które je wywołało i które się pomieścić nie może w ciasnych granicach stworzenia. Kiedy słyszymy tę czarowną muzykę, smętna jój żałoba owładnie naszym

sercem, dźwięki jój zagładzą w umyśle wszelkie inne wyobrażenia i toniemy w myśli, wiejając z wszystkich tych melodyi.

Lecz pomimo piękności tego utworu, publiczność pozostawała zimną i obojętną podczas pierwszych scen opery. Wszyscy wyczekiwali tej upragnionej chwili, kiedy się ukaże Łucya, wszyscy radziby co prędzej usłyszeć pierwsze tony jój głosu. A za zbliżeniem się tej wielkiej chwili zdwoiło się natężenie uwagi, i niecierpliwość wzrosła do największego stopnia.

Otóż właśnie dały się słyszeć owe piękne preludya na arfie, będące wstępem i przygotowaniem do tego cudownego hymnu miłości. I w tej samej właśnie chwili, Margarita z Edwardem wchodzili do jedynej łoży, która dotąd była niezajętą.

Jednocześnie zza kulisy, w głębi, wychodziła na scenę biedna Aniela.

Najpierwszą twarzą, która jój nasunęła się przed oczy w teatrze, była twarz Edwarda. W nagłym wstrząśnieniu zdało jój się że życie ją odbiega, pociemniało jój w oczach, straciła przytomność, i byłaby padła jak nieżywa na podłogę, gdyby nie bezwiedne oparcie się o kulisę, i gdyby ten zawrót głowy nie przeminął z szybkością błyskawicy.

Publiczność dostrzegła bladłość jój twarzy, jój wzruszenie, dreszcz nią wstrząsający, lecz bez namysłu przypisała to wrażeniom i obawom tej uroczystej chwili, i natychmiast ze wszystkich stron sali powitała ją grzmot oklasków, tak gorący a tak jednoznaczny, iżby można przypuszczać, że elektryczność jednę myśl rozniosła w powietrzu.

Dowód ten współczucia, otrzymany w tak ważnej chwili, dodał odwagi Anieli; postąpiła na przód sceny, i pierwsze taktory jój pieśni popłynęły z ust jój w słowicznych nutach.

Edward drżący, wzburzony, nieprzytomny, rażony do głębi duszy zjawieniem się tego anioła, który tyle kwiatów rozsypał na drogę jego życia, nic nie słyszał, nic nie czuł, nic, krom obecności Anieli, jak gdyby utonął w jój wzroku, w jój głosie, w jój pieśniach, jakby zlał się z jój duszą w ten sposób, jak kropla deszczu zlewa się z ogromem wód morskich.

Margarita z przestrawem, ze zgrozą, spoglądała na Edwarda. poraz pierwszy wyczytała w jego oczach, iż w sercu jego mogło się mieścić coś więcej, niż miłość chwilowa, znikoma, coś większego nad płochę i niewolnicze uczucie, jakie miał ku niej; lecz wyczytując tę prawdę, zamikowanie jój w walce dawało jój przedsmak nowego zwycięstwa nad chwiejną wolą Edwarda.

Podczas gdy się to działo w duszach dwojga narzeczonych, Aniela zaczynała swoją aryę. Głos jój, nieco przytłumiony cierpieniem, miał dźwięk magiczny, siłę wymowną, porywającą, stłucz przynikającą wszystkie serca, i pobudzającą je mimowolnie do wielkich uczuć, do łez radosnych, pocieszających. O! bo te łzy słodkie, które wyciska mówca, artysta, poeta, to rosa ożywcza dla naszej duszy, krzepiąca jój żywotność, oczyszczająca subtelną jój istotę!

Aniela także płakała. Łzy, któremi zraszała czarowne swoje tony, były chrztem jój talentu. A publiczność najprzód wzruszona, potem zachwycona, a w końcu porwana tym śpiewem, prawie niezziemskim, objawiła swój zapał w gromie oklasków.

A jednak młoda dziewczica nie śpiewała dla publiczności. Jój głos, wyrazy, gorące uczucie, wszystko odnosiło się do Edwarda. Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, coś bardziej wzruszającego, jak jój tkliwe wyrazy w duecie pierwszego aktu, kiedy słuchała i sama powtarzała przysięgi wieczystej miłości. Zdawało się, że na Edwarda się żali, mówiąc doń: „Tam obok źródła, w ów piękny wieczór, gdy zmierzch łagodnymi barwami malował niebiosa, gdy w niezmiernych obszarach zbłąkane gwiazdeczki ukazywały się tu i owdzie; gdy ostatni śpiew żeglarza konał na pobrzeżu, a od gór odbrzmiewały ostatnie echa dzwonu modlitwy: wtedy ci zaprzysięgłam miłość wieczystą, niezmienną, świętą; miłość, która dotąd żyje w całej swej czystości na dnie mojej duszy.” Myśl ta uwydatniała się na tle tych melodii śpiewanych z całym natchnieniem myśli. Zdawało się, że ten głos wychodzi wprost z głębi duszy, nie potrzebując bynajmniej pośrednictwa materyalnych dźwięków; wyrazy bujały w powietrzu, jak gdyby były nie śpiewem ziemskiej kobiety, lecz natchnionym głosem jakiegoś wyższego ducha.

Nikt też w teatrze nie zdawał sobie sprawy ze swoich uczuć. Wszyscy dawali oklaski po skończeniu się każdej pieśni, lecz nikt ich nie analizował, nikt nie rozumiał ukrytego znaczenia tego wielkiego uczucia, jakie się wyrażało w oczach, w głosie, w słowach Anieli. Podobną była w tej chwili do nadziemskiej istoty, zbiegającej z innego, doskonalszego świata; istoty, której wyższość więcej się odgaduje, niż pojmuje, więcęć się poznaje przecuciem niż rozważą.

Skończył się pierwszy akt. Zrazu publiczność jakby oniemiała z podziwu. Milczenie panowało, jak gdyby każdy chciał jeszcze uchwyścić ostatnie echa dopiero co słyszanych dźwięków. Po chwili dopiero wystąpiły wszelkie objawy zachwyty i uniesienia. Wielka to była i wspaniała chwila. Publiczność jednym głosem wynurzyła swoje uwielbienie dla młodej artystki. Wszyscy pragnęli ujrzyć ją jeszcze. Podniosła się kurtyna, Aniela wyszła—nikogo nie widziała, nikogo oprócz Edwarda... A Edward?..

Bukiet, który trzymała Margarita, wyrwał jój z rąk, pocałował go z uniesieniem i cisnął pod nogi Anieli... Śpiewaczka krzyknęła, zachwiała się i upadła na ziemię, jakby piorunem rażona.

Natychmiast kto tylko znajdował się za kulisami, śpieszył na jój ratunek. Biędna staruszka jój matka, która towarzyszyła córce wszędzie i zawsze, przybiegła zalana łzami.

Tak wielkim był zapał publiczności, iż chociaż wprawdzie bukiet Edwarda najpierwszy upadł u stóp Anieli, ze wszech stron jednocześnie posypały się wieńce i bukiety tak, iż okryły ją całą; nawet kwiaty stro-



jące głowy pięknych pań, także padały na scenę. Aniełę wyniesiono do przeznaczonego dla niej pokoju.

Niebawem przyszedł ktoś z oznajmieniem, iż główna artystka przysłała do siebie i że dalszy ciąg przedstawienia będzie miał miejsce.

Przez ten czas Margarita z tryumfującą miną spoglądała na Edwarda, a w ciągu przerwy między aktami spytała go:

— Co ci jest? Tak pobladłeś? Czy cię ta muzyka tak wzruszyła?

— Nadzwyczajnie!—odrzekł krótko Edward.

— Otóż ci powiem, że odgadłam wszystkie twoje myśli.

— Bardzo wątpię.

— Alboż nie wiesz, Edwardzie, że posiadam sztukę czarnoksiężką, przez którą czytam w twojej duszy?

— Zdarza się to... ale...

— Ta kobieta... to twoja najpierwsza kochanka.

— Zkąd to wiesz? Margarito?

Edward zlodowaciał cały, jak kamień.

— Odgadłam—odpowiedziała Margarita.—A cóż? czy nie mam prawa zwać się kapłanką czarów?

— A! nie mówmy o tem. To już minęło, uczucie to pogrzebane.

— Nie minęło i nie pogrzebane; uczucie to bardziej, niż kiedy, żyje w twojem sercu.

— Zazdrość mówi przez ciebie.

— Nie zazdrość, lecz głębokie przekonanie, wypływające ze znajomości twego charakteru.

— Więc cóż?—wyjąkał pytająco Edward.

— Więc cóż? lękasz się mnie? Biędny chłopczyzna! Nie bój się, nie. Czy przypuszczasz, iż może to będzie miało jaki wpływ na moje zamiary? Bynajmniej: żadnego.

— Bardzo dobra jesteś, Margarito. Przebacz mi: ale to prawda. Cierpię teraz, bardzo cierpię.

— To przeminie. Pokładałam w tobie wielkie zaufanie, tak wielkie, Edwardzie, iż chyba bym już była zupełnie do niczego, jeżeli za kilka dni nie będziesz patrzył na rzecz nadzwyczajną.

— O czém chcesz mówić?

— Teraz ci tego nie powiem.

Edward, który rozmawiał całkiem machinalnie, wzruszył ramionami.

— Powiedz-no mi, Edwardzie, czy nie pójdziesz zobaczyć się z tą kobietą?

— O! nigdy, nigdy! Tobo mię zbyt wiele kosztowało.

— Mało masz odwagi.

— Jakżebym śmiał stanąć przed nią? Nie, w żaden sposób. Tu siedzę, a wzrok jój mi dopieka, jój głos pali mię wstydem i niepokojem.

— Tacy to mężczyźni. Wasza odwaga, to najpiękniejsza z bajek.

— Odwaga! A małoż mi jój było potrzeba, ażeby zaprzestać z nią się widywać? Czyż nie musiałem zadać gwałtu mojemu sercu?

— O! jakże oszukujesz sam siebie, mój ty biedaku! Wmawiasz w siebie. Wierzaj mi Edwardzie: gdybyś był uczuł ból choćby najlżejszy, byłbyś pobiegł do niój. Ale gdzieżby tam dzisiejsza zniewieściła młodzież zdolną była narazić się na wielkie boleści! Jeżeli chcesz, to ci mogę zrobić rozbiór twoich uczuć. Najprzód było to małe cierpienie, maleńkie: ale wynagrodzone wielką przyjemnością; dalej, od czasu do czasu wspomnienie smętne, leciuchne, jak powiew zefiru, a później zupełne zapomnienie.

— I już więcej nic?

— I owszem, jest jeszcze coś więcej. Ile razy czytałeś jaki romans, albo jeżeli przypadkiem zaszedłeś do kościoła, kiedy usłyszałeś jaką tęskną piosnkę, kiedy przechadzałeś się samotnie w noc letnią nad brzegiem morza, osrebrzonego blaskiem księżyca, a do ucha ci dolatywało czułe słowika pienie, lub uciszony szmer fali; w tych chwilach podniosłego nastroju, przyzywałeś jój wspomnienia i obraz jój zjawiał ci się przed oczy.

— Ach! prawda, rzeczywiście to prawda!

— Lecz nie łudź się Edwardzie. Postać ta nie była niczém rzeczywistém; tém tylko, czém jest muza dla poety. Tyś jój nie szukał. Pojawiała się, jak senna mara. Gdyby dla znalezienia jój potrzeba było pójść o jeden krok dalej, nadeptać jeden cierń kołący, nie byłbyś jój szukał. Lubowałeś się, jak zwyczajnie, w ułudném rojeniu. Było to uczucie, które wzbudzała w tobie nie tyle twoja wola, jak raczej poezya sztuki, lub przyrody.

— A jednakże był czas, kiedy często biegłem do niój.

— I to ci wytlómaczę jaknajdobitniej. W pewnym wieku wyobraźnia góruje w naszym umyśle, szlachetność uczuć w naszych sercach. W wieku tym gardzisz wszelką rachubą, a dajesz się powodować natchnieniu. Czyż nie tak? Otóż taka miłość nie rodzi się z uczucia, ale raczej z ekstazy, z uniesień krótkotrwałych, przechodnich, ulotnych. Miłość ta jest marzeniem, nadzieją, szaleństwem; jedném słowem, składają się na nią wszystkie rojenia, ideały, mrzonki, jakie masz w głowie. I zdaje ci się, że ona jest rzeczywistą, prawdziwą, a to tylko złudzenie.

— Złudzenie, powiadasz! A dlaczegoż w téj chwili tak mię ono przygnębia i dręczy?

— Dlaczego? Powiem ci. Bo sobie wyobrażasz, że to ona wicznotrwała, a to jest tylko skutek olśnienia, muzyki, wspomnień z lat młodocianych...

W téj chwili podniosła się kurtyna i rozpoczął się akt drugi. Stało się to samo, co w pierwszym. Aż do ukazania się Anieli, pomimo doskonałości wszystkich artystów, zupełny chłód panował wśród publiczności.

Nadeszła wreszcie scena, w której powinna wystąpić Aniela. Ubrana była w suknię białą, która postaci jęj nadawała coś eterycznego. Nie powiedziałbyś, że to artystka, lecz że to anioł przemerkający po scenie z pieśnią pokoju na ustach, z świetlaną na skroni koroną. Na twarzy jęj malował się smutek słodki, spokojny, lecz głębok i wielki. Z oczu jęj mimowolnie łezka wymknęła się niekiedy. Lekko się chwiała idąc, jak gdyby dotknięta silnem drganiem nerwowem: we wszystkim znać było po niej cierpienie.

Ta scena w operze była także wysokiej doniosłości i nadawała się do jęj talentu i usposobienia. Jestto scena, w której brat zmusza Lucyą do poślubienia, wbrew jęj woli; przyjaciele rodziny powiadają jęj, iż Edward złamał przysięgę. W *Allegro* tego duetu Donizetti włął z wielkiem natchnieniem całą boleść, przepełniającą jego duszę. Niepodobna oddać ani rozpaczy bardziej wzruszającęj, ani odezwy do nieba rzewniejszęj i wymowniejszęj. Dodawszy jeszcze do tego cudowny głos Anieli, boleść rwącą się z jęj serca, łzy spływające po jęj twarzy, łkania, które nie ujmując ani czystości, ani śpiewności jęj tonom, nadawały im jakąś nieokreśloną wymowność, łatwo pojąć magiczny efekt tęj sceny.

Edward nie mógł znieść tego śpiewu: dławił go. Te smętne tony łzami zroszone, co padały, jak rosa niebieska, na duszę łaknącą piękną i dobra i pozostawiały na niej niewygasłe wrażenie, na duszę Edwarda spuszczały się, jak deszcz ognisty, ogarniały płomieniem i w popiół obracały serce jego i sumienie. Taka była potęga tego głosu, tęj postawy, tego spojrzenia, wyrazistego przycisku na każdym słowie, iż Edward machinalnie podniósł się, oblany zimnym, jakby śmiertelnym potem, strwozony wyrzutami sumienia i zabierał się wyjść z łoża, sam nie wiedząc co robi, kiedy śmiech szyderyczy Margarity przykuł go do miejsca i jakby spiorunował jego serce.

Podczas drugieję części drugiego aktu, kiedy następuje scena zaślubin Lucyi, znów Margarita bawiła się dręczeniem swego kochanka. Jużto robiła mu uwagi, iż tu położenie było całkiem odmienne od stosunku, w jakim Edward znajdował się względem Anieli. To znów kiedy z piersi młodęj artystki wydobywały się owe tony przenikliwe, co to przeszywają serca słuchaczy, szczytny wyraz szczytu boleści, Margarita szydersko spoglądając na Edwarda, mówiła:

— Jak lamentuje! to na ciebie skargi rozwodzi. A powinna być ci wdzięczną, żeś ją porzucił, bo bez tego może nie zostałaaby tak znakomitą artystką.

— W istocie, Margarito, twoja zimna krew zgrozą mię przejmuj!

— Al! dziwnaż bo ta młodzież dzisiejsza! Jeżeli cię taką przejmuję zgrozą wizerunek tego, czém jesteś; dlaczegoż dotąd jeszcze nie zniszczyłeś oryginału?

— Bo mię powstrzymuje moje tchórzostwo!—zawołał Edward.

— Mylisz się. To dlatego, że owa namiętność, którą uważasz za rzeczywistą, jest namiętnością czysto artystyczną.

Skończył się akt drugi. Pozostawała jeszcze najtrudniejsza, a zarazem najpiękniejsza część roli podjętej przez Anielę.

Rzewne te ustępy męczyły Edwarda nad wszelki wyraz. Były momenta, iż go coś ciągnęło, żeby zbiedz na scenę, lecz powstrzymywała go niewypowiedziana obawa. Byłby winowajcą stawającym przed swoim sędzią... Nawet w chwilach, kiedy się najbardziej choił z odwagi, nie mógł wytrzymać wzroku młodej dziewczycy, unikał go, jak gdyby mu przepalał czoło i mózg piekłem ogniem.

Gdyby to od niego zależało, byłby uciekł z teatru; lecz Margarita panowała nad nim jeszcze jakąś czarodziejską siłą. Edward nie śmiał sprzeciwić się jej woli, témbardziej, iż Margarita widocznie uparła się, żeby obserwować na Edwardzie skutki wrażeń sprawianych śpiewem Anieli i bystro je przenikając, zamiast się smucić, bawiła się niemi i przyklaskiwała.

Nastąpiła wreszcie scena szału, obłąkania; straszna ta scena, która Boską mocą wymowy, jaką posiada muzyka, daje poznać, jak serce zranione zawodem, dochodzi do pęknięcia; scena, w której Donizetti wyczerpał całą potęgę natchnienia, w rodzaju sobie tylko właściwym, wlał w nią, rzec można, całą swą siłę żywotną.

Śpiew ten zdawało się, że mówi do Edwarda: „Patrz, widzisz swoje dzieło. Jam była, jak kwiat na polu wzrosły, na to może, by czystą wonią napawać powietrze, a twoje gorące tchnienie zerwało mię z łożdgi i cisnęło na skrzydła światowych uraganów. Ja przez ciebie poznałam miłość, życie ukochałam, a tyś mię oddał na pastwę rozpaczcy i okrutnemu zapomnieniu. Byłam szczęśliwą, otworzyłam ci moje serce, wszedłeś do mego nieba, gdyż miałam cię za anioła, a tyś na zaw sze schmurzył jasne horyzonty mojego życia.

„Ja o niczém inném nie myślałam, jak tylko o tobie, o twojej miłości, a tyś jedynie myślał o pozbyciu się natrętnego ci mojego wspomnienia. Podczas, gdy ja we łzach i smutku prosiłam powietrza, morza, gwiazd, aby mi o tobie mówiły; ty zapomniawszy o wszystkiém w objęciach innéj kobiety, śmiałeś się i może urągałeś mojej boleści i moim żalom. A więc patrz na twoje dzieło. Bolesć sprawiona twojem zobojętnieniem pomieszała mi zmysły, zgubiła mię dzisiaj, jutro mię dobije.”

Edward słyszał te wyrzuty w słowach i pieśniach Anieli. To obłąkanie zdawało mu się być rzeczywistém. Przypomnienia dawnéj miłości, tkliwe słowa pociechy i czułości, wyraz żywszój boleści, szal, obłąkanie, rozpacz; wszystko to rozdzierało serce Edwarda: burzył się, miotał, jakby wzięty na tortury.

Ze swéj strony publiczność, słuchając tak mistrzowskiego wykończenia téj wysoko poetycznéj kreacyi, wrzała nieopisanym zapałem. Gdy sztuka się skończyła, wszyscy widzowie powstali, jak jeden, ze swoich miejsc, wyciągnęli ramiona ku scenie i okrzyknęli królową sztuki.

ki tę młodą dziewczynę, która wczoraj jeszcze nieznana, śpiewała tylko dla wiejskiego ludu i dla ptastwa w powietrzu, a od tej chwili stała w szeregu najpierwszych znakomitości, jakimi się szczyci piękna włoska ziemia.

## XV.

Po skończoném przedstawieniu, Edward byłby pragnął rzucić się na kolana u stóp Anieli, prosić o przebaczenie, poprzysiąc jój miłość, a miłość wieczną, tę miłość przeczystą, która była mu niegdyś życiem i życie rozkoszą, uciec od tego świata ciasnego, poziomego i na czoło swoje przyjąć chrzest nieskazitelnej zacności, której zdroje Aniela w duszy swojej nosiła.

Lecz jakże stanąć przed nią? Jak nie upaść z przerażenia przed tém anielskiém wejrzeniem? O! gdyby przynajmniej Edward mógł mieć tę pewność, iż Aniela gniewnie do niego przemówi, nie byłby się wahał ani na chwilę; lecz może w niej znajdzie zapomnienie przeszłości, uprzejmą dobroć, pogodę na czole... ach! na tę myśl serce mu się krajało!

Odwiózłszy przeto Margaritę do jój pałacu, wracał do domu zagrożony w myślach, przybity brzemieniem uczuć i wspomnień.

Wtém usłyszał wielką wrzawę głosów i instrumentów. Kazał zatrzymać powóz i wysiadł zaciekawiony, co znaczą te gwary. Wistocie, były to niezliczone tłumy, które dla uczczenia nowój artystki odprowadzały ją do jój mieszkania. Wiwaty, muzyka, bukiety, wieńce i wszelkie inne sposoby manifestowania zapału i uwielbienia, jakich bez liku mają ludy południowe, wszystkie na ten raz zostały zastosowane.

Mimo to Aniela była smutną: więcej, niż kiedykolwiek, czuła się osamotnioną. Cóż jój po tych owacych, kiedy one nie zdołają osłodzić ani w najmniejszej części jój cierpień?

Przeciwnie: pragnęła samotności. Widziała Edwarda, spotkała się z jego wejrzeniem i radaby sam na sam z sobą rozpamiętywać te chwile, które nawet wśród bóleści zdały jój się wielkimi.

Przybywszy więc do swego mieszkania, jęła rozmyślać nad swoją niedolą.

— Poco mi sława?—mówiła.—Te listki wawrzynu, zdobiące mi czoło, są dla mnie cierniową koroną. O! kiedy tam w mojej dolinie, wieczorny powiew przynosił mi zdala dźwięk jego głosu, nutę jego piosenki, wychodzącej jakby z głębi morza, jakąż to sprawiało rozkosz uszom moim, głuchym dziś na te huczne oklaski!... Ale pocóż narzekam? Nie potrafiłam go uszczęśliwić. Nie jego to wina, ale moja... Ach! widziałam go! mogłam mu się przypatrzeć i zdaje mi się, że widziałam go płaczącym. O! Boże mój, Boże! daj mi jedną łzę jego, daj mi ją, to będzie najpiękniejsza perła w koronie artystki!... Czy on pojmuje moje nieszczęście? Czy więc, że go kocham?... Kto więc, może nawet imienia mego nie pamiętał! Może szczęście zatarło obraz mój w jego pamięć!

Życie jest jak morze, w którym odbija się tysiące twarze, a po niejakiem czasie ani jeden obraz w nim nie pozostaje. Wspomnienia bywają tak ruchome, jak piaski na pustyni. Nowy wiatr powieje, uniesie je, nie zostawiając po nich ani najmniejszego śladu... A jednakże tu, w mojem sercu, on jest zawsze; tak, ja go zawsze ubóstwiam... Gdyby on był kiedy nieszczęśliwym, bardzo nieszczęśliwym, wtenczas mogłabym mu powiedzieć... ach! nie, nie! cóżto ja myślę?... precz z tą myślą!... Nie jest-że to większą ofiarą myśleć o jego szczęściu? a czyż jego szczęście nie sprawia mi największych udręczeń? Więc pokazuje się, Aniello, że go nie kochasz, o! nie! Cóżto za miłość, która polega na własnem uszczęśliwieniu? Nie, prawdziwa miłość powinna mieć swoje źródło w pragnieniu szczęścia dla ukochanego przedmiotu.

Bądź więc szczęśliwym z Margaritą!... O! Boże!—wołała Aniela składając ręce—niechaj on będzie szczęśliwym!—i upadła na kolana.

Cała w bieli, z kwiatami na głowie, spadającymi na rozpuszczonych włosach, z zażawioném okiem, z rękami złożonemi, z szeptem pobożnej modlitwy na ustach, oblana białawém światłem księżyca, zaglądnącego przez okno, porwana w ekstazie, zdawała się być aniołem na wygnaniu, błagającym Boga o powrót do nieba.

Zaiste, wyższe te istoty, co przez życie kroczą z ideałem w myśli, z najczystszeń uczuciem, poświęcającem wszystko na ołtarzach tego ideału, zdolne ukochać aż do szafu i szczęście znaleźć nawet w ofierze; te istoty, co na chwilkę zbiegają na ten padok, by rozniecić dobro w sercach, światło w umysłach, które swojemi pojęciami, swojemi uczuciami przyozdabiają tę ziemię, ten ołtarz ofiarny, zlany już tyle krwi potoków: istoty te są aniołami. Burza ze szczególniejszém upodobaniem bierze je sobie za igraszkę, szalone jój wichry silą się na zagrzebanie ich w kale; one jednakże wnoszą się promieniste ku niebu, niby na białym i pięknym obłoku, który nie pozwala im nawet stopą dotknąć prochu tego świata.

Czémże byłaby ziemia, gdybyśmy nie wierzyli w byt takich istot. Niestety! trafiają się umyśły, co w niezgodzie ze światem, zgorzkniałe, chore, wierząc w to, iż nad wszystkiém ciąży fatalizm wiecznego nieszczęścia, uparcie nic nie chcą widzieć, jak tylko serca występkiem skażone, rozumy nurzające się w błędzie; ale kto nie postradał wiary i nadziei, temu się zawsze kwiat jakiś rodzi na jałowym stepie życia.

Jednym z owych kwiatów była Aniela. Dla niej nie było innéj myśli, jak jój miłość. A jednakże nie zamykała się w martwém i bezpłodném pustkowiu swojego nieszczęścia. I owszem, ona za jego obręb wychodziła i szła z pociechą do biędnych, do słabych, niosta wdowi grosz sztuki w głębokie otchłanie, kędy się nędza szamocze w naszej społeczności. Zaledwie ręce dotknęły najpierwszych jój talentu plonów i już je rozdawały, istnie jak natura swe dary pomiędzy ludzi sumienie rozdziela. A świadczone dobrodziejstwa głęboką osłaniała tajemnicą, tą świętą zasłoną, pod którą kryjąc się miłosierdzie, staje się jeszcze świętszém i piękniejszém.

Owego wieczoru, po długiej walce, stoczonej z własnym sercem, szła do łóżka rozmyślając nad tém, iż przed nią jeszcze jedna droga stoi otworem: poświęcić się dla dawnego kochanka, czuwać nad jego szczęściem, życie swoje złożyć mu w ofierze.

Z tą myślą w głowie usnęła głęboko... Śniła, iż anioł przynosił jej z nieba złotą koronę i że oddechem swoim wlewał w nią natchnienie a w jej usta pieśń cudną, niebiańską... A potem ujrzała znów aniola niosącego w rękach kielich goryczy i cierniową koronę. Ten ją nie obdarzył ani natchnieniem, ani pieśniami, lecz spuścił na jej duszę czystą cnót rosę. A w tej wielkiej chwili głos rozlegający się w przestrzeniach mówił: „Wybieraj, wybieraj!” Aniela upadła na kolana, rzęsiście łoży twarz jej załaty i obejmując za nogi aniola smutku i boleści, prosiła go, aby jej dał skosztować tej gorzkiej żółci; wypita kielich do dna i zwracając próżny, rzekła: „Otóż wychyliłam mój kielich. Będę się nim pić zawsze. Ta gorycz będzie moim życiem”... i zbudziła się łzami zalana.

W tej chwili weszła służąca z oznajmieniem, iż jakaś pani czeka chcąc się z nią widzieć. Aniela kazała ją prosić za chwilkę, skoro się tylko ubierze.

Wstawszy, zarzuciła na siebie naprędce biały szlafroczek; lecz tak była osłabioną, iż zaledwie mogła się utrzymać na nogach: osunęła się na fotel. Już prawie nie pamiętała, że jakaś pani ma wejść do jej pokoju, gdy we drzwiach ukazała się Margarita, niosąc w ręku wieniec z kwiatów.

Na jej widok Aniela zerwała się, jakby ugodzona w serce nagłym ciosem.

— Cóż panią tak przestrasza?—mówiła Margarita.

— Cóż panią może sprowadzać do mojego domu?—odparła

Aniela.

— Pozwoli pani, że usiądę.

— A i owszem, i owszem: proszę.

— Chcę pani powinszować. Panno Anielo, jakżeś szczęśliwa!

— Czy pani sobie żartujesz ze mnie?

— Bynajmniej. Wszakże masz pani u nóg swoich tłumy publiczności, a na głowie wspaniałe wieńce.

— Żałuję panią, jeżeli w tém tylko upatrujesz szczęście.

— O, nie! Ale ponieważ szczęście zupełne jest niemożliwem, wypada przeto wybierać pomiędzy różnymi jego rodzajami, a jabym ten wybrała.

— Mylisz się pani: to szczęście nigdy, nigdy nie dosięga serca. Całe to szczęście ani jednej łzy nie wyciśnie, z tych łez słodkich, które łagodzą wszelkie cierpienia; nie, szczęście to płonne, bezowocne.

— Ach! panno Anielo! a ileż to serc gorącoby go pragnęło! I ja też przychodzę złożyć mój wieniec na skroń pani.

— Bardzo dziękuję. Zachowam go, jako pamiątkę jednego z najsmutniejszych wieczorów w moim życiu.

— To do mnie dotkliwa przymówka.

— Nie sądź pani, abym miała w sercu zawziętość ku wszystkim tym, którzy byli moich cierpień i łez przyczyną.

— O, nie! Wiem dobrze, iż osobą najwięcej pani ukochaną jest ktoś, co najwięcej pani łez wycisnął.

— To prawda, przyznaję. Bynajmniej się tego nie wstydzę. Bardzo go kocham... I pragnę aby był szczęśliwym... O, tak, pani...—mówiła Aniela, ujmując z wylaniem dłoń swojej rywalki—uczyn go pani szczęśliwym.

Z taką tkliwością wymówiła te słowa, iż pomimo swój zimnej nieczułości, Margarita została niemi aż do głębi poruszoną i łzy zakręciły się w jej oczach.

Grobowe milczenie zawisło nad temi dwoma kobietami, przejętymi w tej chwili jedną i tą samą myślą.

Nagle Aniela zawołała:

— On bardzo panią kocha, nieprawdaż?

Na twarzy jej, ożywionej nieopisanym wyrazem ciekawości, malowała się obawa odpowiedzi, jaką miała usłyszeć od Margarity.

— On kocha pannę Anielę—odrzekła cierpko Margarita.

— Mnie? mnie, mówisz pani?... oh!.. nie: to być nie może...

Wymawiając te słowa, głos jej drgał niewypowiedzianą radością i w tej chwili odbiegły z jej pamięci gorzkie wspomnienia dni tak bolesnych i przed oczyma jej stanęła pierwsza miłość najczystsza, taka jak wtedy, gdy nie sprawiając jej cierpień, była światłem jej życia.

— I otóż w tém właśnie—dodała Margarita—leży tajemnica blizkich naszych zaślubin.

Zimny pot wystąpił na czoło Anieli: tak trudno rozstać się z nadzieją!

— Tak—kończyła Margarita—ja go nie kochałam; lecz od chwili, kiedy przekonałam się iż on kocha kogo innego, już i mnie się zdaje że go kocham.

— Nieszczęśliwa!—zawołała Aniela.

— Zwiesz mię pani nieszczęśliwą. To prawda, jestem nią i bardzo; lecz chociaż odemnie zależałoby zaradzić temu, nié mam jednakże dosyć siły do wyzwolenia się z nieszczęścia.

— Ach! myśl pani o Bogu!

— O Bogu! Alboż nie wiesz pani, iż zgiełk światowy, atmosfera salonów, bale, zabawy, zacierają w myśli pamięć o Bogu? Zresztą teraz, gdy zostanę nierozłączną towarzyszką człowieka, którego powinienam uszczęśliwić, może być, że zmienię sposób myślenia.

I złośliwy wzrok utkwiała w Anieli, chcąc zapewne odgadnąć, jakie wrażenie sprawiają jej słowa.

— Przebacz mi, pani—odezwała się na to Aniela—jeżeli prosić będę, abys go nie uczyniła nieszczęśliwym.

— Panno Anielo! tyś nie kobieta!—krzyknęła Margarita, kładąc z wściekłością nacisk na tém słowie.



— Dlaczegoż to pani mówisz?

— Dlatego, że gdybyś ty była Margaritą, a ja Aniela, ach! jabym się zemściła!

— A cóżby pani przyszło z zemsty?

— To, że cierpiałybyś.

— A cóżby pani przyszło z tego, że widziałybyś mię cierpiącą? Tylko złe serca mogą się cieszyć z cierpienia i nieszczęścia drugich.

— Alboż miłość, kiedy jest prawdziwą, nie odbiera zastanowienia?

— Nie. Ona żyć będzie zawsze w głębi serca i zrośnie się z naszym życiem. Jeżeli jest nieszczęśliwy, cierpi, ale się nie mści; płacze, ale nie rozpacza. Ja Edwarda kocham całą duszą, a właśnie dlatego, że go kocham, wolę, ażeby z panią był szczęśliwym raczej, niżby miał być nieszczęśliwym ze mną.

— Nie kochasz go!—zawołała Margarita.

— Ja go nie kocham? Patrz pan! Czy nie widzisz tych oczu wyplakanych, okrażonych sińcami? Niestety! one spochmurniały, i zgasty, bo jego nie widzą! Nie widzisz tej twarzy posepnej i zwiędłej? Mogła ona kwitnąć tylko przy promieniach jego wzroku. Przytóż ucho do mego serca. Posłuchaj jego uderzeń: każde z nich jest zabójczym pchnięciem sztyletu. Patrz, to życie tak młode, gaśnie; to serce pełne siły, pęka; oczy się przymykają, ztąd, że ja go ubóstwiam, a on bez liłości porzucił mię i zapomniał!

Taki był wyraz jej oblicza, taki ogień iskrzył się w jej oczach, tak boleśnie brzmiał jej głos, iż Margarita wykrzyknęła:

— To prawda, kochasz go!

— A pani przysłałaś tu po to, aby napaść wzrok widokiem mojego cierpienia?—spytała Aniela.

— Bynajmniej; ale ponieważ pani sprzyjasz Edwardowi... chciałam... zaprosić panią... na moje wesele.

Aniela z osłupieniem patrzyła na Margaritę. W końcu rzekła:

— Życzę pani wszelkiego szczęścia.

— Panno Anielo—zagadnęła znów Margarita—proszę mi powiedzieć, jeżeli on panią kocha, jeżeli się z sobą zobaczycie...

— Bądź pani spokojną. Nie będę się z nim widzieć.

— O! A gdyby on przyszedł prosić o przebaczenie, miałabyś się przebaczyć mu, kochać go, jak dawniej?...

— Nie, nie! nigdy, przenigdy!

— A mówiłaś, że go kochasz?

— Ten Edward, którego ja kochałam, już nie żyje.

— To są metafizyczne subtelności.

— Tak, opłakałam jego zgon, noszę po nim w sercu ciężką żalobę, a na domiar mojego umartwienia wiem, że on cierpi piekielne męki i bóle.

Margarita wybuchła spazmatycznym śmiechem.

— Widzę żeś pani zazdrosna—rzekła z szyderskiem spojrzeniem.

— Zazdrosna? O! nie, nie! Zazdrosna o panią? Nigdy. Wszak pani powiedziałam, że ten Edward, którego ja kochałam, już nie żyje.

— Ale może zmartwychwstać.

— A, zapewne, mógłby kiedyś powrócić na prawą drogę.

— A wtenczas?

— O! wtenczas powiedziałabym mu żeby panią kochał.

Z tak głębokiem przekonaniem wyrzeczone były te słowa, iż słuchającej mimowolnie wyrwało się z ust:

— To szczytna wielkość!

— Nie, to poczucie obowiązku—odrzekła z zupełnym spokojem Aniela. Wszak ma zostać małżonkiem pani. Edward powinien być dobrym mężem. Do miłości mojej niema już prawa, ale może pozyskać mój szacunek.

— Możesz pani pokochać kogo innego.

— Ja? nigdy, nigdy!—zawołała Aniela w oburzeniu.—Raz w życiu można kochać, raz jeden tylko. Jam stworzona do ofiary. Słyszę głos z nieba powołujący mię do walki... tak słyszę go...

Tu Aniela powstała jakby przemieniona. Wielka jakaś myśl zajaśniała na jej twarzy. Jak gdyby ocknąwszy się ze snu, miała znów to samo widzenie, jakie jej się ukazało poprzedzającej nocy, i widziała je na jawie.

— Co pani jest? panno Anielo!—zawołała Margarita, tknięta tym dziwnym stanem zachwycenia.

— Nic mi nie jest... Postanowiłam sobie wziąć na siebie mój krzyż....

I nagle zwracając się do Margarity, spytała:

— Kiedyż ślub państwa?

— Pojutrze.

— A więc dobrze: będę na pani weselu i będę śpiewać.

— A?.. doprawdy?

— Doprawdy. Jakiż mogłabym zrobić lepszy użytek z mego głosu?

Margarita, która nie w innym celu tu przyszła, po krótkiej chwili opuściła dom Anieli z zupełnem zadowoleniem.

## XVI.

W kilka dni po tej rozmowie miały nastąpić zaślubiny Margarity z Edwardem. W sercu tego ostatniego walka toczyła się bezustanna. Bywały chwile, w których zdawał się na wolę losu; lecz także chwilami rozum jego budząc się do podnioślejszych pojęć, protestował przeciw tej niewoli, w jakiej go więziły niegodne namiętności. Przytrafia się często w młodości to nieszczęście, iż człowiek wewnętrzny, dusza, obumiera. Stało się to i z Edwardem. W pogoni za uciechami

z szalu w szal, pogubił tu i owdzie po cząstce swojej istoty, po iskierce sumienia. I tym sposobem popadł stopniowo w najcięższą chorobę, jaką można sobie wyobrazić, a jaką jest zupełna utrata woli.

Ach, młodość! ten wiek namiętności wielkich, wiek, w którym serce zżyma się na wszelką tyraniją, w którym umysł przybiera pewną barwę rycerskości, co go czyni wzniosłym, wiek ofiar i poświęceń!... Młodość jeżeli potyra się w błocie, kiedy straci swoją tęgość, swoje porywy do innego lepszego świata, do innego życia piękniejszego niżli nędzny żywot ziemski, staje się wówczas zgrzybiałością przedwczesną, smutniejszą, rozpaczliwszą, występniejszą stokroć od samobójstwa, jestto albowiem zaprawdę samobójstwo duszy.

Otóż więc i Edward, który się zgubił samo chcąc, który tylko cudem, za sprawą jakiegoś nadprzyrodzonego ducha, mógł sobie obiecywać, iż wyjdzie zwycięzko z choroby, co się w nim zagnieździła, po krótkotrwałej walce, gdy mu nie dopisał hart woli, mocą której byłby rad-nie-rad powziął stanowcze postanowienie, pochylił czoło i poddał się losowi, przyjmując go bez skrzywienia, obojętnie, jak ktoś co się już po przyszłości niczego nie spodziewa.

Co innego Margarita: dla niej życie było dramatem, lubiła nadzwyczaj wielkie efekta zmian nagłych, i naprzód już cieszyła się, że swoim zameżciem zwróci na siebie powszechną uwagę. A tyle się nawyśmiewała z małżeństw!..

Kobięta płocha, próżna, zalotna, powodująca się głównie zmiennością wrażeń, urządzała wszelkie przygotowania do wejścia w stan małżeński, ni mniej ni więcej, tylko jak gdyby do wielkiej zabawy. Bogata, tak bogata, że sama nie wiedziała co robić z pieniędzmi, fantastyczna do tego stopnia, iż wszystko jej się wnet uprzykrzyło, całą siłą wyobraźni uchwyciła się pomysłu pójścia za męża, który jej trafem przyszedł do głowy i który natychmiast postanowiła urzeczywistnić, bynajmniej się nie zastanawiając nad żadnym z jego następstw. Ani pomyślała o tém, iż uległy dotąd kochanek, zostawszy raz jej mężem, mógł ją tyranizować: ufała potędze swego rozumu, a także liczyła i na słabość charakteru Edwarda.

Wesele to było dla Margarity wielką fetą, która miała olśnić dwór neapolitański. Król obiecał w dniu tym zaszczycić jej dom swoją obecnością; damy najwyższych rodów będą jej zazdrościć; wszystka arystokracja, trzymająca się dworu, uderzy czołem przed jej wdziękami.

Nic nie brakowało do upiększenia tego widowiska. Różnokolorowe światła miały być porozwieszane na drzewach w ogrodzie, ażeby pycha Margarity mogła sobie wyobrazić, że gwiazdy zstąpiły, by jej hołd złożyć. Wszyscy artyści z Neapolu mieli swém świetnym gronem otoczyć wszechwładną królowę mody. Neapolitańskie damy wysilały się na pomysły, dla uczczenia jej podarkami; młodzież ogołociła ogrody z kwiatów; a nawet lud, co zwykł iść zawsze za prądem zmian nych kaprysów mody, zwiększając go swoim przyływem, lud groma-

dził się tłumnie wokół zwyciężkiej kobiety, będącej przedmiotem wszystkich rozmów, i dodajmy, przedmiotem obmów tak zwyczajnych w dworskich sferach.

A jednakże z tego właśnie wieczora wywiązać się miały dla niej niefortunne wypadki, złamanie świetnego jój życia.

Przedewszystkiēm najmocniēj zaprzętała Margaritę ta myśl, iż Aniela będzie się znajdować u niej w tym dniu szczęśliwym, acz nie pod względem miłości, lecz z powodu okazałego przepychu, jakim się otoczy, i sposobności zajęcia sobą całego dworu.

Zaprawdę, na pierwszy rzut oka trudniēm zdaje się do zrozumienia jak mógł taki wypadek, jak wesele Margarity, mieć dla dworu tak bardzo wielkiē znaczenie. My dzisiaj tego nie rozumiemy. Lecz trzeba sobie wyobrazić dwór pod panowaniem czysto absolutniēm, gdzie król jest wszystkim, gdzie niēma miejsca roztrząsania żadnēj ze spraw publicznych, gdzie działalność nie może sobie obrać żadnego wyższego przedmiotu, a wiēc dwór stara się zabijać czas plotkami, obmową i widowiskami; wyobraźmy sobie tedy dwór podobnego rodzaju, choēby nam to przyszło z wielką trudnością, a łatwo wówczas pojmiemy, iż zamążpójście młodej kobiety, głośniej w swoim czasie ze swych bogactw, miłostek i elegancyi, musiało być najulubieniēszym tematem rozmów dla tych bezczynnych umysłów, które przy próżniactwie, a braku wykształcenia i nauki nie umiały wzlatać w wyższe i szersze sfery.

Margarita z właściwēm swemu charakterowi trzpiotostwem, odsunęła od siebie myśl o wszystkiēm innēm, niē weselne uroczystości. Zdaje się niepodobniēm do wiary, aby krok tak ryzykowny i stanowczy w życiu mógł być traktowanym w sposób równie lekkomyślny. Wszystko, co się odnosiło do tego waźnego aktu, było tylko występem, galą, niczēm wiēcēj. Dowodem tego było nawet przybycie na ten wieczór Anieli, o które się wystarała Margarita. Rozповідаła ona, iż Aniela była jój rywalką wzgardzoną, opuszczoną. I tym sposobem chciała ukazać swój tryumf w świetle bardziej dramatycznym, upoetyzować swoje wesele.

Wszelako obecność Anieli na tym obchodzie weselnym, świadczyła wprost przeciwnie. I tak to rozumiała biēdna artystka, a dla wyprobowania, o ile serce jój zahartowało się do cierpienia, postanowiła ukazać się w domu Margarity, na tēj uroczystości tak dla niej bolesnēj.

Obrzęd ślubny odbywał się publicznie, w kościele. Chciała Margarita, aby cały świat brał udział w tēj uroczystości. Najwłaściwszym środkiem do osiągnięcia tego celu, było wystąpienie z największą jak tylko być może okazałością i wystawą. Najpiękniejsze zaprzęgi, najwspanialsze powozy, służba suto wygalonowana, wszystko wystąpiło w tym poranku i wabiło wzrok próżniaczego ludu neapolitańskiego, rozlegającego się po polach i po ulicach, niby sultan na miękkim łożu wpośród wonności swojego haremu.

Lecz w jednym z ciemnych zakątków świątyni, w której miał się odbyć ów obrzęd, gdzie dwoje ludzi miało sobie przysiąc miłość dożgonną, jedno przez kaprys, drugie czysto przez niedołęztwo; w jednej z kaplic kościelnych, przed ołtarzem Najświętszej Panny, klęczała kobieta w długim czarnym okryciu, z zakwiefioną twarzą, ze złożonemi rękami modliła się i płakała. Była to Aniela, która chcąc doświadczyć swoje serce, nie mówiąc nic nikomu, przyszła tu, aby usłyszeć tę przysięgę wiekuistej miłości, jaką tylekroć z ust Edwarda słyszała.

Ta świątynia, ten szmer modłów, rozpraszający się po całym przestrzeni, woń kadzideł, dźwięki organów, objijające się o sklepienia, uroczyste śpiewy w ustach kapłanów: wszystko to nie podziałało na serce Anieli w ten sposób, aby je uspić, lecz owszem zbudziło je do polotu w nieskończoność.

Biędna Aniela widziała się osamotnioną; opuściła ją ta miłość, która była dla niej aniołem tulącym ją pod swoje skrzydła. Z głębi ciemnej kaplicy usłyszała słowa przysięgi tych dwojga ludzi i przypieczętowała je swojemi łzami. Słowa te jak cierń wpiły się w jej serce... Na jedną chwilę ciemno jej się zrobiło w oczach, ziemia usuwała się zpod stóp... A gdy wnet przyszła do siebie z tej nieprzytomności, spostrzegła, iż, ratując się od upadku, bezwiednie oburącz objęła krucyfiks.

Oh!—zawołała patrząc nań—Tyś jedyną ucieczką serc strapiionych, tyś jedyne dobro w życiu! Krzyż, krzyż!.. o! ja go poniosę z czołem wzniesionem do góry!

Obtarła oczy, spokojny wzrok utkwiała w krzyżu, a potem z wolna wyszła z kościoła.

Zdała słyszała zgiełk i radosną wrzawę; na wszystkie strony rozpowiadano sobie o przepysznych cugach, o wspaniałych toaletach wszystkich pań: dolatywały do jej ucha życzenia pomyślności dla nowożeńców... Tyle ciosów godziło w jej serce tak ostrych i przenikliwych, iż boleści jej nie miały już liczby ani miary.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## O kwestyi religijnej w Prusiech,

### I.

Wolność religijna w Prusiech, przestrzegana reskryptami i edyktami królewskimi, a później stwierdzona w konstytucyi 1850 r., polegała, ze stanowiska państwowego, na uznaniu dwu kościołów: katolickiego i ewangelickiego, jako historycznie uprzywilejowanych, oraz na uznaniu innych wyznań nieuprzywilejowanych, jako to: braci morawskich, menonitów, greków, żydów. Kościołom katolickiemu i ewangelickiemu, również jak i innym wyznaniom, zapewniła konstytucya prawo rządzenia sobą i administrowania się niezależnego; oraz dyspozycyą wolną nad swemi majątkami i instytucyami, mającemi na celu kult, wykształcenie i dobroczynność. Stosunki stowarzyszeń religijnych z swymi przełożonymi były dozwolone, a listy pasterskie podlegały tylko tym prawom, jakim podlegały wszelkie publikacye. Prawo mianowania, proponowania, wyboru i potwierdzenia na posady duchowne, służyło, z pewnemi wyjątkami, obu kościołom.

Tymczasem dostał się był na czoło rządu w Prusiech minister Bismarck, którego na szeroką skalę zakreślone plany, miały się dać we znaki religijnej wolności. Wczorajszy zwycięzca dwu państw pierwszorzędnych jednoczy Niemcy, nie pytając o prawo narodowe, a to jednoczenie oprzeć dąży na podstawie wszechwładzy państwa. Zaledwie ukończył wojnę z Francją, rozpoczął ją z Kościołem, w którym upatrywał, mianowicie po ogłoszeniu nieomyślności papieżkiej jako dogmatu, zapórę najwালniejszą dla swego celu. Partya tak zwana liberalno-narodowa, w której oczach religia o tyle tylko zastuguje na uznanie, o ile jest indywidualną zasadą, nie zaś i asocyacyjną, przyklasnęła Bismarckowi, a poseł dr. Virchow wymyślił zaraz hasło bojowe: *walka za cywilizacyą*. Wszelako zrazu ogłędnie bardzo wzięto się do rzeczy, nie chciano nagle odstąpić uszykowanych baterii, aby kół najwyższych nie przestraszyć taką rewolucyą, nieobliczonemi brzemioną następstwami. Projekt partyi liberalnej, dotyczący zniesienia częściowego zakonów, rozbił się o *velo* ministra wyznań Mühlera, który z tej przyczyny miał doznać wkrótce jaknajniegodniejszych szkalowań od prasy żydowsko-liberalnej. Bismarck bo czyhał, wedle zwykłej swojej taktyki,

na sposobność, któraby nosiła pozory winy ze strony Kościoła. Sposobność wkrótce się nadarzyła. Biskup warmiński widział się spowodowanym do ekskomunikacji nauczyciela religii przy gimnazyum katolickim w Brunsberdze, będącym pod dyrekcją biskupią. Rząd ujął się za profesorem, dowodząc, że ekskomunikacja nie jest ważną wobec państwa, które płaci profesora i niema mu nic do zarzucenia, że, nadto, nie powinna być dozwoloną, skoro pociąga za sobą skutki pewne cywilne i dotyka ekskomunikowanych na czci. Tak się rozpoczęła kampania w roku 1871; już w lipcu tegoż roku zniesiony został wydział katolicki w ministeryum wyznań, w listopadzie przeszło przez sejm prawo, od ministra bawarskiego Lutz, zwane Lutz'owem, a dotyczące nadużycia ambony w rozumieniu biurokratyczno-politycznym, wreszcie odjęto prawo nauczania Stowarzyszeniu braci i sióstr chrześcijańskich.

W roku 1872 walka coraz bardziej roznamiętniać się zaczynała. W lutym przechodzi prawo, odbierające dozór nad szkołami elementarnymi duchowieństwu; w czerwcu prawo, wydalaające jezuitów. Już miesiąc rychlej jęto się środków radykalnych, aby zniweczyć niezawisłość Kościoła. Miesiąc maj miał się odtąd przez całe lat cztery zapisać okrutnemi głoskami w pamięci ludzi religijnych; ponieważ kolejno przeszły przez sejmy prawa, niszczące swobodę i historycznie uprzywilejowaną pozycją Kościoła. Ku temu celowi nie wahano się nawet zmienić konstytucyi. Do artykułu piętnastego, na mocy którego służyła każdemu wyznaniu swoboda wewnętrzna w rządzeniu się i administrowaniu, dodaną została restrykcyja następująca: „wszelako Kościół ulega prawom państwa i jego dozorcowi, który prawo normuje.” Do artykułu 18 który opiewał, że Kościół ma prawo mianowania i wyboru duchownych, dodano klauzulę, która brzmi: „prawo reguluje atrybucye państwa, dotyczące wychowania seminaryjnego, mianowania i kasacyi duchownych i oznacza zarazem granice władzy dyscyplinarnej duchownej.” Tym oto sposobem utworowano sobie drogę do praw majowych 1873 r., wypracowanych przez ministra Falk'a.

A gdy biskupi i inni duchowni bronią się, a prasa katolicka wskazuje na fakt zgwałcenia konstytucyi, ministeryum odejmuje pensye duchownym, aby ich zmusić do uległości.

Rząd wchodzi na drogę prześladowania, pod przewodnictwem Bismarcka, którego gwałtowny charakter zastosowyywa teraz do Kościoła maksymę: „ogniem i żelazem.” Prasa płatna, na rozkaz z góry dany, płwa, nie tylko już na duchownych i prasę niezależną katolicką, ale i na wszystkich tych, którzy przeciwni byli podobnemu postępowaniu rządu: zowie ich złymi obywatelami i nieprzyjaciołmi państwa. A przecież wiadomo każdemu, jak, w roku 1866 i w roku 1870, wypełniali katolicy ciężkie obowiązki wojskowe. Pamiętamy dobrze, jak się np. w roku 1866 odzywał urzędowy organ berliński. Pisał on wówczas: „jeden z najświetniejszych dowodów, że Prusy wypełniają swoje postanowienie cywilizacyjne, przedstawia nam działalność sfer duchownych.

Członkowie wszelkich wyznań prześcigają się w gorliwości obywatelskiej, wszędzie, a mianowicie w łonie kościołów: katolickiego i ewangelickiego odznaczają się wszyscy duchem jaknajpiękniejszej zgody i najwyborniejszego poszanowania wzajemnego." A teraz nie wahano się kazać prasie płatnej oskarżać biskupów i tych, którzy z nimi trzymali, o sprzyjanie Austrii, w intencji i w czynach, podczas onej kampanii 1866 r.

W roku 1870 w końcu listopada, któż pierwszy, jeśli nie taki katolik, jak poseł Reichensperger, wygłosił w uniesieniu życzenie, aby korona cesarsko-niemiecka spoczęła na skroniach Hohenzollernów? Nie przewidywał, że w lat trzy później zawołać z goryczą mu przyjdzie: i toż to żniwo z naszego zasiewu! Prawa z roku 1873, z datą 11, 12, 13 i 14 maja, nie tylko niweczyły dawną swobodę Kościoła, ale wytwarzały zarazem całkiem nowy stan rzeczy, stawiały wszystkie kościoły, jakie tylko w państwie się znajdują, w zależności od rządu. Żadnego Kościoła niezależność nie ostoi się wobec praw, wkraczających bezustannie w dziedzinę spraw duchownych, dotyczących wykształcenia, mianowania i jurydykcyonalnej władzy.

Pierwsze z praw roku 1873, prawo z 11 maja „trudni się wychowaniem duchownych i mianowaniem ich na posady duchowne,” a artykuł pierwszy tak brzmi: „posadę duchowną otrzymać może w kościele tak katolickim jak ewangelickim, tylko Niemiec taki, który uprzednio odbył swe nauki wedle przepisów obecnego prawa i przeciw którego mianowaniu żadna ze strony państwa nie zaszła opozycja.” Artykuł czwarty określa doniosłość tych przepisów w następujących słowach: „aby otrzymać posadę duchowną, trzeba złożyć egzamin dojrzałości w gimnazyum niemieckim, trzy lata studyować teologią na jednym z uniwersytetów niemieckich, a w końcu zdać egzamin państwowy, którego warunki bliższe zawierają rozporządzenia.” Widzimy więc, że państwo wymaga i nakazuje, aby ksiądz każdy przejął się wprzód duchem wykształcenia i pojęć pruskich, a nie pozwala mu wypełniać funkcji pasterskich jak tylko wtenczas, gdy go osądzi za dobrego swego urzędnika. W tym samym celu poddaje artykuł dziewiąty nadzorowi państwa „wszystkie instytucje religijne, trudniące się wychowaniem wstępnem duchownych.” Więc i organizacja wewnętrzna i dyscyplinarne regulamina i plan nauk, winny podlegać decyzji naczelników pojedynczych prowincyi, czyli tak zwanych naczelnych prezesów. Profesorowie otrzymują swe posady tylko z pozwolenia państwa. Jeżeli zaś tych innych przepisów, które wszystkie nacechowane są nieufnością i wyrażają zarazem zupełną supremacją państwową, nie wypełni władza duchowna jaknajściślej, ministrowi wyznań służy prawo odjęcia funduszków udzielanych, albo zamknięcia samejże instytucyi. Tenże minister wydaje szczegółowe rozporządzenia co do egzaminów. Jednym słowem, wkracza wszędzie władza świecka w wychowanie duchownych i ruguje biskupów, ogłasza siebie za naj-



wyższą instancją w sprawach dotyczących zdatności i wyboru aspirantów do stanu duchownego.

O mianowaniu na posady duchowne opiewa artykuł piętnasty, „że biskupi i wogóle przełożeni duchowni, zobowiązani są wymienić po imieniu i nazwisku naczelnym prezesom kandydata, któremu chcą poruczyć pasterstwo dusz, lub jakąbądź posadę duchowną i wyszczególnić zarazem rodzaj takowej. Ten sam obowiązek ciąży na przełożonych duchownych w razach, gdy z jednej posady przenoszą księży na drugą. W przeciągu dni 30 służy naczelnemu prezesowi *velo* przeciw umieszczeniu lub przemianie duchownych, a to na zasadzie motywów, prawem określonych, między którymi takie np. znajdują się: „jeśli istnieją fakta, które upoważniają do mniemania, że kandydat przekroczy prawa państwa, lub wykroczy przeciw rozporządzeniom, wydanym przez państwo w zakresie jego kompetencji, lub też zamąci pokój publiczny,” naczelną prezes ma prawo niedopuszczenia kandydata.

Przeciw tej dyskrecyonalnej władzy służy wprawdzie apelacja do trybunału królewskiego *ad hoc* ustanowionego, ale jakież to skład tego trybunału? Otóż trybunał, ustanowiony prawem z 12 maja tegoż roku składa się z 11 członków, z których prezes i pięciu przynajmniej członków winno być urzędnikami sądowymi państwowymi. Wszystkich zaś mianuje król na przedstawienie ministra. Ci, którzy już są urzędnikami, pozostaną na swój posadzie tak długo, jak się to rządowi podobać będzie; drudzy dożywotnio urząd zatrzymują. Koniec więc końców, państwo stawia się tutaj sędzią zarazem i stroną.

Gdyby zaś biskup nie wymienił innego kandydata, po odrzuceniu pierwszego przez naczelnego prezesa? I tę okoliczność przewidziało prawo, stanowiąc: że każda posada pasterza dusz, winna być w przeciągu roku obsadzoną. Z upływem roku służy naczelnemu prezesowi prawo zmuszenia biskupa „przez nałożenie nań kary aż do wysokości tysiąca talarów.” Naczelnemu prezesowi tymczasem, nim przystąpi do nałożenia kary owój, służy prawo zawieszenia wypłaty pensyi biskupiędj.

Samowładność państwa jeszcze oczywiście występuje w artykule dziewiętnastym, który brzmi: „tworzenie posad duchownych, których tytularni piastunowie mogą być *pure* odwołani, może tylko nastąpić za zezwoleniem ministra wyznań.” I znów ustanawia się kara pieniężna do wysokości tysiąca talarów za wykroczenie biskupa w tym razie. Prawodawstwo majowe nie zapomina i o księżach lub profesorach zagranicznych. Wymaga ono od nich wystarania się, w przeciągu pół roku, o indygenat pruski, względnie cesarsko-niemiecki.

Prawo z 12 maja ustanowiło, jak już powiedzieliśmy, trybunał królewski *ad hoc*, przez co państwo stało się najwyższym sędzią między biskupami a duchowieństwem w sprawach czysto duchownych. Odjęcie wolności księdzu z ramienia biskupa i wysłanie go na odsiedzenie winy, może trwać tylko 3 miesiące. Artykuł 10 mówi, „że przeciw

wyrokom duchownym, skazującym na karę dyscyplinarną, apelować może karany do władz państwa," przyczém prawo reguluje zaraz warunki i procedurę téj apelacji. Studzy kościoła wykraczający bądź przeciw przepisom praw państwa, odnośnie do swych funkcyj, bądź przeciw rozporządzeniom, wydanym przez władzę publiczną, mogą być, na wniosek takowej, odwołani ze swych posad za wyrokiem sądowym. A jeśliby, mimo wyroku, śmieli pełnić dalej swój urząd, skazani być mają na kary pieniężne, aż do wysokości 1000 talarów.

Prawa te z r. 1873 wykazują więc jasno, jak dalece państwo pruskie wtłacza Kościół w ryżę ciasnej swój i nieubłaganej dyscypliny, a zarazem narzuca się na protektora duchownych przeciw biskupom i tym sposobem zupełny w zasadzie uprawnia bunt.

Nie dosyć przecież tego było Bismarckowi, który w dwu następnych latach poszedł jeszcze dalej, coraz to nowe przeprowadzając prawa, bądź prewencyjne, bądź represyjne.

W maju r. 1874 przechodzi prawo dotyczące administrowania opróżnionych biskupstw i stanowi, „że kto chce administrować majątkiem opróżnionego biskupstwa, winien przedstawić naczelnemu prezesowi właściwej prowincyi tytuł swój legalny, na mocy prawa z r. 1873, 11 maja i oświadczyć swą gotowość do złożenia przysięgi „wierności i posłuszeństwa” koronie i prawom państwa. Zasada przeto zawsze niezmiennie ta sama pozostaje, a nią jest: absolutne poddanie Kościoła państwu. Każdy biskup, sprzeciwiający się takiemu upośledzeniu Kościoła, miał widoki dostania się do więzienia, trwającego od 6 miesięcy aż do 2 lat, utracenia indygenatu i aż wydalenia z państwa. To téż nastąpiło kolejno i przeprowadzone nadto zostało z bezwzględnością, jakiej szukać w państwach cywilizowanych.

W tym samym niemal czasie przeszło inne jeszcze prawo, uzupełniające dodatkowo prawa z r. 1873, dotyczące wychowania i mianowania duchownych.

Nie na tém przecież koniec. Bismarck jeszcze zupełnie arsenału swego nie wyczerpał. Siódmego maja rozpoczęła się w Izbie deputowanych berlińskich dyskusya nad zniesieniem zakonów. Wniosek o zniesienie przeszedł po kilku posiedzeniach i stał się niebawem prawem. Opiewa ono, „że wszystkie zakony i kongregacye katolickie, wykluczone są z obrębu państwa, a fundacya takowych zakazana. Te, które istnieją, nie mogą nowymi zasilać się członkami i winny być w pół roku rozwiązane. Zakony, trudniące się pielęgowaniem chorych, nie podpadają grozie powyższych praw, wszelako mogą i one być rozwiązane osobném rozporządzeniem korony, a podlegają bezwarunkowo kontroli rządu.”

Kościół więc w Prusiech umundurowano po prusku, wymierzono mu racye chleba i porcy powietrza.

## II.

Papież Leon XIII, widząc straszne spustoszenie moralne, spowodowane przez prawa majowe, uczynił pierwszy krok ku tranzakcyi. W jesieni 1879 r. wystosował list do arcybiskupa kolońskiego, w którym wyrzekł te słowa: „Prośmy Boga, aby natchnął większą łagodnością serca przesławnego cesarza Niemiec i tych mężów wpływowych, którzy go otaczają,” a w roku bieżącym pisał do tegoż arcybiskupa pod d. 24 lutego: „ci, którzy kierują nawą państwa, poznają, że nie chcemy wkraczać w dziedzinę praw cudzych, że pokój trwały może istnieć między władzą duchowną a rządem, jeśli tylko obie strony mają rzetelną wolę utrzymania pokoju, lub powrócenia doń w razie potrzeby. Wszyscy wierni przekonani są, że nas ożywia ten duch i ta wola. Tak też jest; żyje w nas tak silnie ta wola, że, mając na uwadze zbawienie dusz, porządek publiczny i korzyści zeń płynące, nie wahamy się oświadczyć, iż dla przyspieszenia upragnionego porozumienia, pozwolimy, aby nazwiska duchownych, wybranych przez biskupów do pełnienia służby Bożej, podawane były, przed instytuowaniem kanoniczném, do wiadomości rządu pruskiego.”

Wolno wnioskować, że krok ten pojednawczy papieża, ma związek jakiś z negocyacyami, prowadzonymi poufnie w Wiedniu, między wysłannikiem Bismarcka a nuncyuszem i że, gdyby Stolica święta nie była żadnej dopatrzyła w Bismarcku skłonności do ulg, nie byłby papież drugiego swego listu do arcybiskupa napisał i na ogłoszenie takowego zezwolił.

Ale czyż wnosić można, że zamiana dalsza zdań między Berlinem a Watykanem, spowodzić potrafi kasacją praw majowych? Państwo pruskie nie uznaje żadnego pierwiastku wyższego nad swój, nie znosi nawet żadnej władzy równej. Ta supremacya władzy pruskiej centralnej rośnie ciągle od chwili uformowania się Cesarstwa. Przekroczyła ona już dawno granice Królestwa i rozciąga się coraz dobitniej na wszystkie kraje zjednoczone w Cesarstwie. Nasamprzód armią, potem cła ogarnęła wszechpotężna centralizacya. Przychodzi teraz krępka na koleje żelazne. Kontyngens wojskowy znów na 7 lat ustalony został. W parze z podkopaniem parlamentaryzmu, idzie dążność do zreformowania konstytucyi Cesarstwa na korzyść przewagi Prus. Przewaga ta ciąży codziennie bardziej na ciele niemieckim całokowitem, Prusy gotowe są do złamania wszelkich zachętek jakiegobądź opozycyi w Niemczech. Jakież więc jest prawdopodobieństwo, aby Bismarck, który jest wcieleniem aspiracyi pruskiej, chciał właśnie zwolnić pęta, jakimi skrępował katolicyzm, w którym upatruje potęgę zewnętrzną, nieprzyjazną jego powadze, nieuznającą supremacyi państwa w sprawach duchownych, będącą wreszcie, z natury rzeczy,

nieprzychylną dążeniom rządu protestanckiego, mieniącego się najwyższą we *wszystkich* sprawach instancją?

Jakże odpowiedział Bismarck na pojednawczy krok papieża? Rezolucją ministeryalną z 17 marca, w której powiedziane jest, że listowi papieżkiemu tak długo „li wartość teoretyczną” przypisać trzeba, jak długo biskupi nie dowiodą swém postępowaniem, że dobre zamiary Stolicy Apostolskiej zgadzają się z przepisami prawa publicznego pruskiego. Bismarck czeka na praktyczny rezultat pojednawczej papieża odezwy, a gdy będzie miał dowód widoczny w rękach, będzie się starał także krok naprzód uczynić do tranzakcyi. Wezwie wtedy reprezentacją narodu, „aby mu dała pełnomocnictwo, któreby mu pozwoliło zastosować jaknajłagodniej istniejące prawa majowe.” O zniesieniu praw majowych nie wspomniała ni słówkiem deklaracya ministeryalna.

Jakoż niebawem przekonać się było można, jakiego to rodzaju są koncesye Bismarcka. Co dopiero ukończona kadencya sejmowa zajmowała się projektem rządowym, mającym na celu uzyskanie od sejmu władzy dyskrecyonalnej, w zastosowaniu takiém lubo owakiém praw majowych. Bismarck nie odstąpił ani o jotę od zasady, że państwo nie potrzebuje żadnych układów z Watykanem i czynić będzie to, co mu się na razie zdawać będzie pożyteczném dla katolików, bez odwoływania się do głowy kościoła katolickiego.

Jaki dalszy obrót wezmą rzeczy, nie będziem się kusić odgadywać. Jedni mniemają, że prędzej czy później przyjdzie znów do jakiejś komplancyi; drudzy sądzą, że Bismarck zastosuje do całego imperyum prawodawstwo antikościelne pruskie. Przyszłość pokaże, która z tych dwóch opinii lepiej ocenia politykę Bismarcka.

Dajmy na to, że przyjdzie do jakiegoś znośnego chwilowego pożycia między państwem a Kościołem; do zgody poważniejszej przyjsć nie może. Bismarck nie pójdzie do Kanossy; a papieżstwo do Warcynu pójsć także nie może. Pozostanie więc, koniec końcem, ciągły stan prowizoryczny, brzemienny w niebezpieczeństwa; niepokój w sumieniach nie ustanie i gotów wytworzyć zgubne dla wolności obustronnej skutki, które utrudnią jeszcze bardziej uorganizowanie się sprawiedliwego stosunku między wolnością Kościoła a władzą państwa.

L. Ż.

Dla tém dokładniejszego określenia istoty, toczącej się w Niemczech, a mianowicie w Prusiech, walki uciśnionych interesów Kościoła przeciwko zamachom władzy państwowej, wypada zwrócić jeszcze uwagę na to, że taktyka stronnictwa liberalnego uciekła się w ostatnim czasie do jednej broni, która na tém polu okazywała się dotychczas zawsze najskuteczniejszą wśród ciemnych mas ludności. Liberalizm niemieckich kosmopolitów starał się podstępnie nadać tym sporom charakter walki katolicyzmu z protestantyzmem. Przeciwko takiej in-

synuacyi, podniósł bardzo stanowczo głos swój poseł Windhorst w mowie swojej do wyborców w Kolonii, dnia 20 lipca r. b., w której czytamy: „Nie, panowie, to nie jest walka wyznań, o ile wyznania opierają się na wierze Jezusa Chrystusa: jestto walka wiary, objawionej z niewiarą, pogaństwem, materyalizmem, słowem z bezwyznaniowością; a gdyby materyaliści w Niemczech pragnęli rzeczywiście rozdmuchać walkę między wyznaniem, będziemy ze wszystkich sił pracowali nad tém, aby jej niedopuszczyć, aby ją zażegnać.” Zaznaczywszy dalej, że ostatnie rozprawy w parlamencie dokazały już tego, że rząd przyznał się do błędu, jaki, idąc zadaleko w prawach majowych, popełnił, że radby był zakończeniu walki—nie wątpi, że pożądany pokój osiągniętym będzie, skoro odpowiednie środki do tego wynaleźć się dadzą. Jak się ta sprawa dalej rozplątywać będzie, nie można kategorycznie jeszcze odpowiedzieć, ponieważ żaden z czynników decydujących w tej sprawie, nie wyjaśnił sobie w zupełności tej kwestyi. Tymczasem uzyskano przynajmniej tyle, że tak rząd jak i stronnictwa parlamentarne poznały dokładniej stosunki i przekonwały się, jak wiele jeszcze trudności przewyciężyć trzeba, aby dojść do powszechnie upragnionego układu. Po tej zaciętej walce muszą się umysły zupełnie uspokoić: a jeśli ze wszystkich stron objawi się wówczas dobra wola, to znajdzie się bardzo wiele punktów, za pomocą których można będzie dzieło pokoju dalej poprowadzić, ponieważ w obecnym położeniu sprawa ta długo pozostać nie może. Trwały układ dopiéro po usunięciu praw majowych nastąpić może, bo „kiedy budowa jest zachwiana w swych fundamentach, trzeba ją najprzód rozebrać: potém dopiéro można się na tym samym gruncie zająć nową budową.” Skoro rząd o tém się przekona, to rokowania nanowo podejmie. Windhorst objawia nadzieję, że to nie długo nastąpi, bo tak zewnętrzne jak i wewnętrzne stosunki dopominają się rychłego załatwienia tej sprawy. „Śmiem twierdzić, że jeżeli się tej walce, prowadzonej pod sztandarem fałszywej kultury, końca nie położy, to sobie ze socjalizmem trwale i skutecznie rady nie damy. Nie powinniśmy jednak oczekiwać na to z założonemi rękami, ale we wszystkich kierunkach czynność naszą rozwijać, o ile prawa na to pozwalają. W gminie, na radach prowincjonalnych, w sejmie i w parlamencie rzeszy powinniśmy praw naszych bronić, bo politycy dzisiejszego wieku trzymają się realizmu, który uczy, że kto niema nic do oddania, ten téż wzajem niczego dostać nie powinien. Starajmy się o taką siłę, abyśmy wobec pewnej rękojmi sami wiele dać mogli. „Potęgi i skarbów świata tego nie pragniemy, lecz mamy prawo żądać wolności sumienia i niezależności Kościoła katolickiego. Chcemy pokoju z braćmi naszymi, pragniemy stanąć wraz z nimi w obronie ojczyzny; ale żądamy, ażeby nam w ojczyźnie naszej nie przeszkadzali służyć Bogu według zasad naszego Kościoła; bo i my nie przeszkadzamy nikomu chwalić Boga według jego woli, uważając przeciwne postępowanie za niesprawiedliwe i za niegodziwe. Oto

jest cel, panowie, jaki mamy przed sobą, a wobec tego smutném to zaiste jest znakiem chwili, że organa publiczne tak głęboko w bezbożności się pograżęły, że nie pojmują już nawet potworności takiej, aby mężowie niemieccy mogli miotać się na rzeczy ku niebu prowadzące, aby mogli potępić żarliwie to, co człowieka od materyi wyróżnia. Wobec tak smutnego zjawiska, my nie będziemy jednak wyprawiali płasów około złotego cielca naszej epoki; lecz będziemy walczyli wobec Krzyża, który choć był na wzgardę skazany, mimo to zwyciężył, i żadna nas potęga ziemska w naszej wierze nie zachwieje.”

---

KILKA SŁÓW  
Z POWODU ZNALEZIONEGO WE FRANCYI POMNIKA  
JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

*Józefa Łoskiego.*

W zeszycie kwietniowym *Biblioteki Warszawskiej* zamieszczony był w przekładzie z paryzkiego czasopisma: *Gazette des beaux arts*, artykuł pana Maryusza Vachon o znajdującym się we Francyi wspomniałym pomniku Jana Sobieskiego, wykonanym za życia tego monarchy przez Piotra Vaneau. Ponieważ wiadomość o tém odkryciu obudzila u nas pewne zajęcie, podam w tym przedmiocie bliższe szczegóły.

Wkrótce po ukazaniu się w paryzkiej gazecie sztuk pięknych opisu pomnika Sobieskiego, znany z wytwornych prac rzeźbiarskich pan Bolesław hr. Starzyński zajął się zebraniem fotograficznych kopii tak szacownego zabytku. Rozproszenie składających go części w kilku miejscowościach, znacznie od siebie oddalonych, niemałe w uskutecznienu tego zamiaru przedstawiło trudności; wszakże umiano je pokonać i owocem tych usiłowań było zebranie przez hr. Starzyńskiego 12 tablic in folio, przedstawiających posągi i płaskorzeźby wchodzące w skład pomnika. Dzięki tój gorliwości prawdziwego miłośnika sztuki i zaufaniu, z jakim mi zdjęte z oryginału kopie powierzył, byłem w możności dokładnego rozpatrzenia się w tém dziele, co doprowadziło mnie do wniosków niezgodnych z twierdzeniem archeologa francuzkiego.

Pan Maryusz Vachon, który tak ważne dla nas zrobił odkrycie, najzupełniej się myli, nazywając utwór Piotra Vaneau *projektem pomnika*. Jak malarze pierwsze swe pomysły, nawet do największych obrazów na małe rzucają płótno, bez ostatecznego ich wykończenia, tak się rzecz ma z kompozycjami rzeźbiarskimi. Rzeźbiarz mający wykonać znakomitsze dzieło sztuki, tworzy projekt małych rozmiarów i podobnie jak malarz go szkicuje. Takie projekty widzieć można nietylko w każdej rzeźbiarskiej pracowni, ale i w muzeach, gdzie nie-

które z nich przechowują się z dawnych czasów; dzieło zaś Piotra Vaneau poświęcone pamięci wiedeńskiego zwycięstwa, a odznaczające się wielkością rozmiarów i delikatnością rzeźby, nie jest jak twierdzi pan Vachon *projektem pomnika*, mającego być wyrobionym w marmurze, ale dziełem ostatecznie w drzewie wykończoném, które miało być umieszczone we wnętrzu jednego z pałaców królewskich. Jeżeliby zaś w tym utworze chciano upatrywać model, według którego miał być wykuty téjże wielkości pomnik z marmuru, lub téż odlany ze spiżu, to przeczy temu okoliczność, że modele rzeźbiarskie robią się z gliny; przypuściwszy zaś że Piotr Vaneau tworzył pod tym względem wyjątek, to nie używałby na model tak trudnego w obróbeniu materiału, jakim jest drzewo dębowe lub orzechowe.

Wiadomo, że od najdawniejszych czasów rzeźby drewniane miały jaknajszersze w utworach sztuki zastosowanie. Nietylko kościoły zawierają niezliczone z tego materiału wyroby, ale zdobiono też niemi gmachy publiczne i pałace; świadczą o tém rzeźbione stropy, ściany boazeryami pokryte, karyatydy, monumentalne kominy i inne ozdoby, które podziwiamy we wspaniałych ratuszach Holandyi i Belgii, jak również w wielu starożytnych zamkach całej zachodniej i środkowej Europy.

Najokazalsze rozmiarami dzieła snycerskie, składające się nie tylko z pojedynczych posągów ale nawet z grup kolosalnej wielkości, zwykle odnoszących się do dziejów rodzinnych pana zamku, a niekiedy do wypadków historycznych, stawiano w przedsionkach, które w tym celu bywały dwupiętrowe, nieraz wysokimi pokryte kopułami. Jedne tego rodzaju dzieła snycerskie stanowiły ozdobę dwurzędowych schodów prowadzących do paradnych komnat pierwszego piętra; inne zaś stawiano w przedsionkach, lub na środku poświęconego na ten cel przybytku.

Takie niewątpliwie było przeznaczenie drewnianego pomnika Jana Sobieskiego, który że nie miał być wykonany w marmurze lub spiżu, świadczy okoliczność, że Piotr Vaneau był wyłącznie snycerzem: wszystkie bowiem jego dzieła znajdujące się w Velay i Auvernii, są według pana Vachon drewniane. Twierdzenie autora francuzkiego, że Vaneau wysłał do Polski swój projekt pomnika, a z nim jednego ze swych uczniów, który miał to dzieło wykonać z marmuru, na niczem nie jest oparte i na wiarę nie zasługuje, podobnie jak i przypuszczenie, że pomnik został napowrót z Polski odwieziony do Francyi. Pominąwszy bowiem trudności jakie w owych czasach powodowały tego rodzaju transporty, trudno przypuścić, aby nie pozostało u nas żadnego podania lub piśmiennego świadectwa o tak niezwykłym wypadku.

Zgadzam się z panem Vachon, że szwagier Maryi Kazimiery margrabia Franciszek de Bethune, który sam będąc znawcą sztuki, przyczynił się w czasie swego długiego na dworze polskim pobytu, do rozwinięcia w Sobieskim uczucia piękna, mógł rozpowiadać o talencie nadwornego snycerza swego brata biskupa Puy, co mogło skłonić kró-



la lub jego małżonkę, do zamówienia u Piotra Vaneau pomnika, mającego przedstawić jeden z najświetniejszych czynów wojennych tego monarchy. Że Vaneau nie był sprowadzony do Polski, mamy dowód w tém, że przedstawił rycerzy polskich z brodami, których naówczas przodkowie nasi nie nosili: do wiernego zaś przedstawienia oblicza króla, mogły mu posłużyć liczne medale i ryciny przedstawiające Sobieskiego, które rozpowszechnione były w całej Europie.

Pozostanie tego dzieła we Francji daje się wytkómaczyć nie tylko śmiercią artysty przed wykończeniem części architektonicznych pomnika, ale i zniechęceniem, jakie w ostatnich latach życia, skutkiem doznanych zawodów i zgryzot domowych o władnęto Sobieskim, później jego śmiercią i rozproszeniem się rodziny królewskiej <sup>1)</sup>.

Że Sobiescy wiedzieli o istnieniu i wartości tego pomnika, mamy dowód w tém, że najpiękniejsze płaskorzeźby zakupione zostały przez jednego z członków rodziny książąt de Buillon, prawdopodobnie przez wnuczkę Jana III Maryą Elżbietę, małżonkę Karola Godfreda de la Tour d'Auvergne, (syna księcia de Bouillon); dopiero przed dwudziestu kilku laty nabył je po tej rodzinie ś. p. hr. Ksawery Branicki i umieścił w swoim zamku Montresor w okolicach Tours.

Przechodzę do opisu posągów, którym p. Vachon zbyt krótką poświęcił wzmiankę.

*Posąg Jana III.* Sobieski w wieńcu laurowym na głowie, ubrany jest po rzymsku. Ramiona jego pokrywa płaszcz podbity futrem, którego fałdy przytrzymuje lewą ręką na boku wspartą, prawą zaś dzierży buławę naczelnego wodza wojsk sprzymierzonych <sup>2)</sup>. Klamra u płaszczu spina zarazem bogaty, kamieniami wysadzany naszyjnik. Na jego szerokiej piersi pokrytej pancerzem, widać wstęgę orderu ś. Ducha; krótka naszywana tunika i lwiami głowami zdobne sandały, dopełniają ubioru. Twarz jego pysznie modelowana i odznaczająca się podobieństwem, jak również cała postać tchnąca siłą, pewnością siebie i spokojem, doskonale oddaje bohaterki charakter monarchy.

*Posągi niewolników.* Są one uosobieniem narodów, z których się składały zastępy Kara-Mustafy. Najwięcej uderza oko patrzącego postać Turka o dzikim wyrazie twarzy, który zerwawszy z lewej ręki okowy, prawą wznosi je groźnie w górę, jakby chciał niemi ugodzić wroga; nie mogąc się jednak z więzów uwolnić z wściekłością depcze własny turban. Tę postaci dzikiego barbarzyńcy odpowiada atletycznej budowy niewolnik, który z poddaniem się, dźwiga krepujące go

<sup>1)</sup> W tém miejscu warto przypomnieć, że posąg Sobieskiego stojący w Łazienkach, był jeszcze za życia tego monarchy rozpoczęty, następnie zaniedbany, pozostał w tym stanie aż do czasu, w którym Stanisław August kazał go z Szydłowca sprowadzić i wykończyć. Okoliczność ta stwierdzająca zobojętnienie jakiemu uległ Sobieski, zdaje się najlepiej objaśniać, dlaczego pomnik Vaneau zamówiony u tego artysty w szczęśliwych chwilach panowania, później takiegoż samego doznał losu.

<sup>2)</sup> Część téj buławy jest utracona.

okowy. Dwie następne figury, klasyczną pięknnością bardzo różniące się od pierwszych, wyobrażają ludy chrześcijańskie, które zmuszone były przez Turków walczyć przeciw swym współwyznawcom. Myśl tę wymownie wyraża, przypominający Laokona, niewolnik, który wznosi ocy do nieba błagając miłosierdzia.

Nie mniej duchowego wyrazu posiada postać z głową podniesioną, w której artysta chciał, jak się zdaje, uosobić jęczącego w jarzmie tureckim Greka. Wszystkich tych piękności, świadczących o wysokim polocie wyobraźni artysty i duchowym nastroju każdej jego kreacji, nie dostrzegł p. Vachon, który upatrzył sobie w tych figurach Rosyanina i Węgra, gdy, jak wiadomo, Sobieski żadnych wojen z Rosyją nie prowadził, przeciwnie, zawarł z tém państwem pamiętny pokój Grzymułtowski. Nie był téż wrogiem Węgrów i podczas kampanii wiedeńskiej starał się z nimi porozumieć.

Nie będę się rozszerzać nad pięknnością płaskorzeźb, których obszerny opis dał p. Vachon.

Z pełnych, bujnej fantazyi kompozycyi, zdobiących piedestał pomnika, widzimy, że Vaneau celował także w ornamentyce. Obok tych zalet nie można pominąć tego misternego wykończenia, które we wszystkich szczegółach spotykamy. Co do medalionu, umieszczonego pod medalionem Sobieskiego, w którym p. Vachon upatruje księcia de Soisson, późniejszego księcia Eugéniusza, zrobię uwagę, że gdyby artysta chciał wyjątkowo odznaczyć jednego z książąt, biorących udział w téj rozprawie, umieściłby księcia lotaryńskiego lub Maksymiliana bawarskiego, przyszłego zięcia króla Jana, których popiersia znajdują się na współczesnych bitych w Niemczech medalach, na pamiątkę bitwy pod Wiedniem, nie zaś księcia de Soisson, o którym w téj epoce milczy historia.

Z całego pomnika widzimy, że był on wyłącznie poświęcony Janowi Sobieskiemu, który chcąc się swoją sławą wojenną z ukochanym synem podzielić, kazał artyście pod własnem popiersiem umieścić wizerunek królewicza, jakby chciał jego prawa do następstwa po nim przypomnieć narodowi. Nadmieniam, że przy porównaniu wspomnianego medalionu, ze znaną ryciną rodziny Sobieskich, sztychowaną przez Henryka Fariat i ofiarowaną kardynałowi de Forbin-Janson, znalazłem w twarzy, uzbrojeniu, aż do laski, którą młodzieniec trzyma w rękę, zupełne z portretem królewicza Jakóba podobieństwo. Miejmy nadzieję, że ten pomnik Sobieskiego, tak niespodziewanie odkryty w chwili zbliżającego się jubileuszowego obchodu wiedeńskiego zwycięstwa, niebawem właściwie otrzyma przeznaczenie. Tę nadzieję umacnia w nas wiadomość o zamierzonym przez księżnę Zuzannę Czar-toryską zebraniu w jedno miejsce rozproszonych części tego utworu. Jeżeli piękna myśl księżny przyjdzie do skutku, wtedy można będzie zdjąć kopie z posągów i płaskorzeźb, co przy użyciu galwanoplastyki nie wymagałoby zbyt wielkiego nakładu. Na architektoniczną zaś część pomnika, najwłaściwsze byłoby użycie porfiru, którego piękne

gatunki u nas się znajdują. Kraków, który witał w swych murach powracającego z tyłu zwyczajkich wypraw króla Jana, byłby najwłaściwszym miejscem dla téj pamiątki, będącej czynem sprawiedliwości względem męża, którego współcześni ocenić nie umieli.

W związku, z rzuconym tu projektem, będzie podanie opisu nieznanego a pięknego modelu pomnika Sobieskiego, znajdującego się w gabinecie gipsów w Warszawie, który zasługuje także, aby był wydobyty z zapomnienia.

Model ten, odlany z gipsu i wybornie zachowany, około 1 metra wysoki, pochodzi z czasów Stanisława Augusta. Wiadomo, że król ten, z powodu przypadającej w r. 1683 pierwszej rocznicy oswobodzenia Wiednia, postanowił uczcić pomnikiem pamięć wielkiego swego poprzednika. Wezwani w tym celu artyści, przedstawili Poniatowskiemu swoje pomysły, z których pierwszeństwo otrzymał zaprojektowany przez nadwornego rzeźbiarza Lebruna posąg konny Jana III, który w kilka lat później wykonany został przez Franciszka Pinka i z wielką uroczystością inaugurowany w Łazienkach królewskich 1788 r. Otóż jest rzeczą niewątpliwą, że model, o którym mówię, był także naówczas królowi przedstawiony, ale z niewiadomych przyczyn przyjęty nie został.

Ogólny pomysł tego modelu przypomina dzieło Piotra Vaneau. Jak w tém ostatniém Sobieski przedstawiony jest w stojącej postawie, poniżej czterech okutych niewolników, wszakże w szczegółach znaczne między temi dwoma artystycznymi dziełami zachodzą różnice. Kiedy rzeźbiarz francuzki pokrył cały monument płaskorzeźbą, w której rozwinął bogactwo swój twórczej wyobraźni, to artysta Stanisławowskiéj epoki użył płaskorzeźby tylko do piedestału, podstawę zaś, ozdobioną na stronie głównej herbem państwa, a po bokach armaturą, przeznaczył na umieszczenie odpowiednich napisów. Płaskorzeźby, będące na ścianach bocznych piedestału, w głównych zarysach przedstawiają Jana III na tronie, przyjmującego poselstwo austryackie i bitwę pod Wiedniem; z frontu: wjazd tryumfalny Sobieskiego, ze strony odwrotnéj: spotkanie się króla z cesarzem Leopoldem. Orły i wieńce, zdobiące gzems, przypominają ornamentykę kolumny Zygmunta III w Warszawie. Na czterech rogach podstawy, siedzący więźniowie, chociaż niemają tego potężnego wyrazu, jakim się odznaczają niewolnicy z pomnika Vaneau, są jednak dobrze modelowani, pozy ich są naturalne, i nie zdają się być naśladowaniem antyków. Sobieski ubrany jest po rzymsku, u stóp jego leży sztandar i lwia skóra: godło męż-twa. Posąg ten zbyt teatralnie upozowany, nie wytrzymuje żadnego porównania z majestatyczną postacią króla Jana przez Vaneau; pamiętać wszakże należy, że powyższy model jest tylko szkicem, może więc artysta, który w ogólnym planie i w figurach niewolników, dał dowody talentu, byłby przy wykonaniu pomnika zmienił pozę głównej postaci.

Kto jest twórcą tego projektu, z pewnością nie wiadomo; że jednak prawie wszystkie z czasów Stanisławowskich posągi, zdobiące niegdyś zamek królewski, jakoteż znajdujące się dotąd w Łazienkach, wykonane były przez Lebruna, twórcę konnego posągu Sobieskiego, lub przez Jakóba Monaldeo, dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, ztąd wnosić należy, że i powyższy model jednego z nich jest dziełem. Sądząc z manieri, przypisałbym go Lebrunowi, który najwięcej posągów i biustów dla Stanisława Augusta wykonał, o czém przekonywają nietylko wspomniane statuy w Łazienkach (z których odznaczają się pięknnością Satyr i Bachantka), ale i szereg popiersi, znajdujących się w gabinecie gipsów w Warszawie. Byłoby do życzenia, aby powyższy model, odznaczający się pięknnością pomysłu, mógł być umieszczony na wstawie zabytków z epoki Sobieskiego, mającej się odbyć w Krakowie.

Wrcając do wyrażonej poprzednio myśli wzniesienia w tém mieście pomnika, na cześć króla Jana, zrobię jeszcze następującą uwagę.

Do pierwszych warunków, jakie posiadać winien pomnik, mający stanąć na placu publicznym, zaliczamy piękność architektonicznych linii przy umiarkowaném użyciu ornamentyki, w której prostota winna się łączyć z różnaitością. Otóż, pomimo artystycznej wartości posągów i płaskorzeźb Piotra Vaneau, przyznać trzeba, że ogólny pomysł jego utworu wspomnianym warunkom nie odpowiada, z powodu, że pomnik ten (jak starałem się dowieść) miał stanąć nie na placu, lecz wewnątrz gmachu. Jeżeli pokrycie całego pomnika płaskorzeźbą zadawalnia w kościele lub pałacu, gdzie dzieło sztuki może być tylko zbliżka widziane; inaczéj rzecz się ma z pomnikiem, przeznaczonym do postawienia w miejscu otwartém, w którymto razie cały efekt misternie wykończonych płaskorzeźb jest stracony. Z uwagi przeto, że przeciążenie ozdobami projektowanego pomnika, nie sprawiłoby wcale pożądanego wrażenia, jestem zdania, iż należałoby, zachowując w ornamentyce styl XVII wieku, zbliżyć się, o ile możności, do pięknego modelu Stanisławowskiej epoki, przy zastosowaniu do niego posągów i czterech najpiękniejszych płaskorzeźb Piotra Vaneau.

Wydając jednocześnie album, obejmujące w fototypach reprodukcją wszystkich posągów i płaskorzeźb z pomnika Sobieskiego przez Vaneau, oraz model Stanisławowski, rzecz tę oddaję pod opinią artystów i znawców, którzyby do utworzenia właściwego projektu powołani zostali, kończąc życzeniem: aby uroczystościom w dniu dwuwiekowej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem, towarzyszyć mogło odkrycie pomnika Sobieskiego, według wzoru przed dwoma wiekami wykonanego.

Pomnik ten przed Sukiennicami postawiony, łącząc idealnie wielkie czyny dwóch epok, byłby dla starożytnego grodu Krakusa, ozdobionego już tylu pomnikami sławy naszych dziejów, nie najpośledniejszym klejnotem.

d. 18 sierpnia 1880 r.

# WYSTAWA KONI

w Warszawie, w czerwcu roku bieżącego.

PRZEZ

*Stanisława Rewieńskiego.*

Dwie jednocześnie odbywające się wystawy, tak różne treścią, przedmiotem i celem, nastęrczyły jednak sporo uwag; a wyprowadzone z nich wnioski dozwalają zgromadzić pewne dane, z których można utworzyć między obydwoima temi polami popisu niejaki porównanie. Z jednej strony widzieliśmy wielki przemysł, kierowany biegłą ręką koryfuszów, przeważnie niemieckiego lub semickiego pochodzenia, jak się obszernie rozsiadł i bujne puścił korzenie na gościnnęj naszej ziemi; a wzięwszy do pomocy wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki, setkami wysmukłych kominów wystrzelił ponad dachy naszych fabrycznych miasteczek, zaprzął do swego użytku siłę pary, tysiące warsztatów w ruch puścił, miasteczka zaludnił obcą napływową ludnością, tak że w nich już nie zawsze własną mową rozmówić się możemy, a wsparty pracą, oszczędnością i rozumnie użytym kredytem, nietylko stworzył olbrzymie kapitały, ale dał zachętę rozwojowi krajowego przemysłu. Wystawa przemysłu tkackiego w pałacu Brühlowskim, przekonała nas, że po zagraniczny towar nie koniecznie potrzebujemy jeździć zagranicę, lecz że moglibyśmy go dostać w Łodzi, Zgierzu, Ozorkowie, Pabianicach i t. d., gdyby nas panowie kupcy i składnicy nie uprzedzili i mniemaną opłatą cła i to w złocie, nie podnieśli ceny towaru a zysków swoich w ten sposób nie powiększyli.

Gdy tak sale pałacu Brühlowskiego ściągały liczną publiczność ciekawie przypatrującą się wystawianym okazom, noszącym przeważnie godła firm cudzoziemskiego pochodzenia, równocześnie połowa obszernego placu Ujazdowskiego pokryła się naprędce wzniesionemi, lecz gustownie urządzonemi drewnianemi budowlami, mającemi służyć drugiej wystawie, na której znowu w liczném gronie wystawców, spotykamy przeważnie swoje imiona.

Interes, jaki w publiczności wystawa koni budziła, uwydatniał się bardzo wyraźnie: ciekawych widzów już nie na setki, lecz na dziesiątki tysięcy liczyć można było, zwłaszcza przy sprzyjającej pogodzie. Każdy ze stałych lub czasowych mieszkańców naszego miasta, nawet żadnego o chowie koni nie mający wyobrażenia, przychodził z uczuciem ciekawości, odchodził z zadowoleniem. A jednak jeśli postawimy sobie pytanie, czy miniona wystawa koni może nam dać miarę o stanie tej hodowli u nas, jako jednej z ważnych gałęzi przemysłu rolniczego, odpowiedź wypadnie stanowczo przecząca. Widzieliśmy dużo bardzo pięknych okazów, ale przytém wynieśliśmy z wystawy przekonanie, iż hodowla koni obecnie u nas znajduje się jeszcze w tém stadyum swego rozwoju, w którym mozolnie szuka dróg właściwych, aby po nich krocząc dopiero w przyszłości, mniej lub więcej odległej, dojść mogła do znaczenia ekonomicznego, jako jednego ze źródeł dobrobytu i bogactwa kraju.

Przedewszystkiém uderzała nas na wystawie bardzo szczupła liczba okazów koni roboczych; o nielicznych okazach kwalifikujących się do tego działu, wspomniemy na właściwem miejscu. Nateraz zaznaczyć tylko musimy zupełny brak wystawców z liczby drobnych właścicieli ziemskich, to jest włościan, którzy przecież, chociaż stadnin hodować nie mogą, stanowią najlichnieszą klasę hodowców, mogących przedstawiać produkta swoje chociażby w pojedynczych tylko okazach. Im większą byłaby liczba podobnych wystawców, tém pewniej wróżyłoby można o stanie obecnym hodowli i o nadziejach przyszłości. Lecz to powstrzymywanie się drobnych właścicieli ziemskich od przyjmowania udziału w wystawie ma uzasadnioną przyczynę: sprowadzenie konia do Warszawy i utrzymanie go w mieście podczas trwania wystawy, wreszcie oderwanie od roli i domu robotnika w czasie najpilniejszych robót około roli, zbyt drogo gospodarza kosztują, aby mógł zgodzić się na ponoszenie takich wydatków, jedynie dla wątpliwój nadziei pozyskania honorowej nagrody, lub w najlepszym nawet razie pewnego wynagrodzenia pieniężnego, nie będącego jednak w odpowiednim stosunku do poniesionych kosztów.

Względy te, którym słuszności odmówić nie można, były głównym powodem, dla którego większość drobnych posiadaczy ziemi wstrzymała się od uczestniczenia w wystawie, a nawet znaczna część średnich i większych właścicieli ziemskich, po zrobieniu poprzednio rachunku biorącego w uwagę wszelkie materyalne i niematerialne zyski i straty, uważała za stosowne produkta swój hodowli pozostawić w domu.

Nie brakło wszakże hodowców, którzy uwzględniając cel i znaczenie obecnej wystawy, nie cofnęli się przed materyalnemi ofiarami, aby tylko złożyć dowód, iż tradycyjne nasze zamiłowanie konia i jego hodowli, nie wygasło dotąd pomiędzy nami. Jakkolwiek, sądząc z przedstawionych okazów, nie mogliśmy dojść do przekonania, aby otrzymane już rezultaty zdolne były usprawiedliwić starodawne nasze przysto-

wie o kłacze, pszczołce i pszenicy, niemniej przeto czujemy się w obowiązku wyrzec, iż starania w celu podniesienia hodowli koni w kraju są widoczne i że ludzie którym fortuna darów swoich nie poskąpiła, usilnie się krzątają około wprowadzenia téj hodowli na właściwe tory, to jest o nadanie jéj charakteru ekonomicznego, jako jednéj z intratnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

Na pierwszém miejscu postawić tu musimy stadninę Ludwika hr. Krasieńskiego: możny właściciel nie szczędzi starań i kosztów w celu wynalezienia właściwej drogi, któraby stać się mogła wskazówką dla krajowej hodowli. Na pierwszy rzut oka, stadnina ta zdaje się być pozbawioną pewnego stale określonego planu w jéj prowadzeniu; widzimy tu bowiem równolegle prowadzoną hodowlę kilku, jeżeli nie kilkunastu ras oddzielnych i produkta z rozmaitego ich krzyżowania powstałe. Stadnina ta hoduje konie angielskie pełnej krwi, szlachetne konie czystej krwi arabskiej, ciężkie, olbrzymiej budowy i siły pociągowe suffolki, kuce korsykańskie i t. d. i t. d. O pierwszych nie powiedzieć nie możemy, bośmy ich na wystawie nie widzieli; właściciel bowiem uznał za stosowne odpowiednie osobniki zaprodukować tylko na wyścigowym torze. O tém zaś, aby koń biegający w wyścigu, był razem jako okaz przedstawiony na wystawie, ani mowy być nie może. Ścisłe międzynarodowe przepisy, rządzące najdrobniejszymi szczegółami wyścigów, wymagają po zapisanym do biegu koniu, pewnego przygotowania, będącego rezultatem właściwej diety i systematycznie przeprowadzanych gimnastycznych ćwiczeń, które sprawiają iż koń taki, znajdujący się podług technicznego wyrażenia „w kondycji,” przedstawia się nam jako biegun; lecz w popularném znaczeniu konia przeznaczonego na wystawę, niemógłby pozyskać ogólnego znaczenia. Jakkolwiek konie pełnej krwi hr. L. Krasieńskiego, nie zastępnęły dotąd jako pierwszorządne bieguny i produktom innych znakomitych w kraju stadnin ustąpić musiały pierwszeństwa, niemniej przeto posiadają niezaprzeczoną wysoką wartość rozplodową, jak o tém świadczą niektóre znane nam okazy; między innymi gniady hunter, w którym cała publiczność warszawska na wyścigach przed kilku laty na polu mokotowskiém odbytych, mogła podziwiać potężną budowę, stalowe muskuły i ścięgna i ową piorunową, że tak powiemy, energią i siłą w skoku, czyniącą z angielskiego pół-krwia konia, niezrównany ideał wierzchowca, w jedynie racjonalnej, polowej jeździe.

Jedna z pierwszorządnych stadnin w kraju, hodująca konie pełnej krwi angielskiej, mianowicie pana Ludwika Grabowskiego z Sernik, przedstawioną była na wystawie przez trzy tylko okazy; ale niewielka ta liczba dostateczną była do wykazania wysokich zalet téj stadniny, z gruntowną znajomością rzeczy i z wielkiém powodzeniem prowadzonej. Widzieliśmy tu dwa reproduktory: jednego jasno kasztanowatego, nazwiskiem *Grand Daniel*, drugiego gniadego *Dark Blue*, przedstawiające typy tego wszystkiego, czego pod względem budowy i cech rasy właściwych od reproduktora żądać można. Trzecim z ko-

lei był ogier brudno kasztanowaty pół-krwi *Burzan*, łączący w sobie wszystkie zalety doskonale zbudowanego wierzchowego konia i znakomitego reproduktora, w celu wychowu koni służących do powszechnego użytku. Zarzut mu uczyniony przez jednego z najznakomitszych naszych sportsmenów i jeźdźców, pod względem niezupełnie prawidłowego ustawienia nóg przednich w pęcinach, wydaje się nam przesadzonym i skierowanym do tego jedynie, aby wykazać że „i na słońcu są plamy.”

Słowem, te trzy okazy reprezentujące na wystawie głośną w kraju stadninę p. L. Grabowskiego, były najzupełniej godne ustalonej jej sławy. Żałujemy iż właściciel drugiej stadniny hodujący konie pełnej krwi, p. Władysław Mysyrowicz z Łosia, nie nadesłał na wystawę. Konie bowiem jego, niejednokrotnie rywalizujące dość szczęśliwie z końmi pana Grabowskiego na wyścigach w Warszawie, w Wilnie w Carskiem-Siele i w Moskwie, odznaczają się dobrą budową, a jeśli ustępują wyżej wymienionym w szybkości, to niemniej dają dowody wielkiej siły i wytrwałości: zalety, które zdaniem naszym, w zupełności równoważą, a nawet przewyższają przymiot bezwzględnej szybkości. Ubieganie się o tę ostatnią zaletę z pominięciem lub pozostawieniem innych na drugim planie, było powodem w nowszych już czasach, tak w Anglii, jak i na stałym lądzie Europy, zwichnienia właściwego kierunku konia pełnej krwi. Stawienie na torze wyścigowym koni zbyt młodych, bo źrebiąt zaledwie półtora roku mających i dwulatków, zmniejszanie stopniowe przestrzeni, która ma być przebieżoną i ciężaru, który koń przytęm dźwigać musi, jakby z jednej strony sprzyjało rozwinięciu w młodym koniu drażliwości systemu nerwowego i niesłychanej szybkości na krótkiej mecie, przy odpowiedniem od pierwszej młodości żywieniu i systematycznym trenowaniu; tak z drugiej ujemnie wpływało na siłę i wytrwałość konia. Tym sposobem wyścigi przestały być próbą dzielności i rzeczywistej wartości konia i stały się nie środkiem ale celem. W Anglii i we Francji liczne już dają się słyszeć głosy ostrzegające przed złemi skutkami tego fałszywego kierunku hodowli i niebezpieczeństwem narażenia owoców dwuwiekowych prac zabiegów i kosztów, na cofanie się wstecz, marnienie i degeneracyą. Obawy te zbyt są uzasadnione, aby je milczeniem zbyć można było. Jako skuteczny przeciwko złemu środek, podają niektórzy odświeżanie krwi przez użycie szlachetnych reproduktorów czystej krwi wschodniej, od których konie angielskie pełnej krwi pochodzą. I nam równie, jak i zachodniej Europie grozi toż samo niebezpieczeństwo, tylko że to co dla bogatej Anglii lub Francji będzie przemijającym kłopotem, na których zaradcze środki z pewnością się znajdują; dla nas ubogich i mniej rzemiosła hodowniczego świadomych, stać się może kłęską nie do powetowania. Panujące u ogółu wyobrażenia o dzielności konia wschodniego, mianowicie arabskiego, tradycyjne upodobanie w wierzchowcu tego pochodzenia, każe nam nieraz zamykać oczy na nieprzewyciężone prawie trudności w sprowadzaniu oryginalnych re-



produktorów czystej krwi arabskiej i powoduje nieuzasadnione sądy o wyższości tej rasy nad angielską, bez względu na duch czasu i potrzeby obecnej chwili. Kto nie wie, niech przeczyta jakie to trudności przewycięzać musieli wysłańcy księcia Sanguszki (patrz *Encyklopedia rolnictwa*, t. III, str. 665 i nast.), lub wyprawa hr. Juliusza Dzieduszyckiego po konie do Arabii.

Gdy więc tak zwane odświeżanie krwi za pomocą reproduktorów czystej krwi wschodniej, tak wielkie przedstawia trudności, iż tylko dla bardzo zamożnych ludzi, mogących wydawać znaczne sumy gwoli upodobaniu, staje się dostępnym, dla osób zaś średniej zamożności jest zupełnie niemożliwym, a nawet dla zarządów zawiązywanych w tym celu stowarzyszeń, zmuszonych ściśle się liczyć z powierzonymi im zbiorowymi funduszami, stanowi operacją ryzykowną i niebezpieczną: wypadnie więc poszukać innej drogi. Niebezpieczeństwo to degeneracji angielskiej rasy koni krwi pełnej, dobitnie wyraził hr. Ludwik Krasieński w pracy swej, w formie listu, w języku francuzkim wydanj. Żałujemy, iż w tej chwili dokładniej broszury tej przytoczyć nie możemy, nie mając jej pod ręką. Następnie p. Antoni Mokronowski w broszurze swojej zwrócił uwagę na konie angielskie, „roadsterami” zwane, których więzła i silna budowa, wolna od wad, spowodowanych jednostronnością w hodowli koni pełnej krwi, czyni je materiałem najprzydatniejszym na konie powozowe, czyli kareciane i wierzchowe. Konie tej rasy, przedstawione na wystawie, pochodziły ze stadniny hr. Tomasza Ordynata Zamoyskiego w Michałowie, po ogierze Silverthorn; tegoż pochodzenia był dwuletni kasztanowaty ogier „Milord” p. Kazimierza Piotrowskiego z Krupego (w Lubelskiem) i wzrostem swym, jako też budową, usprawiedliwiał zupełnie przypisywane tej rasie zalety. Zda się, iż się nie pomylimy, sądząc, iż w tej rasie, wytworzonej w Anglii pod wpływem obaw, jakie obecny kierunek hodowli koni krwi pełnej wywołał, znajdziemy właściwy typ reproduktorów, mających podnieść chów koni w kraju.

Któż u nas pozostanie obojętnym na widok pięknego szlachetnej rasy konia? kogoż nie zachwyci dzielny wierzchowiec? Lecz koń służyć nam ma do tak rozlicznych użytków, iż trzymając się zasady znakomitego naszego ekonomisty: „użyteczne przed przyjemnym,” zadowolenie to odłożyć musimy na później, a przyjrzyć się koniom hodowanym w celach ekonomicznych, dla ciągnięcia zysków z tej gałęzi gospodarstwa. Z hodowców systematycznie w tym kierunku stadninę prowadzących, odznacza się p. Antoni Bobrowski ze Snopkowa (w Lubelskiem); celem jego jest produkowanie koni powozowych i wierzchowych dużego wzrostu, mogących znaleźć zbyt na handel zagraniczny i zaspakajając potrzeby armii. Dla poprawienia rasy w tym kierunku, używa stale reproduktorów pełnej krwi angielskiej; z tych jeden „Glück-auf,” urodzony w Anglii, dwa zaś drugie: „Atylla” i „Mirabeau,” w Sernikach, u p. Ludwika Grabowskiego. Tak więc stynna sernicka stadnina oddała już rzeczywiste usługi, zaopatrując stadninę w Snopkowie w dwa cel-

ne reproduktory, których potomstwo w systematycznym porządku ustawione, podzielone na sekcye podług wieku wystawionych okazów, imionami nawet swemi wskazuje reproduktora, od którego pochodzi. Dwa, trzy i czterolatki, kolejno w klatkach ustawione, noszą nazwiska zaczynające się od litery A, lub M, podług tego, jak który z dwu wyżej wymienionych reproduktorów dał im życie. Pomimo takiej systematyczności w hodowli i jasno wytkniętego celu hodowli, właściciel jednak stadniny w Snopkowie dotąd jeszcze znacznych zysków pieniężnych nie osiąga; lecz i na straty się nie uskarża, zwłaszcza, że przy pilnym dozorze, racjonalnie urządzonej stajni, okólnikach dla klaczy ze źrebiętami i dobrać pastwiskach, nie miewa w swój stadninie epizootycznych, lub enzootycznych chorób.

Obszerny dział koni zaprzężnych, to jest powozowych, pociągowych i roboczych, przedstawiał bardzo wiele okazów; pojedynczo zastanawiać się nad nimi nie będziemy, gdyż suche powtarzanie szczegółów katalogu na nicby się nie przydało, a wyczerpująca ocena każdego okazu zaprowadziłaby nas zadaleko i nużąc czytelnika powtarzaniem jednostajnych szczegółów, rozszerzyłaby nad miarę zakres niniejszej pracy, w której nam przedewszystkiem chodzi o przedstawienie ogólnego charakteru wystawy i jej znaczenia dla przyszłości krajowej hodowli. Pod względem koni zaprzężnych, to jest powozowych, lekkich powozowych, tak zwanych bryczkowych, pociągowych i roboczych, właściwie rolniczych, widzimy na wystawie najrozmaitsze krzyżowania. W jednej stadninie hr. Ludwika Krasińskiego znajdujemy potężne suffolki, perszerony, angielskie roadstery i normandy. W ogóle koń perszeroński już od lat kilkunastu stał się u nas przedmiotem szczególnego zamiłowania, jako dzielny koń, zdalny do szybkiego pociągu, w obsłudze omnibusów i dyliżansów pocztowych, jako też do obsługi artylerji.

Z perszeronami rzecz tak się ma, jak z winem szampańskiem: w handlu zjawiają się coraz nowe marki tego kosztownego, obrzędowego niejako napoju ludzi zamożnych, lub chcących za takich uchodzić; lecz niech kto powie, czy pił kiedy *prawdziwe* wino szampańskie? Podobnie niewielki okrąg we Francji, „le Perche” zwany, zawierający części departamentów Orne i Eure et Loire, nie byłby w stanie wychować tyle koni, ile się ich pod nazwą percheronów drogą handlu po Francji i znacznej części Europy rozchodzi. Wziętość, jakiej koń perszeroński w ojczyźnie swój używa, stała się przyczyną, iż pod tą nazwą rozpowszechniają się, drogą handlu, konie podobne do nich z kształtów i maści, lecz znacznie niższej wartości; mianowicie konie bretońskie, które zapewne z powodu miejscowych przyczyn, podlegają spadkowej ślepcie, objawiającej się dopiero w piątym lub szóstym roku życia <sup>1)</sup>. Rzeczywistość tego mieliśmy raz sposobność sprawdzić. W okolicy dobrze nam znanej, włościanin, posiadacz pół-włokowej zagrody, dochował się z własnej klaczy po ogierze, do sąsiedniego obywatela należącym

<sup>1)</sup> A. Biesiokierski: *Uwagi o koniach*. Warszawa, 1874, str. 27.

i uchodzącym za perszerona, jako przychowany po ogierze do stad rządowych należącym i na stacyą przystanym, młodego czteroletniego konia, którego wyprowadził na jarmark i nie wahał się żądać za niego 1000 rubli a ofiarowali mu 750: nie przyjął; po paru jednak latach koń mu oślepił i tenże los spotkał przychowek u owego obywatela. Prócz tego, gęstym włosem porośłe nogi perszeronów, każą przypuszczać iż w naszym klimacie konie te nie byłyby woine od chronicznej złośliwej gruady.

W ogóle nie sądzimy aby konie perszerońskie, lub uchodzące za takowe, mogły u nas stanowić dobry i pożądaný materiał ku poprawieniu wyrodzonych koni krajowych.

Widzieliśmy téż na wystawie produkta krzyżowania z rasą tyrolską u p. Stanisława Kronenberga z Wieńca, u p. Władysława Kronenberga z Szymanowa okazy pochodzące z krzyżowania z rasą pinzgauńską. Wszystko to stwierdza wyżej wypowiedziane nasze zdanie, iż hodowla nasza szuka dopiero dróg własnych; lecz dotąd jeszcze pewnego stałego kierunku nie obrała, oprócz nielicznych wyjątków.

Do takich wyjątków, oprócz tych o których wyżej była wzmianka, należy stadnina p. Emeryka Mańkowskiego z Borówki na Podolu (powiat Jampolski). Stadnina ta liczy 72 matki tak krajowej rasy jako téż poprawnej zapomocą ogierów, których znajduje się trzynaście. Właściciel postawił sobie zadanie ulepszenia budowy i powiększenia wzrostu matek stadnych, słusznie uważając iż tym tylko sposobem dojść można do wyrobienia odpowiedniego materiału, którego dalsze ulepszanie i uszlachetnianie zapomocą krwi pełnej będzie pracą wdzięczną i płodną w pomyślne rezultaty. Ku temu celowi użył ogierów meklemburskich a przedstawione przez niego na wystawie klacze robocze świadczą, iż droga przez niego wybrana jest właściwą. Zpomieędzy tych okazów, klacz jasno-kasztanowata stanowi typ bez zarzutu konia roboczego.

Czyniąc pobieżny przegląd całego tego szeregu produktów najrozmaitszych krzyżowań, szukamy niespokojnie czegoś własnego, swojego. Czyżbyśmy mieli skarłały szczep koni tak zwanych włósciańskich za jedyną, prawdziwie krajową rasę uważać? A i w takim nawet razie odmówilibyśmy jój musieli nazwy rasy, bo prócz małego wzrostu, słabój budowy, rozmaitych wad nóg i innych skutków nędznego żywienia i zawczesnego użycia do pracy, nie widzimy żadnych cech wspólnych, świadczących o zdolnościach przelewania zalet, lub wad stale na potomstwo. Konie te raczej stanowią znędzniaty zlepek przypadkowych krzyżowań ras najrozmaitszych, niż właściwą rasę. Doznalibyśmy uczucia prawdziwego smutku, wspominając na ogromne niegdyś bogactwo kraju pod względem hipicznym, kraju, w którym dotąd przechowuje się tradycya właściwej rasy koni, gdybyśmy zmuszeni byli wyznać sami przed sobą, że żadnej rasy nie posiadamy. Konie przedstawione przez ksiąząt Bohdana i Michała Ogińskich, dają nam na to pocieszającą odpowiedź.

Znaną jest powszechnie rasa koników żmudzkich; ich zgrabne kształty, zdrowe i silne nogi, zwięzła budowa, wielka wytrzymałość, siła, którejby się po nich nikt nie domyślał, obok żywego, lecz przytęp łagodnego temperamentu, wolnego od wszelkich narowów. Otóż książęta Ogińscy, oceniając nieporównane zalety tej rasy, nie szczędzą starań, aby ją utrzymać w zupełnej czystości i o ile można rozpowszechnić. Jedyny, wprawdzie bardzo poważny zarzut, jaki tym koniom zrobić można, jest ich wzrost zbyt drobny, który sprawia, iż konie te ani do powozu, ani pod siodło, dla mężczyzny średniego nawet wzrostu, z korzyścią użytymi być nie mogą. Chociaż bowiem z łatwością uciągną pierwszy, a pod ciężarem drugiego grzbiet ich się nie ugnie, zawsze jednak widok taki, pozbawiony wszelkiej harmonii, niemile razi oko, z tego też powodu i do służby wojskowej konie te nie są zdadne. Ujemna ta strona koni żmudzkich nie jest jednak łatwą do poprawienia; próbowane krzyżowanie z ogierami krwi pełnej wydało ujemne tylko rezultaty; wysokie zalety tej rasy, któreśmy wyżej wymienili, świadczą zarazem o żywotności jej krwi, przezco rasa żmudzka nie nadaje się wcale do ulepszenia przez krzyżowanie z pełną krwią angielską, która powszechnie uważaną bywa za uniwersalny czynnik w przedmiocie uszlachetnienia ras pospolitych; nie wiemy, jakieby rezultaty wydało krzyżowanie z czystą krwią wschodnią, arabską, lub szlachetną, tak zwaną złocistą, karabachską. W każdym razie nie mogłoby to wpłynąć na powiększenie wzrostu żmudzkich koni, gdyż i obie pomienione rasy odznaczają się wzrostem zbyt małym w stosunku do dzisiejszych wymagań. Jedyną więc, racjonalną drogą być może ulepszenie rasy samą w sobie, przez jaknajstaranniejszy dobór reproduktorów, obfite i silne żywienie młodzięży, przy zwracaniu szczególnej uwagi na rozwój szkieletu, tego najtrudniejszego zadania hodowli i przez systematyczną gimnastykę młodych indywiduów, stosowaną w miarę, lecz strzegąc się pilnie używania zbyt młodych zwierząt do ciężkiej i męczącej pracy. Postępując tym sposobem w ciągu kilku pokoleń, zdołamy otrzymać konie znacznie większego wzrostu. Pomiedzy końmi, przedstawionemi przez książąt Ogińskich, znajdował się jeden, którego wzrost znacznie większy, zdaje się potwierdzać to nasze zdanie. Praca to byłaby mozolna, bo musi być wytrwale i z wielką znajomością rzeczy prowadzoną, ale przytęp wdzięczna i warta poniesienia trudów i kosztów.

Taką była tegoroczna wystawa koni, której inicjatywę i urządzenie zawdzięczamy dyrekcji Towarzystwa wyścigów konnych. Za pośrednictwem wystawy, instytucja ta, istniejąca w kraju od lat blisko czterdziestu, jeśli się nie mylimy i w ciągu tego długiego okresu czasu stojąca na uboczu i nie zsolidaryzowana z ogółem hodowców i posiadaczy koni, zrobiła krok naprzód i dowiodła, iż mogłaby nakreślić sobie szerszy, niż dotychczasowy zakres działania.

Utarte wyrażenie, używane nieraz przez samychże hodowców, jako też w piśmie i w prasie: „stadnina koni wyścigowych” stanowi już

sama przez się krytykę działalności Towarzystwa. Czém właściwie powinny być wyścigi, w takiem pojęciu jak w Anglii, wtedy, gdy służyły jako środek przy wytworzeniu i ustaleniu rasy krwi pełnej? Próba dzielności i szybkości konia. Lecz konia hodujemy i utrzymujemy nie dla próby tylko, lecz dla rzeczywistego użytku. Cobyśmy np. powiedzieli o artyście dramatycznym, któryby odbywał tylko próby, lecz na właściwej scenie, przed zebraną publicznością, wcale nie występował? Podobnież i koń, który złożył dowody swojej dzielności, w wyścigu, a nie złożył jako reproduktor, uważanym być może za kosztowny a nieużyteczny ciężar, bo nawet nagrody przez niego na torze wyścigowym zdobyte, nie zawsze są w stanie zrównoważyć straty, kosztu, ryzyko i zawody przez właścicieli ponoszone. Ztąd, przy jawnie głoszonym celu instytucji wyścigów, występuje drugi, zupełnie innej natury, noszący wszystkie cechy gry hazardownej ze wszystkimi jej ujemnymi stronami. Chcemy tu mówić o manii zakładów, przeszczepionej na nasz grunt żywcem z Anglii, służącej za przynętę dla niedoświadczonych i lekkomyślnych, a dla wytrawnych i ciętych graczy będącej źródłem znacznych nieraz, lecz nie godzących się z zasadami moralności dochodów.

Ta jednostronność wyścigów była przyczyną, iż w publiczności wyrobiło się przekonanie, że one nie są niczém więcej, jak kosztowną, ryzykowną, lecz bezużyteczną zabawką. Lecz zdanie takie również jest jednostronne i całej kwestyi nie rozstrzyga.

Mieliśmy dawniej dużo dobrych koni w kraju, teraz ich mamy mało, a nawet coraz mniej, pomimo trzydziestoletniego istnienia Towarzystwa wyścigów, którego celem przecież miało być podniesienie hodowli koni w kraju. Dowód, że działalność Towarzystwa, w tym kierunku, w jakim się dotąd objawiała, nie była wystarczającą. Zrozumiała to dyrekcyja i urządziła wystawę, w celu poznania zasobów, jakie kraj w téj chwili pod względem hippicznym posiada, dróg, jakimi ogół hodowców postępuje w celu podźwignienia téj gałęzi przemysłu w kraju.

Prasa żywo się zajęła tą kwestyą i każdy prawie jéj organ wypowiedział swe zdanie w sprawie tak mocno ogół obchodzącej. Nie brakło nawet surowych krytyk tak co do samego urządzenia wystawy, jak i co do sposobu udzielania nagród za odznaczające się w każdym dziale okazy.

Ostatnią tę okoliczność pozostawimy zupełnie na stronie, odpowiedzialność za nią pada wyłącznie na komitet sędziów, który, udzielając nagrody lub ich odmawiając, wychodził z pewnej zasady nieznałej lub niedostępnej dla ogółu. Zresztą, rzeczą jest dowiedzioną, iż na każdej wystawie sposób, w jaki nagrody przyznawane i rozdzielane bywają, wywołuje zawsze w pewnych kółkach niezadowolenie.

Zawiedzione nadzieje, draśnięta miłość własna, podejrzenie o stronność i t. d., są to akcesorya nieodłączne od podobnego rodzaju popisów. Ale nie o tém tu mowa; korzystając z przywileju, słu-

żącego drukowanemu słowu, chcemy rzecz naszą zakończyć kilku uwagami nad sposobami, jakimi, bądź pojedyncze osoby, bądź stowarzyszenia w tym celu związane, przyczynić się mogą do podniesienia hodowli koni w kraju.

Zdanie, wypowiedziane przez znaczną większość hodowców, prowadzi do wniosku, iż ilość reproduktorów i stacyi ogierów w kraju, jest na potrzeby tegoż nie wystarczającą; potrzebie téj stado rządowe w Janowie, zadosyć uczynić nie może. Należałoby zatem się starać, zapomocą zbiorowych funduszków, drogę stowarzyszenia zwiększyć liczbę reproduktorów i stacyi ogierów, mając głównie na widoku miejscowość kraju, nadające się szczególnie do chowu koni, a więc obfitujące w dobre, nietorfiaste łąki i pastwiska.

Rozciągnąć ścisłą kontrolę nad stacjami i dostarczaniami na nie ogierami, jako téż nad przyprowadzaniami do ogierów klaczami, usuwając bezwarunkowo od stanowienia takie, które, bądź w skutek wadliwej budowy, bądź wad spadkowych, nie rokują nadziei wydania dobrego przyplódka.

Staranny dobór sztuk rozplodowych płci obojęd, należy mieć zawsze na pierwszym względzie. W celu zachęty, możnaby klacze, odznaczające się budową i zaletami, uwalniać od opłaty za stanowienie; tę zaś tak ustanowić, aby klacze, przedstawiające większe kwalifikacye na dobre matki stadne, opłacały mniej, niż takie, które pod tym względem pewne wątpliwości przedstawiają.

Urządzenie peryodycznych, co lat kilka dla danéj miejscowości, prowincjonalnych wystaw koni, o ile można jaknajtańszym kosztem, aby i drobni właściciele ziemscy, bez ponoszenia nieprodukcyjnych kosztów, korzystać z nich mogli. Konie krwi pełnej lub wysoko uszlachetnione, mogłyby w takich wystawach brać udział, lecz powinnyby być od konkursu wyłączone. Nagrody przeznaczać przeważnie pieniężne.

Chów koni, w porównaniu z innemi zwierzętami domowemi, przedstawia to dziwne zjawisko, iż lubo najwłaściwsze do téj hodowli miejscowości należą do takich, w których miejscowe warunki systemowi ekstenzywnemu gospodarstwa nakazują dać pierwszeństwo, to przecież sama hodowla musi być prowadzoną intensywnie, czyli że przy znacznym nakładowym i obrotowym kapitale, dochód brutto jest wprawdzie większy, lecz dochód netto mniejszy. Każdy więc hodowca na większą nieco skalę, powinien uwzględnić ten warunek ekonomiczny i dogodzeniem swemu upodobaniu zastąpić wyższe materyalne zyski, które w tym razie osiągnąćby się dały jedynie zapomocą innéj gałęzi gospodarstwa. Pomimo to jednak, właściciele ziemscy, drobni i średni, nawet w okolicach nie obfitujących w łąki i pastwiska, nie są zupełnie wyłączeni od współudziału w chowie koni. Każde gospodarstwo posiada w celu zaspokojenia swych potrzeb przy uprawie gruntów, zwózce z pola, wywozce nawozów, odstawie produktów i t. d. wię-

kszą lub mniejszą ilość koni. Dobre matki stadne w takich gospodarstwach, co drugi rok z doborowemi ogierami stacyjnemi odstanawiane, dostarczą źrebiąt, które po odessaniu się odsadzone i w inną okolicę, odpowiedniejszą dla chowu koni sprzedane, stanowić mogą pewną stałą rubrykę dochodu dla właściciela. Lecz i w tym razie instytucya, czuwająca nad podniesieniem hodowli koni w kraju, powinna rozciągnąć swą kontrolę nad tego rodzaju przychowkiem i handel nim regulować.

Naostatek, pożądaném byłoby założenie specjalnego organu, sprawom hippiki krajowej poświęconego, któryby szerzył pomiędzy publicznością zdrowe, na doświadczeniu i powadze nauki oparte zasady hodowli, obznajmiał interesowanych o nowych na tém polu odkryciach i doświadczeniach, stanowił arenę, na której mogłyby się ścierać przeciwne zdania, uwiadamiał o rezultatach wyścigów w kraju, w Cesarstwie i w ościennych prowincjach, podawał ceny na konie, na znaczniejszych jarmarkach, krytycznie oceniał nowe wynalazki pod względem osiodłania, uprzęży, sprzętów stajennych, środków leczniczych, okucia, żywienia, nowych surrogatów paszy, higieny ogólnej i t. d. <sup>1)</sup>.

Kreśląc powyższe sprawozdanie o wystawie koni, nie chodziło nam o drobiazgową dokładność w wyliczaniu przedstawionych okazów, z których niejedyn, pojedynczo wzięty, zasługiwałby na wyróżnienie; chcieliśmy tylko podzielić się z czytelnikami ogólném wrażeniem, jakie na nas wystawa zrobiła, i o ile cel, jaki w jój urządzeniu miano na względzie, został osiągnięty.

Obejmując ogół interesów krajowych, jakie się z każdym takim publicznym popisem pracy społecznej organicznie łączą, zwracamy uwagę na te zjawiska, które nie zreflektowane, mogłyby, przy naszej skłonności do naśladownictwa i sadzenia się nad stan, pod względem ekonomicznym i społecznym, szkodliwe przynieść owoce. Takie niebezpieczeństwo zdaje nam się kryć w przewadze momentów *cyrkowych*, które w tej wystawie trochę zajaskrawo przezierały. Były chwile, że patrząc na owe „dog carts” i „paniers à salade” w kosztownej uprzęży, zdawało ci się, jakobyś oddychał atmosferą cyrku Justynianowego, gdzie zastępy niebieskich i zielonych zapaśników wśród okrzyków nika! nika! (wyraz grecki zwyciężaj) w zawody z sobą pędziły. Brakło tylko trybuny cesarzowej Teodory, której aplauz korono-

<sup>1)</sup> Red. nie podziela co do tego punktu zdania sz. autora, ponieważ wszystkie kwestye, dotyczące hippiki, mogą być bardzo dobrze i wyczerpująco traktowane w pismach rolniczych, które się nie ostoja, jeżelibyśmy mieli dla każdej ważniejszej gałęzi gospodarstwa osobne tworzyć organa. Podobne postępowanie musiałoby koniecznie wpłynąć szkodliwie na jedno i drugie; o korzyściach zaś z konkurencyi wynikających nie można na tej arenie myśleć.

wał zapaśników trudy i nakłady. Patrząc, jak panowie automedonci wyręczają na koźle swoich Grzesiów i Janów, pojmujemy głąbokie zastrzeżenie Horacego:

„Sunt quos curriculo pulverem olimpiū collegisse juvat.”

Dziś jestto anachronizm i rzecz w skutkach szkodliwa.

Nie naganiamy wcale ozdobnego i mile wpadającego w oko urzędzenia wystawy, lecz widzieliśmy na niej bardzo wiele eleganckich, wytwornych, powiemy nawet zbytwnych zaprzęgów, których liczba na nasz kraj ubogi wydaje się nam zawielką. Widać, żeśmy dotąd jeszcze, pomimo surowej nauki każdego dnia powszedniego, niewiele z niej skorzystali.

Czyż miałyby ta wystawa otworzyć znowu jeden wielki kanał zbytku i marnotrawstwa, w którym mierniej fortuny obywatel, dla dorównania lub nawet przewyższenia ostentacyi pańskiej, topić będzie resztę ziemi przodków? Jestto droga bardzo ślizka i dla naszego temperamentu nadzwyczaj niebezpieczna.

W jednym ze sprawozdań o wystawie, drukowaném w bardzo pożytném piśmie, natrafiliśmy na zdanie, iż wystawa grzeszyła tēm, że konie stojące w klatkach, oglądać można było tylko z tyłu; że zatem powinna była tak być urządzoną, aby każdego konia widzieć można było z boku. Zarzut ten wydaje się nam zbytwnym; chcąc konia należycie ocenić, trzeba go widzieć nietylko z obu boków, ale z przodu i z tyłu, a takie urządzenie ze względu na warunki przestrzeni jest niepodobieństwem. Jestto tylko dostępném dla grona sędziów, którzy jako eksperci, muszą wyroki swoje ferować na zasadzie pewnych danych, ku czemu za podstawę służy dokładne i wszechstronne obejrzenie konia. Dla ogółu zwiedzającej wystawę publiczności, dostatecznym jest przeprowadzanie koni, które się podczas wystawy dość często codziennie pówtarzało, dając sposobność każdemu z widzów przypatrzenia się koniom podczas ruchu i porównywania ich pomiędzy sobą. Niejeden, spoglądając na karego „olbrzyma” hr. Krasieńskiego, przybranego w jaskrawy rzęd średniowieczny, dźwigającego na grzbiecie swym jeźdźca w stroju herolda, lub tēż na siwego ogiera w podobnym, lecz odmienniej barwy rzędzie, na którym siedział sokolnik z sokolem na pięści; albo na dwie szpakowate arabskie klacze pod jeźdźcami w beduińskie białe burnusy przybranymi, jako tēż na kare arabskie ogiery, których jeźdźcy nosili strój perski, czy tēż turecki, zrobił sobie w duchu zapytanie: co znaczą te średniowieczne przybory?

Gawiedź ciekawie się przypatrywała temu nowemu widowisku, którego prawdziwego znaczenia nie pojmowała, ponieważ brakło jēj bezpośredniego zestawienia rozlicznych pod tym względem typów. Uważny jednak spostrzegacz mógł sobie ten brak uzupełnić, szukając potrzebnego mu kontrastu w innych wzorach. Uderzające te różnice w rzędach, poczynając od średniowiecznych, okrywających całego konia i służyących nietylko ku jego ozdobie, lecz razem do unocowania na jego grzbiecie siodła, przeznaczonego do dźwigania ciężaru jeźdźca za-



kutego w żelazo, aż do dzisiejszych, ogólnie przez cywilizowane ludy przyjętych, mają pewne historyczne znaczenie, są świadectwem rozwijających się pojęć o wartości konia w epoce, gdzie służył więciej wojnie, niż potrzebom ekonomicznym i nie można ich kłaść w rzędzie cyrkowych maskarad.

Dzisiaj służy typ angielski głównie za wzór. Celem jego jest zapewnienie jeźdźcowi wygodnego siedzenia na koniu i łatwego nim powodowania, nie zakrywając przytém konia i uwydatniając jego kształty; gdy przeciwnie, ciężki koń bojowy średnich wieków nic na tém nie tracił, gdy mniej estetyczne jego kształty niknęły pod błyskotliwym i jaskrawym rzędem. Porównywając z sobą osiodłanie konia wschodnie, to jest arabskie, perskie, lub tureckie, czerkieskie, kozackie, wojskowe, wreszcie zwykłe angielskie, widzimy tu wszystkie różnice, jakie potrzeba i zwyczaje narodowe u rozmaitych ludów wywołały. Krytyczny przegląd rozmaitych metod siedzenia na koniu mógłby nam również sporo uwag nastreczyć, od których jednak wolimy się powstrzymać, nie chcąc wkraczać w granice specjalności nie dla wszystkich dostępnej, a dla wielu nie przedstawiającej interesu. Z przyjemnością jednak mogliśmy się przekonać, patrząc na dzielną jazdę p. Niemojewskiego, iż tradycya naszej szerokiej, śmiałej i dziarskiej jazdy jeszcze u nas nie wygasła zupełnie.

Słyszeliśmy, że tegoroczna wystawa ma się na przyszły rok powtórzyć; jeżeli ma ona być tylko kosztowną zabawką, uważalibyśmy ją za zbytęcną; lecz jeśli stanie się ona centralnym jarmarkiem na konie, niejako giełdą końską, regulującą handel końmi i wprowadzającą go na nowe, szlachetniejsze od dotychczasowych tory, śpieszymy wyrazić dla téj myśli całe nasze uznanie. Pragnęlibyśmy również widzieć więciej jawności w motywach, kierujących zdaniem sędziów w przyznawaniu nagród. W ogłoszonej bowiem drukiem liście widzimy rażące anomalie. Tak np.: *posiadacz*, czyli *nabywca*, dosyć bogaty, aby kupić dzielnego wierzchowca, otrzymuje *medal złoty*; naszym zdaniem, najwyższa ta nagroda słusznie się należała hodowcy. Pierwszorzędna stadnina za wytrwały i racjonalny kierunek w hodowli nagrodzoną zostaje *listem pochwalnym*, podczas, gdy inna, dążąca również po drodze postępu, otrzymuje oprócz listu pochwalnego jeszcze dwie wysokie pieniężne nagrody a dla podniesienia swojego kupuje reproduktora właśnie z przytoczonego powyżej stada. Właściciel ładnej, zwawej, szlachetnej rasy wierzchowej klaczki, nie odznaczającej się wszakże tak wybitnymi przymiotami, aby za typ matki stadnej służyć mogła, został wynagrodzony pieniężną nagrodą w wysokości 200 rs., podczas, gdy inny, przedstawiający ogiera wierzchowego, własnego chowu, który już złożył niezaprzeczone dowody dzielności, gdyż właściciel odbył na nim osobiście w przeciągu siedmnastu godzin, *ośnaście* mil drogi, otrzymał jako nagrodę, tylko medal brązowy. Podobnych anomalii należałoby na

przyszłych wystawach unikać, jako złe wrażenie na publiczności czyniących, gdyż ta zawsze jest skora do posądzeń o jakieś zakulisowe względy i predylekcyje.

Pragniemy z całego serca, aby przyszłe wystawy, wolne od usterek, któreśmy tutaj w imię powszechnego pożytku zaznaczyli, dały nam mniej świetnych, zbytkowych okazów, a więcej takich, z których wnosić można o szczęśliwym rozwoju hodowli w kierunku rzeczywistej użyteczności: tego kraj po hodowcach i wystawcach, jako obywatelach, ma prawo wymagać.

# PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Iris*. Dichterstimmen aus Polen von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Wilhelm Friedrich, 1880 r., 16-ka, str. 289. *Iris*. „Głosy poetów polskich,” przez Henryka Nitschmanna. Lipsk, 1880 r.

„Tłómaczyć potrzeba, to rzecz uznana; lecz czy przekład poezyi jest wogóle możliwym, wątpiłem o tém zawsze, i, zdaje się, z tém wątpiewaniem umrę. Coś zawsze uronioném być musi: barwa, dźwięk, właściwość jakaś: na to Bóg dał tyle języków, bo każdy z nich ma woń swoję, a narcyz nie przetłómaczy fiołka, ani róža może volkameryą przełożyć... Tak samo przekłady naszych ze krwi i kości poetów, dziłko, barbarzyńsko może, dziwnie zawsze brzmią w uszach niemiec-kich...”

Zaprzeczyć niepodobna, że opinia ta, (J. I. Kraszewskiego) mieści w sobie trafne spostrzeżenie, ale całkowiłą prawdą nie jest i być nie może.

Pomimo pewnych właściwości, przywiązanych do poetycznego języka każdego narodu i każdój literatury, istnieją przekłady utworów poetyckich, czyniące zadość nietylko warunkowi wierności, ale oddające nadto w języku obcym wszelkie subtelne odcienia właściwości czy-sto rodzimych przekładanego utworu. Zaleta ta pochodzić może jedynie od uzdolnienia tłómacza, od jego talentu i dokłádnego wnikiennia w ducha tej literatury, z jakiej przełożony utwór pochodzi.

Czyż np. przekład Byronowskiego *Giaura* może być nazwanym „różą” niezdolną do odtworzenia volkameryi? Czyż przekłady Odyńca Tiecka, Szlegla i Kaszewskiego; Paszkowskiego lub Ulrycha nie są wierném, dosłownie niemal dokłádném odtworzeniem niemieckiego lub angielskiego oryginału?

Zgodzi się na to każdy, że w przekładach poetyckich utworów nietylko zależy na warunku dosłownej wierności, która, częstokroć ani możliwą, ani pożądaną nawet być nie może, ile na dokłádném odtworzeniu r y t m u, o zachowanie w przekładzie owój muzyki i harmonii wiersza, jaka tkwi w utworze oryginalnym; a jeśli przekład oddaje tę właściwość i wywołuje w duszy czytelnika toż samo wrażenie, jakie sprawia oryginał, wówczas przekład staje się już nie mechaniczném

tłómaczeni, ale dziełem sztuki, przyswojeniem, w takim pojmowanym znaczeniu, w jakim np. pojmujemy wzorowe kopie arcydzieł malarstwa, odtwarzane przez utalentowanych artystów.

Jest jeden zwłaszcza rodzaj poezji, nieprzedstawiający dla zdolnego tłumacza zbyt wielkich w odtwarzaniu oryginału trudności. Jestto liryka. Utwory liryczne we wszystkich prawie literaturach noszą na sobie jeden i tenże sam charakter. Przedmiotem ich są ogólnie ludzkie uczucia miłości, tęsknoty, żalów i zachwyty serca ludzkiego, czerpane z głębi zawsze jednakięj człowieczęj natury. Hiszpan zarówno jak Szwed, Polak zarówno jak i Francuz w jednaki sposób opiewają żale zawiedzionego uczucia i tęsknotę za ideałem..

To nam właśnie tłumaczy przyczynę, dlaczego poeci liryczni wszystkich narodów łatwiej i częściej są przyswajani w przekładach na języki obce, aniżeli poeci epiczni i dlatego np. przykład *H o ł d u P r u s k i e g o*, *W o j n y C h o c i m s k i é j* lub też *P a n a T a d e u s z a* bardziej „dziko” brzmieć będzie w szacie niemieckiej, aniżeli *T r e n y* Kochanowskiego lub *S o n e t y* Mickiewicza. Tłumaczy to nam wreszcie przyczynę, dla której *I n t e r m e z z o* Heinego istnieje w przekładach wszystkich prawie literatur europejskich, gdy tymczasem na przykład *A t t a T r o l l* lub *D e u t s c h l a n d* Heinego rzadko kto dotychczas pokusić się zapragnął.

Książka p. t.: *I r i s*, którą mamy przed sobą, przykładowo zasadność powyższych uwag potwierdza. Nazwisko p. Henryka Nitschmana, jako zdolnego tłumacza, nie jest już obcym dla literatury polskiej. *B i b l i o t e k a W a r s z a w s k a* w zeszytce styczniowym 1877 r. podała już wyczerpujące sprawozdanie z innego zbioru przekładów Nitschmana, zaczerpniętych z naszej literatury p. t.: *D e r p o l n i s c h e P a r n a s s* (Brockhaus, Lipsk 1875 r.).

Zasłużeni niemieccy krytycy, znawcy i miłośnicy naszej poezji, nadają Nitschmanowi zaszczytną nazwę klasycznego przewodnika po bogatej niwie polskiej literatury; a przyznając tłumaczowi wysokie zalety poetyckiego smaku i znajomości ducha literatury polskiej, chwalą w nim wysokie poczucie harmonii, nadające wszystkim przekładom jego pióra, zwłaszcza lirycznym, niewypowiedziany urok.

Cztery wydania *P o l s k i e g o p a r n a s u* Nitschmana są dowodem, że czytająca publiczność niemiecka znalazła upodobanie w tej książce, a jeśli jęj popularność w znacznej części przypisać można zaletom przekładów tłumacza, piękności języka i mistrzowskiej ich formie, niemniej jednak bezprzykładne to, jak na wydawnicze stosunki niemieckie, powodzenie *p o l s k i e g o p a r n a s u* da się wytłumaczyć nowością motywów i bogactwem treści oryginału. Czytający i myślący niemiecki ogół, olśnionym został przepyszny kolorytem i obrazowością poezji polskiej. Nowe, nieznanne światy, otwarte zostały dla niemieckiego ducha, w owym szeregu arcydzieł, których

cząstkę, jakby cudowne perły, udało się Nitschmanowi wyłowić z głębin oceanu polskiej poezji. Dla nieuprzedzonego czytelnika nie będzie to zapewne wyrazem przesady lub nieznajomości rzeczy, jeśli powiemy, że od czasu, gdy poetyczna lira Heinego w Niemczech umilkła, gwarna niegdyś i harmonijna orkiestra poetów niemieckich przycichła i zubożała niepomiernie. Z wyjątkiem może Alberta Traegera, niema obecnie w literaturze niemieckiej poety, wyskakującego ponad zwykły poziom naśladowczych talentów. Stosuje się to nie tylko do poetów lirycznych, ale i dramatycznych, ci bowiem, których księgarze niemieccy, w wydawniczych celach klasycznym i poetami nazywają, na zaszczytne to miano wcale nie zasługują. Warto by bliżej zastanowić się nad przyczynami, które tak strasznie wyjąłowały grunt fantazji niemieckiej, niedawno jeszcze bujnym kwiatem porośły; pożądanaby może było rzeczą poznać okoliczności, które z owęj „promienistej (jak ją Mochnacki nazwał) ojczyzny ducha i myśli, z owego ogniska wszystkich entuzjasmów, wszystkich uczuć i zapałów, gdzie zdawało się, że bije serce Europy, gdzie poezja tak cudnie mędrkowała, a mądrość filozoficzna nieraz poetyckim przemawiała językiem; gdzie po ogłoszeniu jednego sentymentalnego romansu (Wertera Goethego), studenci z wielką czułością we łby sobie strzelać zaczęli, a po ogłoszeniu pierwszej tragedji ośmnastoletniego Szyllera po lasach jęj bohatera „Moor“ naśladowali; ciekawą, mówię, byłoby rzeczą poznać te okoliczności, które, po upływie kilkudziesięciu lat, uczyniły z tych poetycznych Niemiec ojczyznę koszar, fortec, iglicówek, stagnacyi ekonomicznej, szkodliwych waśni kościelno-politycznych, z usunięciem na plan uboczny wszelkich rojeń niedawniej epoki, noszącej w literaturze miano epoki „burz i zapędów“ (Sturm und Drang-Periode). Gdy jednak studjum takie wykroczyłoby poza zwykłe ramy literackiego sprawozdania z książki p. Nitschmana, przestać musimy, jak na teraz, na uwadze, że echa dziwnie dźwięcznej piosenki, wrócić uwagę myślącego ogółu Niemców, na skarby polskiej poetyckiej literatury, a dowodem tego uznania są nie tylko powtarzające się w krótkich stosunkowo odstępach czasu nakłady Polskiego parnasu, ale i wziętość nowego zbioru przekładów Nitschmana, ozdobionego tytułem gwiazdzistej Irydy. Siedmiu bowiem polskich poetów złożyło się na utworzenie tej „tęczy“ poezji polskiej, mianowicie: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Odyniec, Morawski, Pol i Bielowski.

Z Mickiewicza wybrał tłumacz: Świtez (Der Świtez), Świteziankę (Świtezmaid), Panią Twardowską (Frau Twardowska), Pierwiosnek (Das Schlüsselblümchen, Primulaveris), Żegluga (Seefahrt), Do... Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą... (Ich möchte das Band vom Golde

sein<sup>1)</sup>, Trzy Słowa (Drei Worte), Śmierć pułkownika (Der Tod des Obristen), Rozmowę (Das Gespräch) i Grażynę. Ze Słowackiego: Jana Bieleckiego i Ojca Zadżumionych (Der Vater der Pesterkranken in El Arish). Z Krasińskiego: Gdybym dziś... jutro... (Naht heute oder morgen mir die Stunde) wiersz wybrany z autografu Kroniki Rodzinnej r. 1873, nr. 21, Pożegnanie (Abschied) z Kroniki Rodz. z r. 1873, str. 175: Jak anioł spadły (Nun liegt es dem gefallenen Engel gleich) z Kron. Rodz. 1873 r., str. 366, Do Beatryczy (An Beatrix), z autografu Kron. Rodz. r. 1873, str. 175, Listku dziś suchy (Das dürre Blätten), Zawsze i wszędzie (Zu allen Stunden) z Kron. Rodz. r. 1873, str. 289 Ułamek z glossy Ś. Teresy (Aus der Zelle der heiligen Theresa<sup>2)</sup>). Antoni Odyniec reprezentowanym jest w zbiorze Nitschmana przez Starość ducha (Das Altern des Geistes) Branki (Kriegs gefangene), Wesele (Die Hochzeit). Przerwaną ofiarę (Das unterbrochene Opfer). Z Franciszka Morawskiego są przekłady: Łza (Die Thräne), Do modłającej się (An eine betende), O gdybym wiedział (Wenn ich gewusst), Chłopi i bies (Bauer und Teufel), Wizyta w sąsiedztwie (Die Visite in der Nachbarschaft). Wincentego Pola przedstawiają utwory: Domowe bogi (Hausgötter), Skowronek (Die Lerche), Kościuszkoi Pożegnanie. Z pieśni Janusza wreszcie ustęp z Pieśni o Domu i Starosta Kiślański (Der Starost von Kisla). Nakoniec z Augusta Bielowskiego znajdujemy w zbiorze Nitschmana Pieśń o Henryku Pobożnym (Das Lied vom Heinrich den Frommen), którą zapewne nie tyle dla jej zalet poetycznych, jak

<sup>1)</sup> Zwracamy uwagę czytelnika na to, że w ostatnich czasach zakwestyonowano autentyczność tego wiersza, którego skład nietylko pod względem treści, ale i pod względem formy, przedstawia tak wicło do życzenia, że tak mistrz słowa, jak Mickiewicz, nie mógł go napisać. Twierdzenie to opieramy prócz tego na tym fakcie, że autor tego wiersza jeszcze żyje. Panu Nitschmanowi, jako cudzoziemcowi, nie możemy robić zarzutu, że tego nie wiedział; ale mamy trochę żalu do niego, że ten niefortunny wybór zrobił.

Red.

<sup>2)</sup> Z tytułu możeby się czytelnik, nie domyślał, że mowa tu o Glossie Ś. Teresy; lecz ponieważ w języku niemieckim wyraz *glossa* ma pewne naukowe filologiczne lub jurydyczne znaczenie, przeto tłumacz właściwie sobie postąpił, nie kępując się zanadto wyrażeniem oryginału, aby tylko pochwycić wiernie ducha poety.

Red.

raczej dla jej osnowy, budzącej żywszy interes w czytelnikach niemieckich w pięknym swoim zbiorze zamieścić.

Dla czytelnika polskiego obojętną będzie bezwątpienia opinia, czyli przekłady p. Nitschmana są doskonałemi i czy dobrze oddają właściwości rytmu polskiego wiersza. Opinia krytyka co do tego, czy tłumacz właściwy zrobił wybór, nie może już zmienić faktu dokonanego; ale pozostałaby tylko głosem ostrzegającym czytelników niemieckich pod tym względem, że niemają przed sobą najdoskonalszych wzorów naszej literatury! Obeznawanie bowiem cudzoziemców z pojedynczemi ustępami utworów naszej poezji, może mieć tę niebezpieczną i słabą stronę, że zamiast przyczynić chwały naszej literaturze, może jej szkodzić nie tylko przez niedołężne tłumaczenie, ale i przez nie-szczęśliwy, mniej trafny wybór. Co do tego ostatniego nie można jednak zanadto kępować tłumacza, bo ten idzie zwykle w takim razie za upodobaniem własnym. I dlatego, oddając najzupełniejszą sprawiedliwość dobrym i skutecznym usiłowaniom p. Nitschmana i wyrażając się ogółowo, że przekłady lirycznych poezji jego zbioru, z małym wyjątkiem, są oddane wiernie, wytwornym językiem i pyszną architektoniką wiersza, zaznaczymy w krótkości te zalety, które przekładom p. Nitschmana zapewniły wartość istotnego dzieła sztuki.

O brakach przekładu utworów charakteru opisowego, może i zbyt uczynna wspominać. Są to braki nie ze złej intencji, lub z nieznamośności rzeczy wynikające, ale wprost z samego przedmiotu, który, o ile jest przedstawianym we właściwych warunkach języka i kolorytu miejscowego, staje się ponętym i zrozumiałym, w szacie zaś przekładowej traci na woni i wdzięku, wydając się czemś dziwnym i niesmacznym.

Zwracamy zatem uwagę przeważnie na utwory liryczne. Punktem porównania będą dla nas nie utwory całkowite, bo szczupły zakres sprawozdawczych uwag na to nie zezwala, ale niektóre popularniejsze ustępy i wyrażenia oryginału.

Znaną jest powszechnie pierwsza strofka Mickiewiczowskiej *R o z m o w y*, w której poeta ubolewa, że nie mogąc duszy swojej w duszę kochanki przelać, uczucia swoje zmuszonym jest rozdrobić na s ł o w a :

Które nim słuch twój i serce dościgną,  
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną...

W przekładzie Nitschmana ustęp ten brzmi:

Was kann Geliebte, das Gespräch ents priessen,  
O darf ich mein Gefühl dir mittztheilen,  
Nicht meine Seele in die deine giessen,  
Warum es theilen in der Worte viele.  
Die, eh sie dir zu Ohr und Herzen dringen,  
Im Mund verwelen, in der Luft verklingen.

Mistrzowskie oddanie myśli ostatniego wiersza psuje nieco wiersz czwarty, w którym rym odpowiadający wyrazowi: *m i t t z u t h e i l e n* drugiego wiersza, przeniesionym został do środka wiersza czwartego, przyczem przekładnia: *i n d e r W o r t e v i e l e...* jakkolwiek w niemieckim języku poetyckim tolerowana, razi ucho i smak czytelnika. Nietrudno byłoby tłumaczowi przez uszeregowanie wyrazów w inny sposób i wypuszczenie zbytecznego wyrazu: *v i e l e*, oddać myśl Mickiewicza słowami: *W a r u m i n W o r t e d i e G e f ü h l e t h e i l e n*? przezco i harmonia strofy byłaby uszanowaną i myśl oryginału odtworzoną dokładniej. Że p. Nitschman wnika w poetyczną intencję oryginału, dowodem tego jest zacytowany powyżej wiersz szósty strofy, oddający nawet szczęśliwiej myśl poety, aniżeli na to wymagania rymu w oryginale zezwalały. „Słowa” u Mickiewicza na powietrzu *s t y g n ą*; u Nitschmana zaś milkną, giną w dźwięku milnącego, oddalającego się echa (*v e r k l i n g e n*). Powstał tu obraz nowy, ale bez zaprzeczenia równie poetyczny i pod względem warunków fizycznych zupełnie naturalny, prawdziwy.

Taż sama uwaga stosuje się i do pięknego wiersza Krasińskiego:

Jak anioł spadły, leżący w piękności,  
Lecz z kary Bożej popiołem na czole,  
Italia drżmie, wśród naddziadów kości,  
A lud spodlony, w czarodziejskiem kole,  
Mórz zwierciadlanych i sklepień światłości,  
Jak proch pokuty, leży na jej czole.

W oryginale ustęp ten nosi na sobie cechę opisowości. Poeta jednym tchem wypowiada swoje wrażenia, nie dzieląc go na pojedyncze momenta i obrazy. Tłumacz z wrodzoną poetycznym duszom intuicją odczuł, że przestanki w stopniowaniu wrażeń silniej oddadzą to uczucie smutku, budzące się w duszy czytelnika, na widok upadłego anioła Italii:

Nun liegt es dem gefallen Engel gleich,  
So schön, doch auf der Stirne Gottes Strafe...  
Auf Gräbern ruht Italien in Schlafe...  
Das Volk verdarb. Im zauberischen Reich  
Des Meeres glanzes und der Lichtpallaste,  
Bedeckt der Staub der Busse seine Stirn...

Tego rodzaju dowolności przekładu, o ile zbyt nie wykraczają poza zakres intencji autora, są dowodem, że tłumacz nie poddaje się niewolniczo pierwowzorowi, lecz wnika głębiej w ducha przekładanego utworu.

Głównym wszelako warunkiem *l e g a l n o ś c i* tego rodzaju licencji, jest zachowanie właściwego rytmu oryginału. Gdzie ten warunek zachowanym nie jest, przekład staje się chybionym i nieudanym. Weźmy np., trzecią strofę ballady Mickiewicza *Ś w i t c ę*:



Jeżeli nocną przybliżysz się dołą,  
I zwrócisz ku wodom lice;  
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,  
I dwa obaczysz księżyce.

Niewypowiedziana obrazowość tego wiersza uległa w przekładzie Nitschmana zupełnemu przeistoczeniu.

Ueber, unter dir erschimmert dort bei Nacht der Sterne Licht,  
Zwiegestaltet sieht dein Auge auch des Mondes Angesicht... (!)

Wrażenie oryginału, skutkiem zmiany rytmu, znikło tu w zupełności, zamieniwszy się w błądą i bezbarwną parafrazę.

Do mniej szczęśliwych również pod względem wyboru wyrażzeń zaliczyć można i przekład Ś w i t e z i a n k i. Wierności rytmu nic tu zarzucić nie można, ale mieści się tam wyrażenie niefortunne: d i e D i r n e, na które żadna ze Świtezianek, błędzących brzegiem siniej wody o blasku księżycy, bezwątpienia się nie zgodzi...

D z i e w i c a Mickiewicza zamieniła się w przekładzie Nitschmana na zwykłą d z i e w k ę, o której w przyzwoitem towarzystwie nigdy się nie wspomina. Tego jednak rodzaju drobne usterki nie odejmują wartości przekładom p. Nitschmana.

Tłómacz wykazał w nich prawdziwy artyzm, biegłość i poetyckie uzdolnienie.

Dowiódł, że sam jest poetą dzielnym, odczuwającym najsubtelniejsze piękności poezji polskiej, że się do pracy swojej zabrał z zamiłowaniem i znajomością rzeczy.

Ale obok tych stron dodatnich jest jeszcze jedna, stanowiąca niejako a k t z a s ł u g i tłómacza wobec nas, a o d w a g i względem swoich rodaków:

Den warmen Herzen sei dies Buch geweiht,  
Die fern von Vorurtheil, mit Freudigkeit,  
Den Geisteshauch aus Fremden Lande grüssen!  
Czuającym sercom, księgę tę poświęcam,  
Co, bez przesądów, z radośnem uczuciem,  
Duchowy powiew z obcych stron witają!

Temi słowy rozpoczyna tłómacz wiązanek swoich przekładów, a te właśnie słowa nasuwają na myśl, że powodzenie tłómacza, jakim się cieszy obecnie u swoich, nie towarzyszyło zrazu pierwszym jego krokom na polu obznajmiania Niemców ze skarbami naszej poezji, polu międzynarodowego pośrednictwa między naszą, a niemiecką umysłowością.

Z podejrzliwością właściwą epigonom niemieckiego n a t i o n a l - l i b e r a l i z m u, wietrzono w każdym odmiennym głosie wroga i pozbawionego uczucia miłości i sprawiedliwości. Od pewnego wszakże czasu dostrzegamy, że za przewodem Nitschmana i innych

znawców literatury polskiej, przeważnie wszakże za danym przez cenne czasopismo: *Magazin für die Literatur des Auslandes* (w obecnej redakcyi) przykładem, nastąpił w Niemczech przyjaźniejszy zwrot w zapatrywaniu się na umysłowość polską. Wzmianki o tém, co się na polu literackiej działalności u nas dzieje, w dziennikach niemieckich są coraz obfitsze, a zastęp tłumaczy, probujących sił swoich w przekładach z polskiego na niemiecki język, staje się coraz poważniejszym. Z pomiędzy nowszych na tém polu prac, wymienić należy przekład *Maryi Stuart* Słowackiego, dokonany przez Ludomiła Germana (Lipsk, 1879); *M. von Reden'a*, przekład *Kiejstuta Asnyka* (Poznań, u Jolowicza, 1880). *Bratranek* wydaje w Krakowie przekłady *Mohorta*, *Wincentego Pola* i *Śmierć Władysława IV*, *Szujskiego*. *Dr. Kurtzman* tłumaczy Słowackiego: *W Szwajcaryi*. Obok wielu przekładów poetyckich utworów polskich, znajdujemy w czasopismach niemieckich sprawozdania z dzieł prozaicznych, jak np.: z pracy *Sowińskiego*, wydanej z notat *Zdanowicza* p. t.: *Dzieje literatury polskiej*, która właśnie dla swego kompilacyjnego charakteru, jako obejmująca, bez pretensyi do samodzielności, treść najnowszych poglądów na całość kształt polskiej literatury, zasługiwałaby na pobłażliwsze ocenienie ze strony krytyków. Wreszcie wymienić należy cenne przekłady *Galicjanina* *Zygmunta Lipinera*, studjum porównawcze *Pechnika*: *O Hermannie i Dorocie Goethego* i *Panu Tadeuszu*; szkic biograficzno-krytyczny *O J. I. Kraszewskim*, wydany przez *Bohdanowicza*. W wiedeńskich *Dioskuren* reprezentuje pan *H. Blumenstock* bardzo zaszczytnie ten kierunek pracy cywilizacyjnej.

Tak przyjazny zwrot w ocenianiu koryfeuszów naszej literatury, zawdzięczać należy szczeremu, jak dotąd, gronu pisarzy, oceniających bezstronnie umysłowość sąsiedniego narodu. Na czele zaś tych bojowników prawdy i piękna, słusznie dać należy miejsce p. *Nitschmanowi*. Prawda, że zwrot ten, dotychczas przynajmniej ujawnił się w sferze literatury nadobnej. Przyjdzie może chwila, że i naukowość polska, prace na polu historycznym, filozoficznym, filologicznym, matematycznym i przyrodniczym, dostąpią należnego u obcych uznania, byleśmy coraz więcej o te skarby się krzątali i nie zapominali o tém, że nauka to potęga. Trzeba, aby dzieła uczonych naszych nie zamykały się dobrowolnie w zbyt szczupłych swojskości granicach, ale starały się zwolna przenikać i na obszerne pole powszechniej wiedzy bez uprzedzenia dla żadnego przedmiotu: z miłością i bezstronnością sądu dla wszystkiego, co urzeczywistnia idee prawdy, dobra i piękna.

Niepodobna tu oprzeć się narzucającemu się mimowoli pytaniu: czemu się to dzieje, że dla Francuza, lub Anglika, obojętną, a przynajmniej nie tyle pociechy sprawiającą okolicznością, jest pojawienie się utworu ich literatury w przekładzie na języki obce, ile dla Polaka, który każdą wiadomość o przekładzie utworu rodzinniej literatury na języki obce wita z niekłamanym uczuciem wewnętrznego zadowolenia?

Odpowiedź na to pytanie leży w fakcie, że naród dziewięć wieków kultury za sobą mający, widzi w tego rodzaju objawach a k t s p r a w i e d l i w o ś c i, akt międzynarodowego równouprawnienia literatury naszej, być może mniej szczęśliwemi warunkami bytu uposażonej, niemniej jednak ożywionej temi szlachetnemi pierwiastkami, jakie są nieodzownym atrybutem umysłowego życia każdego europejskiego, na europejskiej cywilizacji urobionego narodu.

Czyżby kto interesował się takimi np. narodami, jak Węgrzy lub Duńczycy, gdyby świat nie znał w przekładach arcydzieł Petoeffe'go, lub Andersena? Dobijać się nie sentymentalnego współczucia, ale uznania u obcych, nie jest dowodem zaściankowej miłości własnej, ale obowiązkiem każdego żyjącego i żywotnego narodu. Niechaj przekłady arcydzieł naszej literatury torują nam drogę do takiego uznania!

*Aleksander Kraushar.*

*Lettre sur l'enseignement des Beaux Arts.* Par Henry Havard.  
Paris, 1879.

Pod tym tytułem wyszła w Paryżu broszura napisana skutkiem jednomyślnie przez Izbę francuską przyjętego wniosku ministra p. Bardout, dotyczącego powszechnego, w początkowych nawet zakładach naukowych nauczania rysunku.

Wniosek mówi tylko o rysunku, autor zaś broszury rozszerza to zdanie i dochodzi do propozycji nowej zupełnie metody wdrażania umysłów młodzieży w pojęcie piękna.

Zaznaczymy tu tylko krótką wzmianką wywody, za pomocą których autor broszury dowodzi stosowności i konieczności tego nauczania, aby dłużej zatrzymać się nad najważniejszą częścią poglądów jego na drogi prowadzące do skutecznej nauki. Punkt wyjścia p. Havard, stanowi zdanie, iż w każdym społeczeństwie pewna część onego musi mieć możność używania i że ta właśnie bez sztuk obejść się nie może, że w widokach cywilizacyjnych używanie to na cały ogół rozszerzyć należy, uprzystępniając szlachetne rozrywki najuboższym <sup>1)</sup>.

Przeprowadzając dalej rozumowania swe co do konieczności i użyteczności uprawy sztuk i popierając je zdaniami mędrców starożytnych i nowożytnych znajduje, co zresztą jawnem już jest i wiadomem wszystkim, iż cały rozwój rękodzieł wyższych i cały dobrobyt Francyi,

<sup>1)</sup> Pan Havard zdaje się zapominać o tém, że przecie prawdziwem źródłem sztuk pięknych są wrodzone każdemu człowiekowi uczucia estetyczne, bez których miliardowe nawet bogactwa nie stworzyłyby sztuki.

*Red.*

ogromne jęj bogactwa płynące z tego źródła, opierają się właśnie na rozwoju pojęcia i poczucia piękna, zaszczerpionego przez wielowiekową uprawę sztuk pięknych.

Autor broszury krytykuje silnie i nie bez słuszności dzisiejsze nauczanie sztuk a szczególniej rysunku, na którym się one opierają.

Istotnie, pomiędzy nauczycielami rysunków w zakładach naukowych średnich, mało jest niezmiernie takich, którzyby przedmiot swój gruntownie znali: wyjątkowy, któryby ukończył akademią lub szkołę sztuk pięknych, gdy nauczycielem każdego innego przedmiotu nie można być nie ukończywszy uniwersytetu. Cóż mówić o metodzie nauczania, która może być dopiero wynikiem wykształcenia zupełnego i wszechstronnego, opromienionego gorliwością nauczycielską a zapłodnionego przez zdolności pedagogiczne.

Gdy sobie tę stronę zadania uprzytomniamy, myśli p. Havarda wydadzą się do spełnienia zupełnie nieprawdopodobne, jakkolwiek napozór arcy proste a w założeniu często logiczne.

Pan Havard utrzymuje, iż nauczanie prowadzone sposobem dotychczasowym, nie może żadną miarą wydawać owoców dojrzałych: zaczyna się bowiem od końca; uczymy młodzież pisać, mówi autor broszury, nie nauczywszy jęj wprzód czytać. Radzi więc poczynać od nauczania wcztywania się w piękno przyrody i arcydzieł sztuki a następnie dopiero zaleca wdrażanie uczących się w pisanie, czyli odtwarzanie rysownicze, plastyczne, rzeczy już zupełnie dla nięj zrozumiałych.

Nie tai autor trudności kolosalnych jakie ten sposób nauczania musiałby za sobą pociągnąć, przeciwnie, stawia im czoło odważnie i wbrew wypowiedając, iż wcale nie widzi ani liczby ani jakości odpowiednio uzdolnionych nauczycielów; niemożliwość chwilowa, wprowadzenia tęj nowęj metody w czyn, nie zmienia zdania autora, ale prowadzi go do odszukania dróg i sposobów postępowania.

Dostrzega pan Havard z zupełną słusznością, iż dzieło Karola Blanc: *Grammaire des arts du dessin*, jakkolwiek napisane nie dla specjalnie kształcących się a najmnieją dla początkujących, nosi w sobie zarody tego, coby za wzór wziąć należało do utworzenia szeregu podręczników teoretycznych do nauczania odczytywania piękna w przyrodzie.

Jest więc i droga do wyjścia z trudności wskazana, idzie tylko o wykonanie zadania. Jako pomoc niewątpliwie jednę z najskuteczniejszych, wskazuje autor zakładanie muzeów nietylko prowincjonalnych, których we Francyi jest bardzo dużo, ale okręgowych i bodaj gminnych, złożonych z odlewów gipsowych arcydzieł sztuki starożytnęj i z innych wzorowych reprodukcji.

Wracamy jeszcze raz do największęj trudności, do znalezienia ludzi, w których ręku metoda ta mogłaby nabrać krwi, życia; o takich atoli nawet we Francyi, wedle zdania p. Havarda, trudno.

Cóż mówić w tęj sprawie odnośnie do kraju naszego, który także przyszłość dobrobytu swego w znacznej części na rozwoju rękodzieł

wyższych zasadzać musi; cóż mówić wobec niezmiernie jeszcze grubych pojęć o znaczeniu sztuk pięknych, nawet u ludzi zkażdą wykształconych i poważnych.

Czyż nie powiedziéć, czy zostawić w zawieszeniu jedno z ważnych pytań etycznych i ekonomicznych? nie daj tego Boże, byłoby to przemilczenie nie dowybaczenia i dlatego téż wrócimy do tego przedmiotu, względnie do kraju naszego w obszerniejszym zakresie, poprzestając dzisiaj na sprawozdaniu z broszury p. Havarda, której osnowa nie nastęrcza wiele przedmiotu do krytyki, ale potrąca o idee, których gruntowny rozbiór nie będzie bez korzyści.

W. G.

*Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego.* Przez dr. Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy, w 8-ce (str. XII, 490 i 546) \*).

Część druga gramatyki zawiera „*naukę o formach*, czyli odmianach wyrazów,” zwaną także morfologią (*Formenlehre, Wortbildungslehre*), i rozpada się na dwa główne rozdziały: *deklinacją*, obejmującą odmiany imion (str. 162—256) i *konjugacją* (str. 256—323), przedstawiającą zasób odmian słowa polskiego.

Deklinacją rozpoczyna nauka odmian rzeczownika. Po wiadomościach wstępnych o gatunkach rzeczowników, o rodzajach, liczbach, zatrzymuje się autor nieco dłużej nad przypadkami czyli skłonnikami, z powodu nazw polskich: *mianownik, dopełniacz, celownik, biernik, wołacz, narzędnik* i *miejsceownik*, wprowadzonych do gramatyki przez Kopczyńskiego, które dotychczas „są w obiegu” zamiast łacińskich: *nominativus, genitivus* etc. Małecki przeciwny jest polskim nazwom skłonników, z powodu, że żadna z tych nazw nie wyraża dokładnie wszelkich odcieni znaczenia swojego skłonnika, a prócz tego, że niektóre z nich, jak mówi autor, są „wręcz niezdarne” (np. celownik). Dlatego w książce swojej używa „tylko łacińskich i liczebnych nomenklatur deklinacyjnych,” z polskich zaś nazw „dopełniaczem” posługuje się w składni. Ze polskie nazwy skłonników nie są bez zarzutu, że niedokładność jest cechą ich niewątpliwą, temu nikt przeczyć nie będzie; ależ, jak sam autor mówi, i „łacińskie nazwy przypadków nie zewszystkiem wyrażają to, co powinny wyrażać” i dodajmy: w żadnym razie ani fortunniejsze ani „lepsze” od polskich nie są. Co się tyczy owéj „niezdarności” nazw polskich, to nie jest ona tak dalece rażąca, jak ją autor ocenia <sup>1)</sup>: niektóre z tych nazw są wprost tłumaczeniem łacińskich,

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za sierpień r. b.

<sup>1)</sup> Miano „niezdarne” zasadniej możnaby przysądzić nazwom skłon-

inne znowu na tenże sam sposób utworzone, i zarówno ze względu na formę zewnętrzną jak i wewnętrzne znaczenie pierwowzorom łacińskim nie ustępują. Czyż bowiem nazwa *genitivus* wszystkie odcienie stosunków tym przypadkiem wyrażonych obejmuje? lub czy *dativus* może mieć jakies pierwszeństwo przed „niezdarnym” celownikiem? Bezstronnie obie te nomenklatury oceniając, przyjdziemy do wniosku, że nie wiele zalet przemawia tak za jedną jak i za drugą: w równej mierze można o nich powiedzieć: *ambo meliores*. Wobec tego więc, nie ma dostatecznej zasady nastawać na wycofanie z „obiegu” nazw polskich na korzyść łacińskich. Tym więcej zaś, jak sądzę, miejsca ich zająć nie powinny nazwy liczebne: *przypadek pierwszy, przypadek drugi* i t. d., i to nie dlatego bynajmniej, że nazwy te, jak mówi autor „nie przypadają niektórym do smaku np. poznańskim gramatykom,” bo *smak* jednostki w sprawach ogólnie naukowych nie ma żadnej wagi; ale dla innych, ważniejszych przyczyn, a mianowicie: popierwsze, że nazwy liczebne nie zawierają w sobie i nie wyrażają żadnego zgoła znaczenia przypadku, najślabszego nawet odcienia stosunku, jaki danym skłonnikiem wyrazić mamy; powtóre, że „odwieczny ów porządek przypadków, do któregośmy od dzieciństwa przywykli” (str. 166), bez względu czy to są nazwy łacińskie czy liczebne, od pół wieku przeszło w lingwistyce naruszony został i to nie bezzasadnie; a nawet, jak zaznacza autor: „dzisiejsi lingwiści bardzo często porządek ten burzą,” dając nowe świadectwo prawdzie, „że i w tój nawet ostatecznie tak błahój sprawie, co głowa to rozum” (str. 167).

Zważywszy tedy, że do owego wyrotu „odwiecznego porządku przypadków” piórem swoim przyłożyły się osobistości takie, jak: Bopp, Schleicher, Miklosić, Gustaw Meyer i tylu innych, kierując się pobudkami, które i nasz autor zupełnie podziela, skoro łączy przypadek 1, 4 i 5 w jedną grupę skłonników głównych (*casus recti*, § 306); zważywszy nadto, że z wywróceniem raz kolejnego porządku skłonników, za utrzymaniem nazw liczebnych nie już nie przemawia [co bowiem u nas pozostałoby przypadkiem 4-ym, to u nich jest z kolei 2-im lub 3-im (*accus.*), co u nas 3-im, to u nich z kolei 4-ym lub 5-tym (*dativ.*)], że zatém, dla zabezpieczenia się od niechybnego zamieszania, nazwy specjalne dla każdego skłonnika okazują się koniecznymi; sądzę, że pozostaje nam: albo trzymać się nazw łacińskich, albo co właściwsza, nie wystrzegać się nadal nazw polskich, jakie już nie od dziś posiadamy: témbardziej, że znalazły one zastosowanie zarówno w pracach bardzo po-

ników, wprowadzonym przez Szylarskiego w jego gramatyce: *mianujący, rodzący, dawający, oskarżający, wzywający, nazywający (?) i opowiadający!* podobnie jak innym nazwom np. *num. pluralis*, oddanej przez *liczbę wielką*, g. *femininum*, którą Szylarski oddaje przez rodzaj *niewieści*, a *neutrum* przez rodzaj „*trzeci, ani męski, ani niewieści*,” lub gdy łacińskie *participium* tłómaczy przez *uczestnictwo, activum* i *passivum* przez: *słowa gatunku działającego i gatunku cierpiącego* i t. p. Gram. jęz. polsk.; Lwów, 1770, str. 5, 54, 61.

ważnych (jak Fr. Malinowskiego, prof. Przyborowskiego i innych), jak i w praktyce szkolnej.

W nauce o formach, zadaniem autora było „zapoznać się dokładnie z formami *już gotowemi*, mianowicie jakie one są *dziś* w piśmiennym i poprawnym polskim języku, jakie były w Zygmuntownskiej epoce, jakie w pomnikach z przeddrukowego jeszcze okresu, i jakie być mogły o dwa albo trzy wieki rychlej, o ile wiedzieć nam o tém w *przybliżeniu* daje tak zbliżony do naszego, a już wtedy piśmienny język starosłowiański” (str. 168).

Deklinacyj przyjmuje autor pięć, jak w gramatyce z r. 1863, trzymając się w tém ściśle Miklosiá („Formenlehre,” w drugim wydaniu „Wortbildungslehre.”). Nie podaje jednak ani zasad, na jakich podział deklinacyj opierać się winien, ani też przyczyny, dla których tych deklinacyj ustanawia pięć, a nie więcej lub mniej. Pojęcie *tematu*, będące dotychczas nietylko główną podstawą przy nauce deklinacyi, ale także stanowiące, obok różnicy końcówek skłonnikowych, ważną bardzo wskazówkę przy grupowaniu rzeczowników w pewne odrębne kategorie, zwane deklinacyami, obecnie zostało przez autora z nauki deklinacyi usunięte. W wydaniu gramatyki z r. 1863, przy podziale deklinacyj, określenie pojęcia tematu i wykazanie zasady podziału znalazło odpowiednie uwzględnienie w § 115 i 116; prócz tego temat odmienianego rzeczownika na czele wzorca w każdej deklinacyi był przedstawiony. W obecném zaś dziele orzeka autor wprost: „rzeczownych deklinacyj w języku polskim jest pięć,” i porządkuje z góry ustanowione grupy podług zakończenia pierwszego przypadku liczby pojedynczej, unikając starannie przez cały ciąg wykładu deklinacyi nawet wzmianki o temacie. Brak ten z konieczności często prowadzi za sobą musi nie tylko przydłuższe w wykładzie omówienia (np. w § 103 i 105), ale nadto jest powodem niedokładności orzeczeń (§ 129, 137) i niepotrzebnego zamętu w opisywaniu rzeczy najprostszych (§ 125, 150, 151).

Powodów stanowczego wykluczenia tematu z nauki deklinacyi nie znajdujemy w całej morfologii. Nazwy *tematu* po raz pierwszy użył autor mimochodem przy deklinacyi przymiotników, tłumacząc powstanie niektórych form deklinacyi złożonej (str. 235). Dopiero z pojęciem tematu jako zasadniczej części morfologicznej, spotykamy się przy teorii konjugacyi polskiej. Tam bez tego pojęcia jakkolwiek głębszy wykład, okazał się niemożliwym. Wprowadzenie jego uznał autor za rzecz konieczną i w § 233 określeniu pojęcia tematu, jako niezmiennej „części danego czasownika” poświęcił osobny ustęp, uzasadniając przytém dość obszernie pierwszeństwo nazwy *temat*, przed nazwą *źródłosłów* i innymi <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Przytém nazwę *osnowa* najniesłuszniej mianuje autor obok innych (*pień, rdzeń*) „niezręczną i nieodpowiednią.” Nie możemy mieć nic przeciwko wyrazowi „*temat*,” ani też nie stajemy w obronie nazw innych; ale, jeżeliby

O zapatrywaniu się autora na tematy imienne i znaczenie ich dla fleksyi, dowiadujemy się nie wcześniej, aż przy wykładzie 3-jej części gramatyki, t. j. *etymologii*. Przytaczamy tu odnośne słowa autora, jako charakteryzujące i stanowisko jego w naszej nauce i pozwalające choć w części wyrozumić przyczynę usunięcia tematu z deklinacji. „Lingwistyka tegoczesna, mówi autor, kładzie cały przycisk na tak zw. *tematach* (Stamm) i do tego stopnia nie turbuje się w *Etymologii* o nic więcej, jak tylko o wyjaśnienie składu tych martwych, bo abstrakcyjnych wyrazowych tematów, że się ta część gramatyki i sama już przeważa *tematorodem* (Stammbildungslehre) <sup>1)</sup>, a tworzyć z owych tematów żywe, rzeczywiste wyrazy, to pozostawia już fleksyi” (str. 325).

Przedewszystkiē *tematu* nie można uważać za część „martwą,” abstrakcyjną, w ustroju wyrazów. Tak w naszej mowie, jak i we wszystkich językach fleksyjnych tematy nie są to pojęcia gramatyczne oderwane, ale części wyrazów podstawowe, realne, i jako takie w każdym języku, dopóki język ten nie pozbył się fleksyi, żywo przez naród mówiący uczuwane. Tematy w ten sposób pojmowane, jako całości morfologiczne, dają możność dokładnego rozumienia procesów fleksyjnych, jako też wielu zjawisk fonetycznych, które bez uwzględnienia „tematu,” abstrakcyjnie, najczęściej w sposób zewnętrzny tylko, mechaniczny, bywają objaśniane. Nauka też etymologii, zajmując się owemi tematami, jako podstawowemi dla fleksyi częściami wyrazów, jest zupełnie w obrębie swojego zadania. Z czego jednak nie wypływa, że się już „o nic więcej nie turbuje” i że fleksyi dopiero pozostawia naukę tworzenia żywych „rzeczywistych wyrazów,” to bowiem jest właśnie etymologii ostatniē zadaniem. W zakres zaś nauki fleksyi wchodzi wykazanie i wyjaśnienie sposobów formalnych, jakimi się język posługuje przy wyrażaniu rozlicznych względów i stosunków, zachodzących pomiędzy wypowiedzianemi pojęciami.

Nie widzimy też słuszności w dalszych słowach autora: „Taka metoda (w etymologii wyjaśnienia składu tematów) może być trafną, chyba tylko wobec języka, któryby zachowywał do tēj pory jaknajwyraźniejsze jeszcze poczucie ustroju tematowego w swoich wyrazach...” Nie zgadza się to bowiem z ową zapowiedzianą „genetycznością” metody autora, która sięga bardzo często aż do stanu języka pierwotnego,

chodziło o wybór nazwy swojskiej, to nie żadna inna, tylko „osnowa” miałyby zupełnie do tego wyboru prawo, będąc właśnie i zręczną i odpowiednią do dokładnego oddania pojęcia, o jakim mowa. Za wyrazem *temat* to tylko jedynie przemawia, że jest on terminem ogólnie w językach zachodnich przyjętym.

<sup>1)</sup> Część gramatyki, znana p. n.: *Stammbildungslehre*, „tematorodem” ohyba „przeważać się” nie może; to bowiem, co stanowi „naukę o tworzeniu się tematów,” nie jest jeszcze samē tworzeniem (czyli rodem) tychże. Gdyby chodziło o dokładne odwołanie powyższego terminu niemieckiego, właściwszą już byłaby nazwa „*tematorodnia*,” której jednak nie śmiemy zalecać.



t. j. epoki, poprzedzającej tę, w której „poczucie ustroju tematowego” wyrazów, tkwiło bez zaprzeczenia żywo wśród mówiącego ogółu. Jeżeli, jak sam autor w etymologii twierdzi „pierwszy zawiązek fleksyi w naszych językach stanowiło pojawienie się *imionowych tematów* w przeciwstawieniu do tematów *czasowych* (werbalnych)” str. 335, to czyż podobna wejrzeć w głąb owęj fleksyi przy wykładzie deklinacji, pomijając zupełnym milczeniem żywiół podstawowy, jakim jest temat deklinacyjny?

Dogmatem również nieuzasadnionym byłoby twierdzenie, że dziś w języku naszym poczucie tematów wyrazowych zamarło. Zapewne, sam temat, jako część wyrazu ulegać musi stopniowym i ciągłym zmianom, jak w ogóle wszystkie elementy głosowe w skład jego wchodzące; poczucie jednak rzeczywistych tematów wyrazowych (choć z biegiem czasu przeobrażonych (wśród mówiących jednostek) istnieje we wszystkich językach fleksyjnych, dopóki te fleksyą swoją w jej przyrodzonej sile utrzymują, t. j. dopóki języki te nie zejną do rzędu języków analitycznych, zamieniając fleksyjny sposób wyrażania względów deklinacyjnych i konjugacyjnych sposobami zupełnie odmiennymi (jak np. języki romańskie, język angielski, bułgarski i t. p.). Wtedy temat będzie rzeczywiście czémś martwém, nieodezłym przez lud mówiący jako część wyrazu zasadnicza, a przy istnieniu fleksyi wybitna.

Usunięcie więc tematów imiennych z nauki deklinacji, a zatrzymanie tematów słownych przy wykładzie konjugacji nie da się pobudkami naukowemi usprawiedliwić. Nieobecność tematu w deklinacji pozostanie w wykładzie tej części gramatyki dotkliwym brakiem, który nawet naukę deklinacji sprowadziłby do zwyczajnego przestarzałego wykazu odmian rzeczowników, ujętych w pewne mniej lub więcej dowolne gromady, a tém samém odjąłby wykładowi charakter umiejętny, gdyby nie „uwagi o poszczególnych przypadkach,” zamieszczone przy każdej deklinacji, a zawierające w sobie wiele pożądanego materiału dla historii form deklinacyjnych, w systematycznym porządku przedstawionego. Na objaśnienia jednak autora wéród tych uwag nie zawsze godzić się można; często bowiem są one zupełnie nieodpowiednie dzisiejszym pojęciom naukowym i niezgodne z rzeczywistym zkładem znanym stanem rzeczy.

Dowolna liczba przyjętych 5-ciu deklinacji zostaje w bezpośrednim związku z brakiem zasady, na której podział ten oparty być winien. Jeżeli w wykładzie autora chodzić miało przedewszystkiém o „istniejący stan rzeczy,” to ten jeden wzgląd czyni już liczbę 5-ciu deklinacji niewłaściwą. Przypuśćmy, że ustanawiając deklinację 1-szą dla rzeczowników męzkich „ze spółgłoską nakrawędną odkrytą” (*anioł, koń*), a deklinację 2-gą dla rzeczowników rodzaju nijakiego „zakończonych w przyp. 1-szym liczby pojed. po spółgłosce twardej i czasem po *e* na *o*..., po spółgłosce miękkiej na *e*,” autor powodował się względami jasności wykładu, by imion dwojakiego rodzaju nie łączyć w jedną deklinację, chociaż wspólność zasadniczych końcówek

w dalszych skłonnikach przemawia i tu za połączeniem obu tych szeregów w jedną kategorię skłonnikową. Jeżeli jednak rozdział ten może mieć niejakię usprawiedliwienie, za to tworzenie dla rzeczowników *nijkich* z końcówką mianownika *e* (*źrebię, znamię*) osobnej deklinacji 5-tój jest już niepotrzebnym rozdrabianiem przedmiotu. Rzeczowniki te bowiem mogły być znaleźć pomieszczenie w osobnym wzorcu w deklinacji 2-iej rzeczowników *nijkich* na *e* (*pole*)—rzecz prosta—z wyluszczeniem różnicy zachodzącej dziś tylko w tematach tych dwu gromad wyrazów (*pol-, źrebięc-, znamień-*) i powstałych ztąd mianownikach; zakończenia bowiem pozostałych skłonników dla obu kategorii rzeczowników są zupełnie jednakowe.

Z powodu nieobecności *tematu*, jako części podstawowej wyrazów, znajdujemy zaraz w uwagach przy deklinacji 1-iej, objaśnienia niezgodne z rzeczywistą genezą wyrazów. Autor i tutaj uczy, że dzisiejsze rzeczowniki: *kocień, kolla, orzeł, orla* i t. p. miały pierwotnie we wszystkich skłonnikach samogłoski *o* i *u*; że „zatém było *kocęła, orzeła (!)*... *kubkiem* i t. d. Później w nich te samogłoski zaprzestało się wymawiać; spółgłoski *ć, rz...* napowrót odtwardniały, gdzie było trzeba” (str. 170)—tłómaczenie, jak to widzieliśmy w przeglądzie głosowni (st. 325), będące w niezgodzie z rzeczywistą historią form i dźwięków języka polskiego.

Niedokładne przez autora wyluszczenie niektórych przepisów gramatycznych staje się powodem pewnej pomiędzy nimi sprzeczności i niejasności. Na str. np. 176 autor, mówiąc o formach mianownika na *y*, t. j. takich jak: *psy, koty, chłopcy, pany, doktory, pogany, dominikany* (?), dodaje, że form tych „w połączeniu z zaimkiem lub przymiotnikiem nie można inaczej używać, jak tylko tak: *te psy, owe koty, tegie chłopcy, dobre pany, mądre doktory...*” I dalej: „osobowe imiona zakończone na *cy* mogą zawsze i *ci* i *te* wedle woli mówiącego (sic) przybierać: *ci* zbójcy i *te* zbójcy, *ci* potwarcy i *te* potwarcy...” (str. 177). W uwagach zaś o wzorcu 2-gim téjże deklinacji (str. 182) czytamy: „Rzeczy i zwierzęce imiona zdolne są tylko samych form rzeczowych. Osobowe, po większej części, samych tylko form osobowych (*te ludzie, goście, przyjaciele* powiedzieć nie można).” Czytelnik daremnie szukałby odpowiedzi na następujące się tu pytanie: dlaczego to gramatyka *pozwała* używać form np. *ci* i *te* zbójcy, potwarcy „wedle woli mówiącego,” zaś *te* ludzie, goście... podług téjże gramatyki „powiedzić nie można.” Również nieświadom rzeczy nie dowiódł się, czy forma mianownika od rzeczownika *dominikanin* ma rzeczywiście sufiks *anin*, jak na str. 176, czy też sufiks *an* „dominikan,” jak to niewłaściwie podano na str. 182, obok „Hiszpan, młodzian,” czy też i jedna forma i druga są właściwe.

O rzeczownikach obcego pochodzenia takich, jak: *testament, dokument...* mówi autor, że formują 1-y przypadek liczby mnogiej albo na *a*, jak we własnym języku, albo rzeczowo na *y*, nie jednak nie wzmiankując, czy te ostatnie (na *y*) wyrobiły się w czasach nowszych,

czy téż znane były w staropolszczyźnie. Byłoby zaś rzeczą pożądaną, by gramatyka historyczna wyjaśnić mogła na zasadzie faktów, niezgodność panujących w tym względzie zapatrywań. Rzeczowniki te, przyjęte do polskiego, w odległej przeszłości języka, upodobniły swą deklinacją do deklinacji polskich rzeczowników męzkich, skutkiem czego już w wieku XVI spotykamy formy w mianowniku i bierniku liczby mnogiej na *y* <sup>1)</sup>. Jednocześnie jednak i współrzędnie z działaniem téj asymilacji, występuje druga siła, przeciwdziałająca pierwszej, podtrzymująca w mianowniku i bierniku niezmienność form łacińskich na *a* i tamująca tym sposobem przewagę i ustalenie się form powstałych drogą całkowitej asymilacji <sup>2)</sup>.

Podobnemu procesowi podlegały i rzeczowniki: *koszt* i *grunt*, o których autor niezupełnie zgodnie z historią mówi, że „wyrazy te wzięte z niemieckiego, mają zawsze *koszta*, *grunta*.” Dziś jest tak, bo i one uległy asymilacji do łacińskich (*akta*, *dokumenta*), tak silnie, że wpływem swoim dosięgła niektórych czystopolskich (jak: *urzędy*, *przedmioty*...), pojawiających się i dziś jeszcze z końcówką *a* w mianowniku; w wieku jednak XVI i wyrazy: *koszt* i *grunt*, podlegały również asymilacji rzeczowników męzkich, które w liczbie mnogiej mają w mianowniku *y* (*koty*, *kłopoty*, *mosty*, *bunty*...) i temu to wpływowi winny swoje istnienie formy: *grunty*, *koszty*, dosyć często spotykane u pisarzy wieku XVI-go i późniejszych <sup>3)</sup>. Działanie jednak asymilacji do form cudzoziemskich, mianowicie łacińskich na *a*: *testamenta*, *dokumenta* i t. p., okazało się silniejszym i onoto spowodowało ustalenie się dzisiejszych form: *koszta*, *grunta*, powszechnie używanych.

Najniesłuszniej niekiedy daje autor ucho pomysłom i radom zasłanianych gramatyków, którzy nietylko, że zjawiska języka tak zwy-

1) Dwa *testamenty*, Postyl. Wujka, r. 1584, t. II, str. 204; trzeba odłożyć *affecty* na stronę, Postyl. Wujka, r. 1579, t. I, str. 314; *sakramenty*, Kazania Skargi, r. 1600, str. 2, 3, 5, 6, s. 277; *elementy*, s. 1, 2; *fundamenty*, *lamenty*, Grodzicki, O poprawie kalendarza, Wilno, 1587, str. 8, 9, 38 i t. d.

2) Rzecz o *asymilacji* w języku przedstawił p. M. Kruszewski w wybornym artykule p. n. *Ob „analogiji” i „narodnoj etimologii”* („*Volksetymologie*”), pomieszczonym w czasopiśmie naukowym: *Russkij filologiczeskij wiestnik*, 1879 r., zeszyt 3 (str. 109—120). W zeszycie zaś 4-tym (str. 265), daje krótkie i gruntowne objaśnienie, dlaczego termin *asymilacja* właściwszym jest od terminu *asocjacja*, projektowanego zamiast *analogii* przez K. Brugmana w *Studien Curtiusa* i w *Zeitschrift für vergl. sprachforsch.*, etc.

3) Wujek: Skąd się wzięły te zbytki y te niepotrzebne *koszty* wzięły między chrześciany, Postyl., r. 1584, t. II, str. 62. Błażowski: *grunty* splondrowawszy, str. 101; *grunty* nieprzyjacielskie; *grunty* y przedmieścia, str. 404, przekład Kromera, 1611 r. Petrycy: *grunty* y nawet wszytka roley włość, str. 238; majątność y *grunty* wszelakie, Polit. Arystot., r. 1604, str. 28; Klonowicz: *grunty*, Flis, 1595, st. 28 i t. d.

kłe tłómaczą, jak sobie życzą, ale nadto wskutek niepojmowania rozmaitości form, usiłują zaprowadzać według własnego widzimisię różnice, których język wcale nie wytworzył i zgoła nie posiada. Tak np. na str. 183 mówi autor: „Czasem rozstrzygają o formie tój, albo owęj, przywiązane do nich znaczenia, np.: *pisarzów* (scriptorum), *pisarzy* (scribarum); *uczniów* (w szkołach), *uczni* (rzemieślniczych).” I jakkolwiek autor osłabia zaraz fałszywy ten przepis uwagę: „Najczęściej wszelako wcale się nie troszczymy o różnicę znaczenia w używaniu form tych, albo owych potoczném” (str. 183, wyd. 1863, § 146), to jednak w żadnym razie osobiste czyjeś życzenie, nie mające zupełnie podstawy w żywej mowie ogółu, nie powinno znaleźć żadnego uwzględnienia w gramatyce, która przedewszystkiém liczyć się musi z rzeczywistymi faktami języka.

Zamiast tych rad domowych i „praktycznych przepisów,” pożądana byłaby w gramatyce historyczno-porównawczej dokładna wiadomość o formach mianownika liczby mnogiej, z końcówką *ewie* (*królewie, mistrzewie*), oraz o formach celownika liczby pojedynczej na *ewi* (*królew, mężew, mikołajewi*)<sup>1)</sup>, właściwych w XIV i XV wieku rzeczownikom męzkim z ostatnią tematową zmiękczoną, zgodnie ze starsłowiańskim, a następnie i innym rzeczownikom, jak również wyjaśnienie ścisłego związku, między temi dwiema formami (*ewie, ewi*) zachodzącego.

W uwagach o celowniku, czyli 3-im przypadku liczby mnogiej rzeczowników męzkich i nijakich, nie znajdujemy ani wzmianki o formach z końcówką *am*, które istniały w języku wieku XIV, XV a nawet i XVI (*skutkam, bogactwam, dzieciom*), powstałych na zasadzie asymilacji morfologicznej do form właściwie żeńskich (*laskam, twarzom, niebezpiecznościom*). Jak wiadomo, i te jednak pierwotne formy żeńskie nie utrzymały się w języku, ustępując formom z końcówką pierwotną męską *om*, które, jako nierównie częstszego użycia, wskutek siły asymilacji, zdobyły stanowczą przewagę i w celowniku rzeczowników żeńskich. Działanie asymilacji morfologicznej było tu znacznie ułatwione wskutek przyczyny czysto fonetycznej; już bowiem i sama końcówka żeńska *ám* z *á*, pochyleném brzmieniem swoim zbliżała się do *om*. Takie zatem dwa przyjazne warunki zapewniły zakończeniu *om* wyłączne panowanie w formach celownika liczby mnogiej wszystkich rzeczowników.

Niestuszenie końcówkę *mi* w narzędniku liczby mnogiej rzeczowników męzkich (np.: *końmi*), uważa autor (str. 185) za pożyczoną „z IV deklinacji” (*kośćmi*). Jest ona pierwotną, właściwą rzeczownikom męzkim, z ostatnią tematową twardą, lub miękką, zarówno w ję-

<sup>1)</sup> „*Mikołajewi*,” księgi kość, r. 1408, księ. pyzdr., r. 1429; „*maczewy*,” księ. pozn., r. 1415; „*bartoszewy*,” księ. pyzdr., r. 1428 i w innych u Przyborskiego: *Vetustissima adjectiv. ling. pol. declin.* Gdy już było *Jezusewi* dwanaście lat, Wujek, *Postyl.*, r. 1579, str. 102 i t. d.

zyku polskim (*żydmi, synmi, oraczmi*), jak starostowiańskim (*wolmi, daromi*), staroserbiskim (*synmi, gradmi*)<sup>1)</sup> i innych słowiańskich.

Błędy i niedokładności w nauce deklinacji, znajdujące się w gramatyce z r. 1863, przeniesione zostały i do dzieła obecnego. Jak dawniej, tak i teraz, naucza np., autor, „że w przypadku 1-szym liczby mnogiej, przechodzą niektóre rzeczowniki wzorca 2-go (*pole*), mające w całej liczbie pojedynczej spółgłoskę w ostatniej sylabie miękką, do gromady 1-go wzorca (*dzielo*), stwardzając (?) też spółgłoskę” (str. 189). Jednym z przykładów tego rzekomego prawidła ma być rzeczownik *wesele*, który w mianowniku liczby mnogiej podług autora obu gramatyk „ma *wesola*”<sup>2)</sup>. Nie wiemy, z kąd czerpie autor tego rodzaju przykłady; dla nas bowiem rzeczą jest ogólnie znaną, że mianownik liczby mnogiej od *wesele*, jest *wesela* i żadnego w nim stwardzenia *ł* na *l*, nigdy nie słyszeliśmy. Toż samo z rzeczownikiem *ziela*; od tematu imiennego *ziel*, mamy mianownik liczby mnogiej najprawdopodobniej *ziela*; obok tego zaś od 2-go tematu *ziol*, mamy rzeczownik *ziolo*, z formą dla mianownika liczby mnogiej: *ziola*.

W uwadze o dopełniaczu, czyli 2-im przypadku liczby pojedynczej rzeczowników żeńskich na *ja* (§ 131), naucza autor, że „wyrazy swojskie na *ja*, np.: *szyja, nadzieja*, mają *szyi, nadziei*,” nie troszcząc się bynajmniej, że z zasady ogólnej (*wol-a, wol-i, dusz-a, dusz-y, ławk-a, ławk-i*), wynikają najoczywiściej i od *szyja, nadzieja*, formy dopełniacza: *szyji, nadzieji*. Tym jednak logicznym wynikiem autor naszej gramatyki stara się zapobiedz następującem zwężeniem ostrzeżeniem: „niektórzy piszą *szyji, nadzieji*, zupełnie niepotrzebnie” i każe „odczytać § 37,” który, jak w przeglądzie głosowni poznaliśmy (str. 321), prawdę językową tak pod względem etymologicznym, jak fizyologicznym i fonetycznym, przedstawia w świetle fałszywem.

Tyle ważne przerodzenie się form dopełniacza rzeczowników żeńskich z końcówką *e* (np.: téj *dusze, ziemie*), w miejsce pierwotnego i starostowiańskiego *e*, na formy z końcówką *y, i*, pod wpływem dwu różnych czynników, nader pobieżnie tylko i niedokładnie przedstawia autor na str. 193. Czytelnik żadnego ztąd nie poweźmie wyobrażenia, jak silny i rozległy był tu wpływ deklinacji przymiotnikowej aż do początku XVIII wieku: zdawało się, że powstałe wskutek asymilacji do form przymiotnikowych (*słabéj, prawéj, wielkiéj, taniéj*), formy takie, jak: *osobéj, prawdéj, ustawéj, łaskiéj, roléj, mszéj, paniéj* i t. p., w dopełniaczu rzeczowników żeńskich wyłącznie zapanują. Podobnie

<sup>1)</sup> Formy narzędnika *mi* w serbskim trwały do wieku XVI. Patrz, Daniczić *Istorija oblika srpskoga ili hrvatskoga jezika*. U Biogradu, 1874, str. 113 i następn.

<sup>2)</sup> W Wielkopolsce jest jeszcze dziś w użyciu taka forma na odróżnienie uroczystości weselnych i godów, od pojęcia abstrakcyjnego „wesele,” czyli radość, uciecha.

téż o wpływie asymilacji tych form dopełniacza, na formy celownika i miejscownika pewnych rzeczowników żeńskich (np.: na *wieczerczej*, we *władzrej*), nie masz ani wzmianki.

O rzeczownikach męzkich w téjże deklinacji, zakończonych na *a* (np.: *cieśla*, *kaznodzieja*, *zbójca*), mówi autor, że „deklinują się regularnie *cieśli*, *kaznodziei*, *zbójcy*” i t. p. O ich przeszłości również nie nas historyczna gramatyka nie poucza, a i one, jak wiemy, w dopełniaczu asymilowały się do form żeńskich na *e* (tego *cieśle*...), w której to formie przetrwały do wieku XVII-go (np. u Birkowskiego: wszechmocność *Stwórce* Kaz. 1628, II, 103, pilen był regułki onego opaczego *rządźce*, II, 108 i t. p.).

Prócz tego więcéj niż niedokładnie poucza nas autor, mówiąc, że w dopełniaczu, czyli przypadku 2-im liczby pojedynczej rzeczowników żeńskich, „formy na *e* są rzadsze” (str. 193). Rzeczywiście bowiem formy te na *e* w pomnikach języka polskiego należą do prawdziwych osobliwości. Jeden tylko przykład tego rodzaju posiada Psalterz Floryański, mianowicie w wyrażeniu: *ostrzeży duszō twogey gospodyzn* (Ps. 120, wiersz 7, str. 71) <sup>1)</sup>. Drugi zaś z przywiedzionych przez Miklosiáca (*Vergl. gram.* III, 421) i przez autora przykładów: „*rozumey duszō moiey*” (Ps. 68, 22), jest niewłaściwy. W miejscu tém, zgodnie ze zdaniem prof. Nehringa (*Iter flor.* s. 78), w znaku *o* na końcu wyrazu *duszō*, widziéć trzeba omyłkę przepisywacza zamiast *i* (*duszi*) <sup>2)</sup> i uważać tę formę za celownik, czyli 3-i przypadek <sup>3)</sup>, jakto przy słowie *rozumieć* jest rzeczą zwykłą w staropolszczyźnie <sup>4)</sup>, zgodnie ze starosłowiańskim, czeskim, serbskim i innemi narzeciami słowiańskimi.

<sup>1)</sup> W świeżo wydanym Psalterzu Puławskim (wiek XV) miejsce to mamy w postaci: „*strzesz dusze twoye bog*,” gdzie *dusze twoye* jest dopełniaczem przy słowie *strzec*, podobnie jak to czytamy w następnym zaraz wierszu obu Psalterzów; Psalterz Floryański: „*Pan strzeży weszcza* (introitum) *twego y wyszcza*” (exitum), Ps. 120, 7; tudzież w Psalterzu Puławskim: „*Gospodyzn strzesz weszcza twego y wyszczya twego*,” Ps. 121, 7 i t. p.

<sup>2)</sup> Taki sam błąd mamy w Psalterzu Floryańskim w wyrażeniu: „*od neprzyaczelow rōkō twoiey*,” Ps. 16, 14 (ab inimicis manus tuae), gdzie winno być *ręki*. Miejsce to zaznacza i Kopitar w tekście, jako błędne, dodając *sic*. W Psalterzu Puławskim mamy je poprawione: „*od nyeprzyaczol rēky twoyey*,” Ps. 17, 14.

<sup>3)</sup> Psalterz Puławski ma w tém miejscu zamiast *rozumieć*, słowo *baczyć*, oddaje przeto słowa wulgaty: *intende animae meae*, *πρόσχες τῆ ψυχῆ μου* w przekładzie wierniejszym „*baczy duszę moję*” (Ps. 69, 22), NB. w przedruku homograficznym wydania kórnickiego, głoska *e* w tych dwu wyrazach przekreślona niezbyt wyraźnie.

<sup>4)</sup> W Psalterzu Floryańskim np.: *rozumey glossowi prosby moicy*, Ps. 85, 5; Jan Kochanowski: *kto grze rozumie Szachy*, 85; *á ty też mey rozumioy potrzebie* Marszałek, str. 151; *wiatrom rozumie*, Fraszki, 1612, str. 15 i t. p.

Miklosić przytoczywszy niegdyś w swojej gramatyce porównawczej oba te przykłady (*Formenlehre* z r. 1856, str. 465), omyłki tej nie prostuje i w drugim wydaniu tegoż dzieła z r. 1875 (p. t.: *Wortbildungslehre*, str. 421), pomimo, że w „Składni porównawczej” (*Vergl. syntax der slav. spr.* 1874), na str. 591 przywodzi przykłady z Psalterza Floryańskiego (*rozumięj modlitwie mojej*, Ps. 60, 1)<sup>1)</sup> i z Kochanowskiego na poparcie, że słowo *rozumięć*, wymagało po sobie celownika. Dla dokładności dodać należy, że obok celownika słowo *rozumięć*, używało się również z biernikiem (np. Psalterz Floryański, 77, 1), zupełnie, jak to ma miejsce w dzisiejszym języku.

Co się tyczy innych przykładów dopełniacza na *e*, to tylko forma *duszę*, przytoczona przez Miklosięd dwa razy z Psalterza Kochanowskiego: z r. 1606 i 1610 (*Wortbildungslehre*, str. 421), a przez Małeckiego też sama forma z wydania Psalterza 1606 r., zasługują na jakąś uwagę; kilka zaś pozostałych przykładów, jakie przywodzi Miklosić i Małeczki z Kochanowskiego i Klonowicza, nie mają żadnej wartości, bo są wyciągami z przedruków lipskich (z r. 1835), warszawskich (z r. 1803) i krakowskich (z r. 1829), przepełnionych, jak wiadomo, błędami i najdowolniejszymi zmianami wydań pierwotnych, skutkiem czego przedruki te za źródłowe uważane być nie mogą i do użytku naukowego zgoła są nieprzydatne.

Odmawiając formom z podobnych źródeł znaczenia wiarogodności, uważam natomiast za właściwe podać na tém miejscu przykład formy *duszę*, jaki napotkałem w dziele Baltazara Opecia: *Żywot Jezu Krysta*, z r. 1522, w wyrażeniu: „Będziess miłował pana boga twego ze wssytkiego serca, ze wssytkiey *duszę* y siły twey, a bliźniego twego, iako sam siebie” (list 2-gi, str. odwr. wiersz 7, w egzemplarzu Bibl. głównej, uniwersyt.). Jestto przykład jedyny tej formy w całym dziele Opecia; na innych miejscach formy dopełniacza wyrazów podobnych mają *e*; na tej samej nawet stronie nieco niżej czytamy: „y ze wssytkiey *dusse* y siły” (wiersz 13)<sup>2)</sup>.

Zapatrywania się Małeckiego na istnienie i przeradzanie się form w języku, nie można zawsze nazwać naukowem. W wielu miejscach zdaje się, jak gdyby autor uważał *more antiquo* gramatykę za jakiś kodeks prawodawczy, który na pewne formy języka zezwala, innych zabrania, używanie jednych zaleca jako bezpieczniejsze, aniżeli drugih; na inne znowu zjawiska języka patrzy jak na „intruzy,” lub „antykwerskie błędy,” w innych widzi „nałóg, lub wymysł, dopiero w osta-

<sup>1)</sup> I tutaj wyrażenie wulgaty: *intende orationi meae*, Psalterz Puławski oddaje przez „*haczy modlytwę moję*” (Ps. 61, 1).

<sup>2)</sup> Toż samo w zupełności powiedzieć można i o innych wyżej wspomnianych pomnikach. Psalterz Floryański oprócz jednej formy dopełniacza z zakończeniem nosowem *duszę*, Ps. 120, 7, na innych miejscach posiada formy podobnych rzeczowników z czystem *e*: „*dusze moiey*,” „*dusze swoiey*,” Ps. 7, 2; 9, 23; 10, 6; 15, 10; 37, 12; 39, 19 i t. d.

tnim wieku ukuty" i t. p. Tak np., w § 112 czytamy: „Niekóre wyrazy, np.: *żydzi i żydowie—anieli i aniołowie* i t. p., mają sobie do wyboru dozwolone obydwie końcówki" (str. 176). Na str. zaś 177: „Zdarsza się niekiedy słyszeć i obok *ci mężowie—te męże*, albo obok *ci stróże—te stróże*; najbezpieczniej jednak będzie osobowych rzeczowników, zakończonych w liczbie mnogiej na *e*, np.: *rycerze, ludzie*, a nawet *męże* i *stróże*, nie używać inaczej, jak tylko z zaimkiem *ci, owi, dobrzy* i t. d." Jakkolwiek na str. 203 bardzo słuszną wygłasza autor zasadę: „Co się już w fakt języka zamieniło, tego gramatyka oczywiście nie potrafi odrobić" i stosując do praktyki takie pojmowanie rzeczy, naucza: „mówmyż więc i nadal: *rozkosze, twarze* i t. d." (zamiast form dawniejszych na *y* lub *i*), to jednak dodaje zaraz ostrzeżenie: „Ale przynajmniej nie idźmy dalej (?) i nie myślimy, żeby nam i *wsie, noce, pięście, przepaście, nienawiscie, próżności* i t. d., mówić wolno było" (!). Formy ostatnich rzeczowników: *nienawiscie, próżności*, z końcówką *e*, przynajmniej w języku mieszkańców Wielkopolski i Królestwa Polskiego nie istnieją: słyszymy je powszechnie z zakończeniem *i*. Co się zaś tyczy form rzeczowników: *wsie, noce, pięście*, to zjawienie się ich w języku wywołane jest przyczyną wcale nie mniejszej wagi, aniżeli wytworzenie form: *rozkosze, twarze*, mianowicie siłą asymilacji do form: *straze, lodzie, łecze* i t. p.; przytém są one już tak dalece w mowie ogółu rozpowszechnione, że żadna gramatyka *faktu* tego, podobnie jak i setki innych, „odrobić nie potrafi," pomimo przełożeń i zapewnień z jęj strony, że zarówno „i historia naszego języka i porównawcza gramatyka słowiańska" uczy: „że tu zakończenie *i* jest jedynie właściwem, *e* przeciwnie późniejszym wtętem, któryby rad pierwotne *i* wyprzeć do reszty" (str. 203). Taż sama właśnie historia języka i gramatyka porównawcza dowodnie nas przekonywa, że na wciskaniu się takich „późniejszych wtęto" do form języka, napozór ustalonych, polega cały niemal proces morfologicznych przeobrażeń każdego języka. To téż zapobieganie naturalnym zjawiskom w języku nie jest i nie może być nigdy zadaniem umiejętnęj gramatyki. Skoro tylko jest rzeczą pewną, że pomiędzy istniejącymi w języku dwiema, jak w danym razie, grupami wyrazów: jednę z końcówką *e* i drugię z końcówką *y* (*i*), wynikł spór o pierwszeństwo i przewagę, skoro w dalszym ciągu spór ten zamienił się w istną walkę o byt, w ciągu której, szeregi form *y* coraz się przeredzają, ustępując przed szeregami *e*; to zwyczajto po stronie tych ostatnich łatwe do przewidzenia, w odległej, czy blizkiej przyszłości, nie powinno gramatyka ani smutnemi obawami napełniać, ani téż obudzać w nim chęci odwrócenia niechybnego losu pewnych form, za pomocą zakazów „nie wolno;" praktyczne bowiem znaczenie podobnych zakazów w naturalnym procesie przeobrażania się form językowych równa się głosowi wołającego na puszczy.

Niedokładność historycznych objaśnień w wykładzie form deklinacyjnych języka polskiego w gramatyce Małeckiego spotykamy bardzo często. Opisując bliżej formy żeńskie w bierniku lic. poj. z końców-



ką *ę* i *ą* (*pracę* i *pracą*, *studnię* i *studnią*, *Maryę* i *Maryą*) nie słusznie mówi autor, że „i w Zygmuntofskiej literaturze wielka panuje już chwiejność między jednym zakończeniem a drugim” (str. 195). Historia języka uczy nas inaczej: rzekoma „chwiejność” nie tylko że nie mogła być „wielką,” ale jęj wcale w wieku XVI nie było; przeciwnie, zabytki owoczesne literatury dają nam wielce zgodne świadectwa ogólnej i wyraźnej pod tym względem jedności i „prawidłowości” w ciągu dłuższego nawet okresu aniżeli epoka Zygmuntofska. Nie było zaś owęj chwiejności dlatego, że główna przyczyna, na której się opiera dwoistość form: z zakończeniami *ę* i *ą*, to jest poczucie różnicy dwu *a*: *a* czystego i *á* pochylonego, istniało w języku XVI wieku w całej jeszcze pełni i przetrwało aż po koniec wieku XVII. Dopiero w XVIII wieku ze zniknięciem *á* pochylonego ustaje różnica dwu *a*: rzeczowniki z poprzedniem *á* pochylonem przestają się różnić od rzeczowników z *a* prostém i jednocześnie zaczyna się działanie asymilacji morfologicznej. Formy mające w mianowniku *á* pochylone, a w bierniku *ą*, (*lutnią*, *Maryą*), zaczynają się upodabniać do form z końcówem *a* otwartém, mających w bierniku *ę* (*głowę*, *matkę*). Znaczna liczebna większość tych ostatnich uczyniła wpływ tęj asymilacji tak silnym, że do dziś większość pierwszékategorii rzeczowników, już przybrała ogólną cechę biernika *ę*. Utrzymujące się zaś obok nięj formy z *ą* w bierniku (tę *Maryą*, *opinią* i t. p.) zawdzięczają jeszcze swoje istnienie przeciwdziałającęj tamtemu czynnikowi sile tradycyi językowęj.

O formach żeńskich z zakończeniem *ech* w miejscowniku liczby mnogięj niedokładną podaje autor (na str. 204) wiadomość, jakoby zakończenie to „poprzednio było jedynie właściwém” deklinacji czwartęj t. j. rzeczownikom żeńskim „zakończonym w przyp. pierwszym na jaką spółgłoskę odkrytą” (np. *postać*). Pomniki języka XVI i XVII wieku świadczą, że do form tych asymilowały się i wszystkie żeńskie na *a* z ostatnią tematową twardą (dekl. 2-ga) np. w *szaciech*, w *potrawiech*, na *trąbiech*, na lutniach *y* na inszych instrumenciech (Wujek, Postyl. II, 1584, str. 60 — 65). Niepodobna tu wyliczać wszystkich braków widocznych przy wykładzie form deklinacyjnych w gramatyce Małeckiego. Każdy prawie ustęp wypadałoby poprawiać i nowemi z dzisiejszą nauką zgodnemi objaśnieniami uzupełniać, chcąc z tęj nauki o formach rzeczowników utworzyć wykład umiejętny i z historią języka zgodny. Na tém miejscu dodamy jeszcze, że w cytatach form przytaczanych z pomników języka, požądanąby była większa dokładność. Autor np. wymienia formy dopełniacza l. p. *duszę*, *rusznicę*, dodając w nawiasie „w Klonowiczu.” Ponieważ formy takie, jak powiedzieliśmy, są osobliwością w historii języka; rzeczywiście bowiem znanych jest kilka zaledwie (muie wiadomych 4), dlatego konieczną niemal jest rzeczą dokładne oznaczenie źródła ich pochodzenia. Na str. 176 spotykamy zacytowany z Psalterza flor. „na stolcy twoim” (Ps. 131, 11) błędnie, zamiast na stolcy twojem („na stolcy twogem”); końcówka bowiem *im* (zam. *em*) w miejscowniku jest właściwością dopiero wieku

XV; w XIV zaś wieku było ściśle odróżnianie przypadków: narzędnika (*twojim*) od miejscownika (*twojem*).

Prócz tego, zdanie autora o przeszłości form językowych jest niekiedy wprost sprzeczne z pozytywnymi świadectwami powszechnie znanych pomników. Tak np. twierdzi autor na str. 201, że forma „*krewo* ani teraz ani dawniej z miękkim *w* nie wymawiała się.” I dla nadania stanowczości swemu twierdzeniu, umacnia je uwagę: „niektórzy gramatycy wprawdzie zapewniają, że się *powinna* wymawiać! Może „*powinna*,” ale faktu dotychczas niema.” Autor widocznie wcale się nie troszczył o to, czy orzeczenie jego zgadza się będzie ze źródłami, które nas uczą o przeszłości języka. Dzisiaj, jak wiadomo, wyraz *krewo* wymawiamy ze spółgłoską *w* twardą, przynajmniej takie brzmienie słyszymy w ustach większości mówiących i zgodnie z tem piszemy *w* bez żadnego znaku miękczenia. „Dawniej” jednak było inaczej i „faktów,” dowodzących mylności twierdzenia autora, mamy poddostatkiem. Wyraz *krewo* z miękkim *w*, oznaczonem kręską u góry pośrodku tej głoski, spotykamy w następujących dziełach XVI i XVII w.: w Biblii Radziwiłłowskiej cz. Brzeskiej (1563), w Biblii Leopolicy (1575 i 1577), w Biblii Wujka (1599), w Postylli Wujka (1584), w Oczki Przymiocie (1581), w Skargi Kazaniach (1600), w Skargi Dziejach (1603), Petrycego Polityce Arystotelesa (1604), w Zwierciedle Reja (1568), w Słowniku Volckmara i w Słowniku Balt. Andreae (1605) i wielu innych <sup>1)</sup>. Nikt zapewne nie zechce utrzymywać, by kreska nad spółgłoską *w* w przywiedzionych tu dziełach z różnych drukarń i z różnych miejscowości, drukowana była z innych aniżeli fonetycznych tylko pobudek. Zresztą dla czegożby owo *w* w wyrazie *krewo* nie mogło istnieć w języku polskim, skoro w tymże wyrazie istniało w starostwianśkim (*krwv*), skoro istnieje dotąd w języku rosyjskim (*krrov*), a w dzisiejszej górnołużyckiej formie *krej* (dopełniacz *krw'e* lub *kreje*), oraz w dolnołużyckiej *kszej*, końcowe *j* jest zwyczajnym zastąpieniem miękkiego *w*, podobnie jak we formach; *mużo*j*i*, *syno*j*i*, *Christuso*j*i*, zamiast *mużow*i**, *synow*i**, *Christusow*i**; *prajic*z**, *prajil*, zamiast *praw*ic*z*, *praw*il** i t. p.

W deklinacji zaimka *ji*, *ja*, *je* (str. 215) podaje autor dla mianownika i biernika liczb. pojed. oraz dla mianownika liczb. mnogiej rodzaju męskiego formę *i*, jaka w języku staropolskim nigdy nie istniała. Z pomników języka i z gramatyki porównawczej znana jest tylko forma *ji*, która w zabytkach piśmiennych polskich XIV i XV-go wieku, oddawana jest wszędzie przez *gi* lub *gy* z czeska (jak to autor na str.

<sup>1)</sup> Bibl. Radziw. list 17 v. Ew. Mat. 26, 28; list 29. Mar. 14, 24; list 41 v. Łuk. 13, 1; Jan 6, 54, 55, 56; 19, 34; Bibl. Leop. l. 466, l. 527, l. 527 v., l. 622 v. l. 648 v.; Bibl. Wujka str. 89, st. 810, st. 1149, 1123, 1427, 1208, 1241, 1263; Post. Wujka st. 61, st. 204, 376 dwa razy, 377 dwa razy; Oeko st. 1, 2, 6, 29, 397; Skar. Kaz. st. 2, 58, 62, 62 v., 64, 65, 65 v.; Skar. Dzieje st. 678, 708; Petrycy st. 231; Rej Zwyciędło, l. 8 v. 2 razy; Volckm., Diction. trium linguarum etc. Dantisci, str. 843: „sanguis, inis, blut, *krewo*.” Dict. pars altera B. Andreae ark. J. „*krewo*, sanguis, cruor” i w. i.

217 przyznaje), gdzie *g* znaczyło wówczas *j* [zarówno jak np. we formach: *gich*=jich, *gemu*=jemu, *gim*=jim, *nadzegi*=nadzeji, *zmiigi*=zmiji, *ukogil ies*=ukojil ieś i t. p.]; w drukach zaś XVI-go wieku biernik liczb. pojed. tego zaimka oddawano bądź także przez *gi* lub *gy*, bądź też przez *ü*, *iy*, lub *ji*. Ostatecznie, w drugiej połowie XVI-go wieku miejsce biernika *ji* zajął wyraz *go*, będący skróconą formą dopełniacza liczb. pojed. (*jego*) tegoż zaimka.

Mylnie też autor naucza, że w wymawianiu pomiędzy spójnikiem *i* a zaimkiem *ji* nie było różnicy, że „owszem jesto ten sam wyraz, chociaż ma różne znaczenie” (str. 217). Skoro zachodzi między temi wyrazami różnica etymologiczna, skoro w pomnikach przez trzy wieki, t. j. przez całą epokę piśmienną istnienia zaimka *ji* w naszym języku zachowywano stale i różnicę graficzną, to nie mamy żadnej logicznej podstawy twierdzić, że między spójnikiem *i* a zaimkiem *ji* fonetycznej różnicy nie było. To też zamykające naukę autora orzeczenie, że wyraz *ji* „brzmi, brzmiał i zawsze brzmieć będzie i” jest twierdzeniem naukowo nieuzasadnionem. Najprzód, skoro zaimek *ji* nie istnieje w dzisiejszym języku, tém samém też nie „brzmi;” 2) dla téjże przyczyny „zawsze brzmieć” nie „będzie i,” bo o przyszłych losach rzeczy nieistniejącej prawić nie przystoi; że zaś 3) zaimek *ji* „brzmiał” inaczej, aniżeli *i*, na to, oprócz dowodów fizyologicznych, gramatycznych i logicznych, widocznych w całej deklinacji tego zaimka, mamy świadectwa pozytywne w drukach XVI-go wieku, gdzie obok formy dawniej *gi* lub *gy* spotyka się naprzemian, jak wyżej powiedziałem: *iz*, *iy* lub wyraźną formę *ji*, o czém autor w swoich uwagach przemilczał; spójnik zaś *i* zawsze przez *y*, nigdy w postaci *ji* nie był pisany. Oto kilka świadectw z druków Łazarzowych, uważanych słusznie za najstarsze:

W *Biblii Wujka* z r. 1599 znajdujemy: I będzie łuk ná obłokach y uyrzę *ji* str. 11 (*Gen.* 9, 16); Człowiek iesli szlubi dóm swój y poświęci panu, ogląda *ji* káplan..., lecz iesli ten który szlubik będzie *ji* chciał od kupić... str. 137 w. 14 i 15; y walczył przeciw niemu: wziął *ji*, y pobik; wróciwszy sie do Dabir, wziął *ji* y zburzył, str. 227 <sup>1)</sup>; nie będę pił dotychmiast z tego owocu winny májce, aż do dnia onógo gdy *ji* będę pił z wami nowy... str. 1149; mogę zepsować kościół boży, á po trzech

<sup>1)</sup> W *Biblii Radziwiłłowskiéj* z r. 1563 odpowiednie miejsca zawierają formy *gi* lub *go*: ..tedy *gi* (dom) ma oszácować káplan, list. 74 v; zbudować *gi* (kościół), list. 18, N. T.; kto ma mieszek, niechże *go* weźmie, list. 47 v. i t. d.

W *Biblii Bulnego* cz. Nieświeżkiéj z r. 1572 spotykamy: *iy* lub *go*: y będzie łuk ná obłoku, y uyrzę *iy*, ábym wspomniał przymierze... list 5; Zás mąsz gdyby poświęcił dom swoj zá święty Jehowie, oszácucie *iy* ofiárownik... á iáko *iy* oszácucie ofiárownik, list 71 v; á zá trzy dni *go* (kościół) zbudować, list. 18 v. N. T. i t. d.

dniach zasię *ii* zbudować, str. 150 w. 61 <sup>1)</sup>; Tak Pan Christus... testáment nowy zaczyna y poświęca *ii* y potwierdza krwią swoią, str. 1223 w przypisach; i t. p.

W *Statutach* wydania Januszowskiego z r. 1600, z „architypo-graphiiéy Kró. J. M. Kázárzowey” spotykamy również: Konrad u Dominiká upominał sie domu y chciał *ji* mieć, str. 625; y da iemu sąd list przezyskow odsyłaiać *ji...* (et dabit iudicium sibi literas per lucrorum remittendo ipsum etc.) str. 669 n. 6; tedy ma urząd puścić, a potym my damy *ji* komu będziemy chcieli, str. 677 i t. d.

Sądzę, że przykłady te, wyjęte z druków XVI-go wieku wystarczają dla przekonania się, że forma biernika zaimka *ji* w staropolskim nie jest to „ten sam wyraz,” co i spójnik *i*, oraz, że brzmienie, tego zaimka składało się z dwu elementów. spółgłoski *j*, wymówionéj łącznie ze samogłoską *i*, skoro w ciągu trzech wieków istnienia w języku tego zaimka starano się w piśmie i druku obie te części wyrażać zawsze dwoma znakami graficznymi, gdy tymczasem spójnik *i* oddawano stale pojedynczym znakiem *y*.

Autor jednak, odwróciwszy oczy od tak oczywistych i niewzruszonych świadectw historycznych istnienia formy *ji* dla biernika liczby pojed., i ignorując uparcie znane odnośne fakty w innych językach słowiańskich, nie waha się w swojej gramatyce historyczno-porównawczej naprzekór prawdzie orzekać, że „pustą tylko jest gadaniną, jakoby ów staropolski accus. sing. *gi* albo *gy* przez to *g* miał dowodzić egzystencji joty w téj formie” (str. 461, przypis). Stosownie téż do swego uporczywego widzimisie, że zgłoska *ji* niemożliwa jest w języku, że zatem pisownia form tego zaimka „przez *ji* np. *jich*, *jim*, *jimi* i t. d. ani w naszym, ani w jakim bądź języku niema żadnego sensu” [str. 461], autor, przywołując przykłady z zabytków języka XIV i XV-go wieku, znak graficzny téj *j*, jako *niemający sensu* wszędzie kasuje. I tak: na str. 215 podaje przykład celownika liczby podwójnej z *Zabytku gnieźnińskiego* (str. 35) *ima*, gdy woryginale wyraz ten znajdujemy w postaci *gyma* t. j. *jima*, gdyż w podobnych wyrazach stale owo *g* znaczy *j*, jak np. tuż obok: „gdis szó *gest gim* byl szin narodzil tedy wóczy ony szó *gy* bily do skoly dali” (gdyż się *jest jim* był syn narodził, tedy więc oni są *ji* byli do szkoły dali); lub: *gego* oczecz; świętemu *ganu* (=jego oćec; świętemu *janu*) i t. p. Podobnie cytuje Małeckci z *Psalterza floryańskiego*: *oczyma moima*, *plecoma swoima*, *oczy moi*, *w ręce*

W *Biblii Leopolicy* z r. 1575 i 1577: y uyrzrę *go* (łuk) str. 6, ogląda *gi* káplan, s. 75, dobył *go* st. 125 v.; we trzech dniach zasię *gi* zbudować st. 623. To ostatnie miejsce w wydaniu 1-szém téjże biblii z r. 1561 ma formę *ij* (Mat. 26, 61).

<sup>1)</sup> Osobliwsza, iż *późniejsze* niektóre przedruki Nowego Testam. Wujka mają na miejscu *ji* formę *gi*. Np. wydanie krakowskie Piotrkowczyka z r. 1647: a po trzech dniach zasię *gi* zbudować st. 103; gdy *gi* będę pił i t. d.

*twoi* (nb. nie oznaczając bliżej ani psalmu, ani stronicy pomnika), gdy tymczasem w pomniku samym formy te znajdujemy w postaci: *przed oczima mogima* (=mojima) Ps. 100, 4; *pleczoma swogima* (=plecoma swojima) Ps. 90, 4; *przed oczima twogima*, Ps. 89, 4; *oczi mogi* (=moji), Ps. 76, 4 i 87, 9; w rōcze *twogi* gospodne poleczam duch moy, Ps. 30, 6; *oczi twogi*, Ps. 16, 3; *sōdowe twogi*, Ps. 9, 26 i t. p., gdzie oczywiście *g* znaczy *j*, jak *i* w innych wyrazach: *w nadziegi* 77, 58, *na zmigi* y na basiliszku 90, 13, *uktogil* ies gniew 84, 3 i 93, 14, w sercu lichoty *strogicze* 57, 2, plagi *gich*, przeciw *gim* 63, 8, i w tysiącu podobnych, w każdym niemal wierszu tego pomnika; i taki właśnie sposób pisania właściwy jest wszystkim bez wyjątku zażytkom piśmiennym XIV i XV-go wieku. U takiego filologa jak p. Małecki, wykształconego w szkole jaknajskrupulatniejszych pod względem tekstu filologów niemieckich, nie spodziewaliśmy się takiej niedokładności w przywodzeniu źródeł, która dla udowodnienia swojej nieuzasadnionej imprezy nadweryża autentyczność form i tekstu.

W uwagach autora, dotyczących pewnych form zaimkowych natytkamy również objaśnienia bądź niedokładne, bądź z prawdą niezgodne. Tak np. formy *zań* (za niego), *weń* (w niego) i t. p. podług autora są to „dzisiejsze nasze wyrażenia” (str. 217), gdy tymczasem powstanie ich poprzedza znacznie epokę piśmienniczą języka polskiego, a przykłady form podobnych znajdujemy już w najdawniejszym pomniku z wieku XIV-go, w Psalterzu Floryańskim (np. Ps. 27, 9; 33, 8; 33, 22; 36, 12; 36, 5; 108, 16...).

Sposób powstania tych form wytkōmaczony i na tēm miejscu niedokładnie i błędnie, jak to w przeglądzie głosowni wykazaliśmy (na str. 324). Dodaje przytēm autor, że „przyzwyczajwszy się do powyższych form skróconych, mówimy teraz podobnie i wtedy, kiedy przyimek nie 4-tym przypadkiem, lecz 2-gim rżdzi, jak np. *dlań*, *doń*, *zeń*, zamiast *dla niego*, *do niego*, *z niego*. To uchodzi.” Dalej zaś zaraz objaśnia: „Nie wynika ztąd jednak, żeby można mówić i w liczbie mnogiej *weń*, *zań* i t. p. zamiast *w nich*, *za nich*; albo tēż w rodzaju żeńskim, jak się to czasem zdarza słyścić i czytać: *zań* zamiast *za niq*, *weń* zamiast *w niq*, albo zgoła *dlań* zamiast *dla niej*,” ostrzegając, że „takie wyrażenia są błędem przeciwnym gramatyce.” Taki sposób widzenia rzeczy grzeszy widoczną niekonsekwencją, i naukowym nazwać się nie może. Jeżeli bowiem fakty nieodwołalne w języku skłaniają nas do przyznania, że „uchodzi” używać wyrażeń *dlań*, *doń* zamiast *dla niego*, *do niego*..., to nie mamy wcale podstawy uważać za „błędy” wyrażeń: *weń* zamiast *w nich*, *dlań* zamiast *dla niej*... Przepuszczając działanie asymilacyi w pewnych formach liczby pojedynczej, nie słuszną jest rzeczą jednocześnie ostrzegać, że rozszerzenie się wpływu tōjże asymilacyi na liczbę mnogą w tych samych warunkach da początek „błędom przeciwnym gramatyce.” Niezgodne to przynajmniej z tą ogólną prawdą, że tēż same przyczyny przy jednych i tych samych warunkach zdolne są wywołać jednakowe skutki. (d. n.).

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Sierpień 1880 r.*— Walne zebranie Towarzystwa naukowego w Toruniu odbyło się pod przewodnictwem p. Ignacego Łyskowskiego, w sali Muzeum tegoż Towarzystwa, w dniu 20 z. m. Wydziały teologiczny i archeologiczny odbywały regularnie swoje posiedzenia; tylko przyrodniczo-lekarski nie mógł się regularnie zbierać, z powodu, że członkowie jego, przeważnie lekarze, daleko po miasteczkach pracujący, nie mogli głównych obowiązków swoich często opuszczać. Po przyjęciu nowych członków, doręczył p. prezes obecnym drugi tom *Roczników Towarzystwa*, w którym zwraca na siebie uwagę rozprawa ks. Kujota: *O majątkach biskupich na morzu*. Dalej opowiedział przewodniczący o zabiegach swoich u ministra spraw wewnętrznych względem uwolnienia Towarzystwa, jako czysto naukowego, od dozoru policyi. Pan Łyskowski przedstawił ministrowi w jak wyjątkowy sposób, władze miejscowe traktują Towarzystwo naukowe w Toruniu, ręczył za czysto naukowe dążności Towarzystwa, które samo czuwa pilnie z własnego interesu społecznego, aby nie zbroczyć z czysto naukowej drogi. Minister uznał to, wszelako kontroli usunąć nie chciał, tłumacząc się tem głównie, że gdy najwyższy sąd administracyjny przyznał Polakom prawo używania na zgromadzeniach języka polskiego, rząd jest zmuszony trzymać osobnych do tego urzędników i przez nich zasięgać informacji o postępowaniu towarzystw. Na wzmiankę, że dążność polskich mieszkańców ogranicza się na pielęgnowaniu i rozwijaniu narodowości swojej, odpowiedział minister, że dążność taką rząd szanuje i zapory jej nie stawia, gdyż nie chodzi mu o wygubienie polskości, ale tylko o to, aby Polacy i po niemiecku rozumieli. Sprawozdanie specjalne mówi o powiększeniu się i o obecnym stanie zbiorów. Dalej referuje sekretarz Towarzystwa dr. Różycki o wystaniu na wystawę antropologiczną do Berlina okazów archeologicznych, a to na zaproszenie tak komitetu jak i ministryum oświecenia. Wreszcie ks. Kujot zdawał sprawę z jubileuszu Długoszewego w Krakowie, podnosząc głównie te momenta, które, jako wskazówka dla prac naukowych Towarzystwa

przydać się mogą. Ze względu na to, że Akademia krakowska postawiła sobie za zadanie zebrania zabytków dyplomatycznych z polityki gabinetowej i międzynarodowych Polski stosunków; pozostaje jeszcze drugą część zadania, niemniej ważna dla historii, do spełnienia, mianowicie zebranie drobnych kamyczków na złożenie domowego i społecznego życia obrazu z naszej przeszłości. Do takich prac nie tyle brak pracowników, ile brak organu, w którymby tego rodzaju prace drukować się mogły. Ks. Kujot uważa tedy Towarzystwo naukowe w Toruniu za najodpowiedniejszy do tego organ, twierdząc, że Towarzystwo toruńskie powinno się zająć tém, co leży poza sferą zadania Akademii. Członkowie Towarzystwa powinni zebrać z akt miejskich, familijnych, klasztornych i kościelnych zabytki i dokumenta, aby wykazać narodowościowe i językowe stosunki w ziemiach naszych i dopełnić w małym i ku stronie społecznej, rodzinnej tego, co w pracach Akademii w wielkich zarysach z dyplomatycznych stosunków i dokumentów ułoży się i zarysuje. Dr. Donimirski popiera myśl ks. Kujota, jako bardzo trafną i radzi systematycznie w tém postępować, robiąc propozycją, aby zarząd obmyślił ku temu drogi i plan takiej pracy złożył przyszłemu walnemu zebraniu. W interesie nauki dziejów naszych życzyć należy, aby pogląd ks. Kujoty, ujęty w ramy pewnego metodologicznego planu przy tego rodzaju publikacjach, wszedł jaknajprędzej w życie, i dostarczył nam w przejrzystych rejestrach źródeł, które dotychczas chociaż niektóre po czasopismach drukowane, są dla nauki dziejów zupełnie stracone. Nie wątpimy o tém, że Towarzystwo naukowe toruńskie zrobi rzecz użyteczną i praktyczną.

— Gobeliny katedry krakowskiej. Kiedy w Paryżu pp. Guifrey, Müntz i Pinchart kończą rozpoczętą w r. 1878 wspaniałą publikacją: *Histoire Générale de la Tapisserie*, a watykańskie tego rodzaju zabytki wydaje w Rzymie p. Gentili; ukazuje się i w Krakowie album pod tytułem *Gobeliny katedry na Wawelu*. Wydawca ks. J. Polkowski dał w niem 18 fotografii, *in folio* (roboty J. Kriegera), przedstawiających 8 gobelinów z scenami z historii Jakóba Patryarchy, kilka z *Iliady*, nadto kilka z herbami biskupów Zadzika i Trzebieckiego. Wydanie piękne, tylko w 25 egzemplarzach odbite.

Autor prostując błędne podania o pochodzeniu tych zabytków, powtarzane w opisach Krakowa, dowodzi, że gobeliny z scenami z dziejów Jakóba (z podpisem van Zevnen) są brukselskie, z daru biskupa Małachowskiego, jeden wyobrażający ofiarę Abła i dwa z herbem Korab, z przekazu biskupa Zadzika; inne z wyobrażeniami z *Iliady*, darowane kościołowi przez biskupa Gębickiego, wreszcie ostatnie z pejzażami, dał katedrze biskup Trzebiecki.

Ma Wawel razem gobelinów 26, a więc jeszcze tyle, że ścian nie starczy na ich rozpięcie.

Uzupełnia ks. kan. Polkowski objaśnienia fotografii, wypisami z inwentarzów kapitulnych, dającymi wyobrażenie o bogactwach, jakie z téj kategorii zabytków miała niegdyś katedra.

Jeśli nas wielce cieszy publikacja ks. kan. Polkowskiego, to nie mniejsza należy wdzięczność jemu i kapitule za to, że te cenne zabytki są dziś zrestaurowane znacznym nakładem i pracą, a umieszczone bezpiecznie.

Gdy publikacyami, jak niniejsza, hipotekuje się niejako w pamięci narodu to, co jego skarbcze posiadają; nasuwa się więc myśl, czy nie byłoby dobrze, aby wydawnictwo ks. Polkowskiego uważać za dopiero zaczęte.

Nawet katedra, oprócz tych opon z herbami biskupów Trzebieckiego i Zadzika, ma jeszcze ornat gobelinowy, sprawiony przez ks. biskupa Andrzeja Zaluskiego, bardzo prawdopodobnie wykonany w owéj warszawskiéj fabryce (istniejącej w połowie XVIII wieku), z którój także ornaty płocki kościół posiada.

Są gobeliny dla Polski robione za granicą, jak ów z herbami książąt Czetwertyńskich i Olizarów, będący w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, lub inny w Zakładzie Ossolińskich, przedstawiający *Bitwę pod Mozyrem* Michała ks. Radziwiłła z hajdamakami. Kościół św. Floryana w Krakowie ma gobelin z herbami Korycińskich, nie tak utrzymywany, jak wartością swoją na to zasługuje. Ten i inne, jakie były na wystawie starożytności, urządzonej w Krakowie w r. 1858, opisuje Jan hr. Załuski w rozprawie swojej o arrasach i gobelinach, ogłoszonej w XXVII tomie *Rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego*.

Niem mało tego rodzaju zabytków w kraju. Są w kościele N. M. Panny w Krakowie. Pyszny arras z XV wieku posiada kościół Ś. Katarzyny na Kazimierzu. Ma gobeliny katedra wrocławska. Te, co były w katedrze lwowskiej, posiadają podobno hr. Gołuchowscy w Skale. Są gobeliny w Willanowie, są w Gumniskach, w Kórniku, w Przeworsku; mają je hr. Potoccy, ks. Czartoryscy, hr. Mieroszowscy, Konopkowie, hr. Tarnowscy, Hallerowie, hr. Moszyńscy (stołki gobelinami obite), Chwalibogowie (w Grojcu), i zapewne innych wiele. Znajdą się może i tam, gdzie ich wartości nie znają.

Za granicą znalazłyby się także związek z nami mające. Niedawno czytałem w Brzozowskiego notatkach z podróży po Szwecyi (*Kronika Rodzinna*, 1878 r.), że w zamku Skokloster są jeszcze gobeliny (z r. 1645) z herbami polskimi. Opisuje je Tyszkiewicz (*Listy o Szwecyi* t. I, str. 101).

O owych przesławnych gobelinach, zwanych „Potopem,” począwszy od Stanisława Orzechowskiego pisano wiele; opowiadając, jak sprawione przez Zygmunta Augusta, zastawiane bywały w Rzymie, w Gdańsku i guzieindziej. Ciampi (*Viaggio in Polonia*, Firenze, 1831 r., str. 16) szuka ich w Dreźnie. Cytaty wzmianek o tym utopionym „Potopie” są w A. Grabowskiego *Ojczystych wspominkach*



(t. I, str. 238). Pisał o nim E. Rastawiecki (w *Bibl. Warsz.* 1853 r., t. I, str. 134). Lucyan Siemieński na jedném z posiedzeń Akademii podnosił tę sprawę, wskazując konieczność szukania, gdzie się owe gobeliny podziały, a wróżąc możność ich znalezienia. Nie pomnę, w jakim czasopiśmie drukował ś. p. Lucyan rozprawę swoją w tym przedmiocie.

Więc gdyby się o gobelinach u nas pisało, oprócz katalogów, wystaw i zbiorów, znajdzie się i w literaturze nieco o téj rzeczy. Cóż dopiero w archiwach kościelnych, w których ks. kanonik Polkowski tak wybornie umie i chce poszukiwać?

Zebranie tedy materiału, rzecz dla wydawcy *Albumu gobelinów katedry krakowskiej* bardzo łatwa; ależ... zarówno gobeliny, jak wydawnictwo ilustrowanych o nich publikacji, to kategorie luksusowe. Paryzkie wydanie, o którym wspomnieliśmy (jeszcze nie skończone) kosztuje około 150 złr., zaś na egzemplarz watykańskiego Albumu Gentilego, nałożył wydawca cenę 200 franków. Tak kosztowne są te edycje, chociaż rzymskie wydawnictwo popiera papież, a francuzkie pomaga sobie tém, że posiadacze gobelinów fotografowanych, w znacznej części do kosztów nakładu się przyczyniają.

Jeśliby więc nie można było myśleć o dalszym ciągu publikacji ks. Polkowskiego, to wykonanie spisu (rodzaju inwentarza czy katalogu) i opisu arrasów i gobelinów, jakie są w Polsce, i dla nas i dla zagranicy byłoby potrzebne. Bez tego nawet dzieło p. Guilffrey'a nie będzie zupełne, chociaż się pokusiło o dokładność. *Łepkowski.*

— Muzeum narodowe w Peszcie, otrzymało temi dniami w darze zabytek starożytny wielkiej historycznej wartości, pamiątkę po słynnym bohaterze, szablę króla polskiego Jana III. Szablę tę darowała muzeum węgierskiemu hrabina Teresa Erdödy-Raczyńska, ze zbiorów broni swego męża, byłego gubernatora w Fiume. Brzeszczot téj szabli kuty jest z prawdziwej damasceńskiej stali, ma kształt i rozmiary nadzwyczaj proporcjonalne i ozdobiony jest po obu stronach złotemi napisami, a mianowicie po jednej: „C a v e a f a l s i s a m i c i s, s a l v a b o t e a b i n i m i c i s,” a po drugiej: „H a e c m e t a l a b o r u m.” Przy jelicu na brzeszczocie znajduje się herb Sobieskich nabijany złotem. Jelec pospołu z obłąkiem zrobiony jest ze szczerego złota i odznacza się bardzo misterną ornamentacją. Niezwykłą wartość dodaje rękojeści jój główka rznęta z czystego kryształu, osypana 27 brylantami, z wizerunkiem króla na koniu. Drogocenny ten zabytek umieszczony będzie w muzeum węgierskiem w osobnej szafie.

— Katedra kolońska, której kamień węgielny położono przed 632 laty, mianowicie 14 sierpnia 1248 roku, już jest obecnie w zupełności ukończona. Robotami kierował budowniczy téj świątyni, Voigtel z Kolonii. Dnia 14 sierpnia 1880 roku, o godzinie 10 rano, osadzono na wierzchołku olbrzymiej wieży ostatni kamień wieńczący całe dzieło i wnet potem wywieszono na obu wieżach chorągwie, dały znać

o t $\acute{e}$ m  $\acute{s}$ wiatu. Dzienniki protestanckie, a nawet narodowo-liberalne, z wielk $\acute{a}$  radośc $\acute{a}$  i dum $\acute{a}$  zwiastuj $\acute{a}$  uko $\acute{n}$ czenie  $\acute{s}$ wi $\acute{a}$ tyni katolickiej w Kolonii. W „dumnym jej majestacie” widz $\acute{a}$   $\acute{s}$ wiadcetwo „ofiarnosci i jedno $\acute{s}$ ci Niemiec.”

— Warszawski Instytut g $\acute{l}$ uchoniemych i ociemnia $\acute{y}$ ch b $\acute{e}$ dzie m $\acute{o}$ g $\acute{l}$  teraz rozwin $\acute{a}$ c obszerniej sw $\acute{a}$  dzia $\acute{l}$ alnosc $\acute{e}$ , dzieki utworzeniu oddzia $\acute{l}$ ow paralelnych, kt $\acute{o}$ re otwarte zostaly w domu po-augustyanskim przy ulicy Piwn $\acute{e}$ j. Zatwierdzona Najwyzszej instrukcyja dla nich obejmuje nast $\acute{e}$ puj $\acute{a}$ c $\acute{e}$  gl $\acute{o$ wne przepisy: oddzia $\acute{l}$ ya paralelne przy warszawskim Instytucie g $\acute{l}$ uchoniemych i ociemnia $\acute{y}$ ch, maj $\acute{a}$  na celu zapewnienie g $\acute{l}$ uchoniemy $\acute{m}$  dzieciom rodzic $\acute{o}$ w, zamieszka $\acute{y}$ ch w Warszawie, religijno-moralnego i rzemie $\acute{s$ lniczego wychowania. Przyjmuj $\acute{a}$  si $\acute{e}$  do nich wy $\acute{l}$ acznie uczniowie i uczennice przychodni, wedlug prawide $\acute{l}$  wskazanych dla Instytutu. Oddzia $\acute{l}$ ya paralelne maj $\acute{a}$  obejmow $\acute{a}$ c trzy ni $\acute{z$ sze klasy. Wydatki coroczne na ich utrzymanie pokrywane b $\acute{e}$ d $\acute{a}$ : a) z p $\acute{l$ aconej przez magistrat m. Warszawy sumy rs. 500; b) z takiej sumy rs. 500 p $\acute{l$ aconej przez rad $\acute{e}$  miejsk $\acute{a}$  warszawskiej Dobroczynnosci publicznej, za wychowanc $\acute{o}$ w pochodz $\acute{a}$ cych ze szpitala Dzieciatka Jezus; c) z p $\acute{l$ at od uczni $\acute{o}$ w; d) z fundusz $\acute{o}$ w instytutu w rodzaju pomocy; wysoko $\acute{s}$ c $\acute{e}$  za $\acute{s}$  tej pomocy ma oznacz $\acute{a}$ c kurator okr $\acute{e}$ gu naukowego na wniosek komitetu gospodarczego tego $\acute{z}$  Instytutu. Nauczycieli i nauczycielki oddzia $\acute{l}$ ow paralelnych mianuje, oraz wysoko $\acute{s}$ c $\acute{e}$  p $\acute{l$ acy oznacza kurator okr $\acute{e}$ gu naukowego warszawskiego na przedstawienie dyrektora Instytutu. Maj $\acute{a}$  oni korzysta $\acute{c}$  ze wszelkich praw i przywilej $\acute{o}$ w s $\acute{l}$ u $\acute{z$ bowych, oraz z praw emerytalnych na r $\acute{o$ wni z etatowymi nauczycielami warszawskiego Instytutu g $\acute{l}$ uchoniemych i ociemnia $\acute{y}$ ch. Kwestye tyzcz $\acute{a}$ c si $\acute{e}$  oddzia $\acute{l}$ ow paralelnych roztr $\acute{z}$ asane b $\acute{e}$ d $\acute{a}$  na posiedzeniach rady pedagogicznej Instytutu przy wsp $\acute{o}$ ludziale nauczycieli i nauczycielek oddzia $\acute{l}$ ow. Nauczycielem tej filii Instytutu mianowany zostal p. Michalski, dotychczasowy gorliwy i zdolny pedagog w Instytucie.

— Uroczystosci na cz $\acute{e}$ st Nordenskj $\acute{o}$ ld'a, odbywane w Sztokholmie po powrocie  $\acute{s}$ miatego podr $\acute{o$ znika z wyprawy, w kt $\acute{o$ rej pierwszy oplynal ziemie przez Ocean Lodowaty i jego cie $\acute{s$ ni $\acute{n}$ y, wywo $\acute{l}$ aly ksiazke polsk $\acute{a}$ , zawieraj $\acute{a}$ c opis owego niezwyklego  $\acute{s}$ wi $\acute{e}$ ta. Ksiazka pieknie odbita w Poznaniu drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W $\acute{l}$ .  $\acute{L}$ ebniskiego), nosi tytu $\acute{l}$ : Wjazd uroczysty i przyjecie profesora Nordenskj $\acute{o}$ ld'a w Sztokholmie. Autorem jej jest Wawrzyniec hr. Benzelstjerna-Engestr $\acute{o}$ m, kt $\acute{o$ rego liczne prace od lat juz dwudziestu zaznajomij $\acute{a}$  publicznos $\acute{c}$  polsk $\acute{a}$  z literatur $\acute{a}$  i zyciem p $\acute{o$ lwyspu skandynawskiego. Ksiazka odbita w bardzo szczuplej liczbie egzemplarzy i niepuszczona w handel ksi $\acute{e}$ garski, zawiera wiele interesuj $\acute{a}$ c $\acute{y}$  opis wszystkiego, co si $\acute{e}$  dzialo w $\acute{s}$ rod Szwed $\acute{o}$ w, przejetych zapa $\acute{l}$ em na widok tryumfalnego powrotu Vegi, wyzwolonej z osmiomiesiecznego w $\acute{i}$ zienia w $\acute{s}$ rod lod $\acute{o}$ w u p $\acute{o$ lnocnych brzeg $\acute{o}$ w Syberyi. Opis za $\acute{s}$  samej podr $\acute{o$ zy, poczynionych w niej odkryc naukowych, wycierpianych niezwyklych przygod i nareszcie od-

niesionego tryumfu, wkrótce ma się ukazać jednocześnie w oryginale szwedzkim Nordenskiölda, oraz w przekładach na najważniejsze języki europejskie. *Gazeta Warszawska*, podając powyższą relacją donosi, że znakomity podróżnik proponuje przez pośrednictwo p. Engeströma przetłómaczenie jego dzieła także na język polski, aby wyjść mogło jednocześnie z oryginałem i innymi przekładami. Za prawo przekładu w warunkach wyjątkowych, prócz zwrotu kosztów, uczony szwedzki nic nie wymaga, gotowe zaś klisze rycin ustępuje bajecznie tanio. W tak dogodnych warunkach powinna by którakolwiek poważna firma księgarska polska, podjąć się ogłoszenia dzieła tak zaciekającego swą treścią, a więc i mogącego liczyć na pokup. (*Gaz. War.*)

— W końcu zeszłego miesiąca wyszło z druku dzieło pedagogiczne, głośnego filozofa angielskiego, w przekładzie polskim, Aleksandra Bain, prof. logiki przy uniwersytecie w Aberdeen, p. t.: *Nauka wychowania*, przekład z angielskiego, pomnożony rozdziałem: *O wykładzie języka polskiego*. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1880, str. IV i 568. Poważna ta praca zasługuje ze wszech miar na gruntowniejsze krytyczne sprawozdanie, którego *Biblioteka* nieomieszka czytelnikom swoim przedstawić.

— Ignacy Skrochowski wydał rozprawę pod tytułem: *O wiedzy ludzkiej*; 1880 r.

— *Encyklopedyi wychowawczej*, wydawanéj pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przyszańskiego i J. K. Plebańskiego, wyszedł z druku tomu pierwszego zeszyt trzeci i zawiera następujące artykuły: *Akademie sztuk pięknych* (dokończenie), A. Zaleskiego i W. G.; *Aleksandryjska szkoła katechetów*, przez J. K. P.; *Algebra*, przez Wł. G.; *Alkuin*, przez J. K. P.; *Ambicya*, przez J. O.; *Ameryka Północna*, przez E. St.; *Ameryka Południowa* (początek).

— W oddzielnej odbitce z *Gazety sądowej*, wydana została rozprawa *O przymusowem i bezpłatnem nauczaniu w szkołach początkowych*, zestawil (!) Stanisław Bełza; druk J. Noskowskiego, 1880, str. 47, w 12-ce. Czytamy tu nieco wiadomości o istniejących przepisach prawodawstwa o nauczaniu początkowem i pobieżny przegląd zdań kilku teoretyków o tak zwanym przymusie szkolnym. Autor przemawia bardzo gorąco za przepisaniem przez władzę państwową obowiązku powszechnego posyłania dzieci do szkoły, opierając ten obowiązek na ogólnych zasadach prawa i stanowisku państwa. Krytyka autora przeciwnych w tej sprawie poglądów jest za słaba, bo autor nie ogarnął wszechstronnie sprawy tak ogólnego znaczenia: stosunek szkoły do Kościoła, do państwa i do gminy nie jest dokładnie wyłożony; a w tém mieszczą się właśnie najważniejsze trudności w rozwiązywaniu tej kwestyi. Stanowisko Bluntschli'ego uznającego opiekuńczy stosunek państwa do obywateli w sferach interesów kościelnych i szkolnych, nie da ściśle się utrzymać w powszednim biegu interesów; a w dalszej konsekwencji obarczyłoby państwo tak uciążliwemi obowiązkami, żeby się nigdy z nich wywiązać nie mogło. Słusznie zauważyła także *Gazeta*

*Polska*, że żądanie autora obok przymusowego, zarazem płatnego nauczania, nie da się w praktyce pogodzić z powszechnym obowiązkiem nauczania.

— Dowiadujemy się, że na wzór *Wiadomości archeologicznych*, których poszytów kilka wyszło, mają wyjść *Wiadomości z historii naturalnej*, zawierające prace naszych naturalistów, a mianowicie Cientkowskiego, Dybowskiego, Taczanowskiego, Strasburgera, Sznabla i i. Wydanie tego zbioru da uczonym naszym możność w krajowej publikacji ogłosić poważne prace swoje, nie rozpraszać ich po pismach zagranicznych, nie zawsze dla nas dostępnych.

— W ostatnich dniach bieżącego miesiąca wyszło zapowiadane już od niejakiego czasu dzieło prof. Józefa Szujskiego p. t.: *Historji polskiej, treściwie opowiedzianej, ksiąg dwanaście*. Warszawa, druk J. Bergera, 1880, 8 w., str. VI, 429. Sama opowieść kończy się na str. 384; resztę zawiera dodatek, poświęcony *Źródłoznawstwu historii polskiej*, gdzie czytelnik znajdzie wskazane źródła i krytyczne prace historyczne, dziejom polskim poświęcone.

Książka prof. Szujskiego zasługuje na gruntowny rozbiór. Tymczasem nadmieniamy, że według słów autora przeznaczoną jest, aby młodzieży i światłej publiczności dać zbiór najważniejszych, przedmiotowo traktowanych faktów historii polskiej. Nie jest ona popularną w zwyczajnym tego słowa znaczeniu, bo nigdzie nie liczy się z pedagogicznymi i dydaktycznymi względami, przemawia tym samym językiem, którymby ściśle naukowa książka przemawiała, wszakże nie opatrzoną aparatem przypisów objaśniających, do naukowości nie może rościć pretensyi. Powstała z prelekcji, mających na celu podanie krótkiego historii polskiej zarysu, w niejednym zapewne nie wyczerpuje ostatnich badań; dla samego też względu na krótkość, nie zapuszcza się w żadną prawie polemikę; natomiast tu i owdzie stawia rzeczy nowe, które gdzieindziej w osobnych rozprawach, lub, gdy siły pozwolą, w wznowionem obszerniejszem wydaniu *Dziejów Polski*, usprawiedliwić przyjdzie."

— *Biblioteki umiejętności prawnych* wyszedł zeszyt 46-ty, zawierający dalszy ciąg dzieła p. t.: *Wykład prawa administracyjnego, obowiązującego w Królestwie Polskiem*.

— W tych dniach opuściła w Poznaniu prasę: *Gramatyka języka sanskryckiego*, Fr. Boppa, opracowana przez ks. Fr. Ks. Malinowskiego.

— Świeżo ukazały się z druku *Wypisy polskie*, dla szkół męzkich i żeńskich (część średnia), ułożone przez p. Stanisława Gargulskiego.

— Dzieła Lucyana Siemieńskiego mają być wydane nakładem p. Gracyana Ungra, pod kierunkiem profesorów: Józefa Szujskiego i Stanisława Tarnowskiego.

— Z wydawnictwa p. E. Orzeszkowej i S-ki, opuściła prasę 2-ga książka, mianowicie Edwarda Lubowskiego: *Sąd honorowy*, komedia w 5-ciu aktach. Wilno, 1880.

— Ludomira Szczerbowicza-Wieczór: *Dziejów starożytnych* wyszedł tom II, zawierający w sobie historią Grecyi.

— Księgarnia Teodora Paprockiego wydała powieść pod tyt.: *Dziwiątła fala* Grzegorza Danilewskiego, tłómaczona z języka rosyjskiego na polski przez Józefa z Sieniawy. Warszawa, 1880, t. III.

— Andrzej Podbereski wydał książkę p. t.: *Materyały do demologii ludu ukraińskiego*, której tło stanowią opowiadania ludowe w powiecie czechryńskim.

— W oddzielnej odbitce z *Nowin*, ukazała się nowela Władysława Okońskiego (Aleksandra Świętochowskiego) p. t.: *Klemens Boruta*. Tegoż samego autora dwa odczyty: *O epikureizmie*, wyszły w oddzielnej broszurze.

— Dr. Floryan Krassowski wydał broszurę p. t.: *Istota cholery azyatyckiej i pospolite jej leczenie*. Warszawa, 1880 r.

— W bieżącym miesiącu wydał p. A. Hempel broszurę pod tyt.: *Rozkład kosztów na budowę, lub reparacyą zabudowań kościelnych i kościołów, sporządzony na mocy informacji, zatwierdzonej przez radę administracyjną w dniu 27 marca r. 1863, z dołączeniem objaśniających wzorów, wobec zmian, zaszłych w Królestwie od r. 1864*. Warszawa, 1880 r.

— Redakcyja *Tygodnika rolniczego* wydała pierwszą część zapowiedzianej *Księgi stad*, traktującą *O owcach*. W dalszym zaś ciągu ukaże się niebawem część trzecia *O bydłe*. Z powodu trudności technicznych wyjdzie część druga, traktująca *O koniach*, cokolwiek później.

— Wyszło drugie, znacznie powiększone wydanie czterotomowego dzieła d. ra A. J. p. t.: *Zameczki podolskie na kresach multanjskich*. Warszawa, 1880.

— W ostatnich dniach bieżącego miesiąca wyszło w Poznaniu, nakładem Jana Konst. Żupańskiego dzieło w języku niemieckim p. t.: *Geschichte d. polnischen Dichtkunst in der ersten Haelfte des laufenden Jahrhunderts von Dr. Adalbert Cybulski, weiland Prof. an d. Universitaet Berlin*, 1880 r., t. 2. Są to prelekcye, które ś. p. Cybulski wykładał na uniwersytecie Berlińskim, w przeciągu dwu lat akademickich, mianowicie 1842/3 i 1844/5. W przedmowie, napisanej przez p. L. Kurtzmana, znanego tłómacza poetów naszych, mamy relacyą o tém, w jaki sposób z konceptu prof. Cybulskiego i z różnych notatek słuchaczów całość tę ułożono.

— Profesor uniwersytetu Warszawskiego Józef Perwolf, Czech, zamieścił w *Czasopiśmie Muzeum Czeskiego* nader ciekawy wykaz i krótkie streszczenie źródeł do dziejów czeskich XV i XVI-go stulecia, o ile wypadki owych czasów były w związku z dziejami polskimi. Wiadościami swe, dotyczące się stosunków Czechów z Polakami w ogóle, a zwłaszcza używania języka czeskiego w Polsce, czerpał p. Perwolf, jak do-

nosi *Gazeta Warszawska*, przeważnie w archiwum główném warszawskiém, tak w dokumentach odosobnionych, jak w Metryce koronnój i litewskiej, księgach wojskowych i t. p. Prócz tego znalazł téż piszący nieco materyału w bibliotece Ordynacyi Krasieńskich, w zbiorach po Podczaszyńskim, w aktach wydawanych przez komisję archeologiczną w Petersburgu, w zbiorach Muzeum czeskiego i w wydawnictwach materyałów do dziejów Szlązka. Piszący o zaciągach czeskich w wojsku polskiém, o losach husytyzmu w Polsce, o wpływie czeszczyzny na język polski i t. p. będzie miał znaczną pomoc w tym rejestrze dokumentów.

— W Pradze Czeskiej wydaje księgarz Urbanek, redagowane przez siebie bardzo pożyteczne pismo bibliograficzne p. t.: *Viestník Bibliografický* (Goniec bibliograficzny), zawierający doniesienia o nowych książkach i przedsięwzięciach literackich w granicach całej Słowiańszczyzny, a przedewszystkiém w Czechach. Z przekładów z polskiego języka na czeski znajdujemy: *Wybór poezyi Zyg. Krasieńskiego*, przełożył Fr. Kvapil i wydał w *Bibliotece salonnej* (salonowej); M. Bałuckiego: *Z księgi wspomnień* podaje F. Zakortelsky w czasopiśmie *Ohlas od Nežarky*; Sewera nowelę: *Jedna noc w Londynie* zamieszcza *Otavan* w przekładzie Ernesta Schwab-Polabskiego; Wł. Ordon: *Ktoby to powiedział* zamieszcza *Brandyskie Nowiny*, także w przekładzie Polabskiego; *Zakłete jezioro*, obrazek ukraiński St. Grudzińskiego przekłada F. A. Hora w *Pilzeńskich listach*; próby z pisma zbiorowego *Ziarno* podaje przełożone L. L. Nowakovsky (L. C. Fricz) w *Krkonoszu*. Prócz tego zapowiedziane są dalsze jeszcze tłumaczenia prac Bałuckiego, Asnyka i i.

— Do jakiego stopnia dochodzi rozdrażnienie przeciwko żydom w Niemczech, dowodzi ten fakt nader znaczący, że w gmachu uniwersyteckim w Lipsku przyklepiono niedawno odezwę studencką, wzywającą akademików do podpisywania petycyi do ministra oświecenia, domagającej się wydalenia z uniwersytetu wszystkich profesorów-docentów żydów, których nazywa cudzoziemcami, nie należącymi do narodowości niemieckiej. Fakt ten może dotykalnie przekonać nowoczesnych liberałów niemieckich, że broń kosmopolitycznego bezwyznaniowego liberalizmu jest obosieczna, i że niebezpiecznie jest nią wjować.

— W Paryżu wyszły z druku listy Nordenskiöld'a (wymaw. Norrdenschöld), przedstawiające w formie naukowej relacyi ważniejsze ustępy z dziejów głośnej żeglugi po morzu Lodowatém p. t.: „Lettres de Nordenskiöld racontant son expedition à la découverte du passage nord-est du pôle nord 1878/79. Avec une préface par M. Daubrée, Paris, 1880.

Temu samemu przedmiotowi poświęcono inne dziełko daleko krótsze, ale pod względem naukowym systematyczniejsze p. t.: „Nordenskiöld, Notice sur sa vie et ses voyages, par Flahault.” Paris, 1880 r.

Niejako za wstęp do gruntowniejszej naukowej relacji o tój wyprawie po morzu Lodowatém północném można uważać następujące dzieło szwedzkie w tłumaczeniu niemieckim: „A. E. Freiherr von Nordenskiöld und seine Entdeckungsreisen 1878/79 nebst einer kurzen Lebensbeschreibung des Chefs der „Vega“ Capitän Louis Palander von T. M. Fries, prof. an d. univ. Upsala deutsch. v. Gottfried von Leinburg. Lipsk, 1880 r.

„Die Nordpolarreisen Adolf Erik Nordenskiölds 1858—1879 r.” Tłumaczone z angielskiego na język niemiecki, z 44 drzeworytami i 4 litografowanymi kartami w tekście. Lipsk u Brockhousa, 1880 r. Dzieło to przedstawia nam wszystkie podróże Nordenskiölda do biegun północnego i daje dosyć szczegółową jednolitą relacją o najświetniejszej ostatniej Nordenskiölda wyprawie, unaczynając szczegóły licznymi ilustracyami.

## N e k r o l o g i a .

† Ś. p. **Tytus Szczeniowski** zakończył życie w Winnicy na Podolu, w wieku lat 73. Zmarły pochodził z dawniej a dobrze krajowi zasłużonej rodziny. Dziad jego, Onufry Szczeniowski, starosta trachta-mirowski, postępując z Bractawskiego na sejmie czteroletnim, odznaczył się gorliwością i prawością obywatelską, a następnie jako dozorca honorowy gimnazjum podolskiego w Winnicy, od czasu jego założenia (roku 1816) do roku 1829, nie małe zasługi na polu oświaty krajowej położył. I ś. p. Tytus, idąc śladami swojego dziada, w miarę możności i wymagań czasu, poświęcał się dla kraju. Imię jego zastępowało przed laty w piśmienictwie naszym, jako myśliciela i humorysty. Z dzieł jego na bliższą uwagę zasługują: *Przygotowanie do nauki dziejów powszechnych i historii* (Wilno, 1842), oraz pełen werwy i żywego dowcipu utwór humorystyczny: *Bigos hultajski* (2 t., Wilno, 1844), wydany pod pseudonimem Blepońskiego. Pod koniec żywota oddawszy się zatrudnieniu gospodarza wiejskiego, pomimo pracy i umiarkowanego życia, przez dziwne powikłanie wypadków, nie był w możności zachować spuścizny ojców, którą tak cenił, co ostatek dni nieszczęśliwego starca zatrało.

Pokój tój zacnej a zbolałej duszy!

† Ś. p. **Hipolit Skimborowicz**, dnia 30 lipca zmarł prawie nagle w Willanowie, pod Warszawą, bawiący tam na letniem mieszkaniu, znany i dobrze zasłużony na niwie piśmiennictwa krajowego pracownik, o którego życiu i działalności literackiej obowiązkiem jest naszym podać tu choć treściwe wspomnienie.

Ś. p. Hipolit urodził się r. 1815 w Żytomierzu, z ojca Teodora Skimborowicza, zdolnego pedagoga, organizatora szkół Niemirowskich i Międzybozkich na Podolu, w których też pod jego kierownictwem pierwotne wychowanie odebrał. Na wyższe kursa naukowe udał się do liceum krzemienieckiego, lecz trafił nieszczęśliwie już przed samém jego zamknięciem i przenieść się musiał do Wilna, postanowiwszy wejść na wydział lekarski, który sam jeden, obok Akademii duchownej, z dawnego uniwersytetu pozostał. Medycyna wszakże nie mogła zaspokoić jego pragnienia, które go w inną stronę ciągnęło; wkrótce więc jęj zaniechał, a natomiast zaczął uczęszczać na wykłady historii i literatury do Akademii duchownej, z których korzystał aż do roku 1837.

W r. 1837 przeniósł się na stały pobyt do Warszawy, gdzie z zapalem młodzieńczym zabrawszy się do pracy na polu dziennikarskiem, objął po Zielińskim redakcyą *Gazety Porannej z Piśmie m d o d a t k o w é m*, treści literackiej, która w r. 1841 krótkotrwały żywot swój zakończyła; jednocześnie zaś uczestniczył w wydawanym przez Budułowicza *Przeglądzie Warszawskim*, który podobnież przestał istnieć w r. 1841. Nie lepiej wiodło mu się i z *Czasem*, założonym przezeń na własną rękę po upadku *Gazety*, ani też z *Piśmiennictwem krajowém*, które dwa lata tylko utrzymać się zdołało.

Nie żażony jednak smutnemi zawodami, ani stratą materyalną, a ufny w siły młodych, utalentowanych pisarzy, z których sam niejednego pobudził i zachęcił do pióra, Skimborowicz poraz trzeci szczęścia spróbował i z Edwardem Dembowskim, w którym znalazł dzielnego pomocnika, trzecie z kolei czasopismo założył. A był to *Przegląd Naukowy*, który w dość krótkim czasie pozyskał wielką wziętość, zwłaszcza między młodzieżą, garnącą się pod rozwinięty przezeń sztandar postępu, i rzec można, iż ukazaniem się swoim epokę w dziejach czasopiśmiennictwa warszawskiego zaznaczył. Wszyscy prawie najzdolniejsi pisarze owocześni warszawscy brali czynny w nim udział, a w ich liczbie nieporównana Gabryela (Żmichowska), Majorkiewicz, Cypryan Norwid, Włodzimierz Wolski i Roman Zmorski, z zamiejskowych zaś Libelt i Kraszewski. Dembowski propagował tu filozofią Hegla i prowadził krytykę literacką, w której mu Skimborowicz, pod pseudonimem Wróblewskiego, dopomagał ostrém i pełném werwy piórem.

Po zwinięciu *Przeglądu* w r. 1848, Skimborowicz właściwie już na zawsze zawód redaktorski porzucił, bo ani *Kalendarz popularny* (od r. 1846—52), ani *Album malownicze* (1849), ani też *Księga świata* (od 1859—1863), któremi po kolei kierował, nie były odpowiedniem polem dla niego; nie przestał wszakże na polu dziennikarskiem pracować, kiedy niekiedy zasilając artykułami swemi *Gazetę Warszawską*, *Codzienną*, później *Polską*, *Kuryer Codzienny*, *Bluszcz*, *Tygodnik Illu-*



strowany i Kłosa. Oprócz tego napisał i ogłosił: Wspomnienie z życia Jędrzeja Śniadeckiego (1840); Małżeństwo dni piętnastu (powieść, 1844); Upominek toaletowy (kalendarzyk, 1845); Przewodnik dla zwiedzających Częstochowę (1847); Wybór rozrywek dla różnego wieku płci obojędz, z wzorowych pisarzy polskich (1853); Żywot i prace Jana Heweliusza (1860); Specimen photographicum titulorum, quos habent Biblia (Zbiór odbić fotograficznych, kart tytułowych, trzynastu najrzadszych biblii polskich, 1865); Żywot, skoni nauka Jakóba Józefa Franka (1866); Magdalena (Nina) Łuszczewska (1869); O Mikołaju Koperniku (1873) i w końcu Album Willanowskie, do którego cały tekst opracował. Ostatni utwór jego drukuje się obecnie w Błuszczu p. t.: Gabriela i entuzysta, przez Slinksa.

Nie na tém wszakże koniec pracy i zasługi Skimborowicza: rozmiłowany w dziejach, literaturze i sztuce ojczystej, oddając się badaniu zabytków piśmienniczych, artystycznych, a od roku 1863, przez lat kilka będąc jednym z bibliotekarzy Biblioteki głównej, nabył wielkiego znawstwa w tym zakresie, nagromadził skarby szacowne do bibliografii polskiej i rytownictwa, zebrał omal nie wszystkie czasopisma krajowe, poczynając od najdawniejszych i około 20,000 rycin, jakoteż wiele rzadkich autografów i pamiątek po mężach znakomitych, oraz insygniów masońskich, i przygotował zapas materiałów bogaty do Słownika biograficznego pisarzy i artystów i do Historii mówców polskich. Nadto zaś pozostawił w rękopisie pamiętnik p. t.: Salony warszawskie.

W końcu powinniśmy zaznaczyć, że nieboszczyk był jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych od czasów jego założenia, w którym najgorliwszy brał udział, a na Cmentarzu Powązkowskim, gdzie dnia 1 sierpnia jego zwłoki spoczęły, położył swém staraniem i kosztem kamień grobowy dla uczczenia pamięci Malczewskiego.

Od roku 1873 aż do śmierci, był ś. p. Skimborowicz nauczycielem języka i literatury polskiej w IV gimazyum warszawskiem; zawód wszakże pedagogiczny nie zgadzał się z jego usposobieniem i fakt ten notujemy tylko dla ścisłości biograficznej. I bez tego jednakże dosyć zasług położył, ażeby imię jego przeszło do pamięci potomnych.

## Od Redakcyi.

Pan Feliks Jezierski, dotychczasowy Redaktor Biblioteki Warszawskiej, na skutek własnego żądania uwolnił się od obowiązków. W miejsce jego obranym został Redaktorem odpowiedzialnym Biblioteki Warszawskiej Józef Kazimierz Plebański, który zatwierdzenie władzy otrzymał dnia 19 (31) lipca r. b.

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

## SPIS RZECZY

ZA WARTYCH W TOMIE TRZECIM,

Z R. 1880.

stron.

### *Filozofia.*

O honorze średniowiecznym. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	1
Psychologia w Anglii i w Niemczech (część I. La psychologie anglaise contemporaine par Th. Ribot. Paris, 1875).	353

### *Historya.*

Obraz historyczny cywilizacji społeczeństwa polskiego w wieku XII. Przez Stanisława Smolkę.	173, 386
O kwestyi religijnej w Prusiech (ustęp z historyi współczesnej). Przez L. Ż.	444

### *Literatura i sztuki piękne.*

Od szkolnej ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. Przez Kajetana Kraszewskiego (Dokończenie).	32
Luiz Camoens i jego dzieło. (Notatka biograficzno-literacka). Przez Kazimierza Kaszewskiego.	203
Siostra miłosierdzia. Powieść Emila Castelara, tłumaczona z hiszpańskiego przez A. Gorajską.	241, 413
Rrzut oka na rozwój sztuki w ogólności, na jój dzieje i stan obecny u nas. Przez Karola Matuszewskiego.	373

- Kilka słów z powodu znalezionego we Francyi pomnika Jana Sobieskiego. Przez Józefa Łoskiego. . . . . 453

### *Ekonomia.*

- O wystawie koni, odbytej w Warszawie w miesiącu czerwcu. Przez Stanisława Rewieńskiego. . . . . 467

### *Językoznawstwo.*

- Psalterz Puławski. Z Kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego, przedruk homograficzny wykonali Adam i Stanisław Pilińscy. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1880. Przez Józefa Przyborowskiego. . . . . 141

### *Rozbiory krytyczne.*

- Pieśni Bułgarów macedońskich w Rodopie, zebrane przez Stefana Werkowicza. Przez Bronisława Grabowskiego. . . . . 61
- Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego. (Dokończenie) . . . . . 93
- Złota księga szlachty polskiej. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik drugi. Poznań, 1880 r. Przez A. Bonieckiego. . . . . 152
- Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez d-ra Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy. Przez Ad. Ant. Kryńskiego. . . . . 311, 483
- Archiwum spraw zagranicznych francuzkie do dziejów Jana III. Tom I, opracował dr. Kazimierz Waliszewski. Kraków. 1879. Przez A. Tyszyńskiego. . . . . 327
- Iris. Dichterstimmen aus Polen von Heinrich Nitschmann. Lipsk. 1880 (Iris. „Głosy poetów polskich”). Przez Aleksandra Kraushara. . . . . 473
- Lettre sur l'enseignement des Beaux Arts. Par Henry Havard. Paris, 1879. Przez W. G. . . . . 481

### **KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.**

- Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. . . . . 123
- Trzechsetletni jubileusz Camoensa w Paryżu.—Salon literacki pani Julietty Adam (Lamber).—Powieść *Greczynka*. Dramat *Galatea*.—Rozprawa o literaturze naturalistycznej.—*Chrzestny syn śmierci*, poemat p. Bouchard, ze stariej baśni lotaryńskiej.—Dzielo p. d'Arbois Jubainville o społecznej organizacyi w Irlandyi, w początkach ery naszej.—*Dwie maski*, historia sztuki dramatycznej. *Teatr grecki*, przez Pawła de St. Victor.—*Historya*

<i>Stanów Zjednoczonych Ameryki</i> , przez Fryderyka Nolte.— <i>Dykcyonarz dawnego języka francuzkiego</i> p. Godefroy.— <i>Studia krytyczne nad historią i literaturą francuzką</i> , p. Brunettiere.— <i>Turysta niemiecki w Paryżu</i> . . . . .	276
Kronika poznańska . . . . .	78

### *Korrespondencya.*

Z powodu przewodnika heraldycznego Ad. Amilkara Kosińskiego. Przez Kazimierza hr. Stadnickiego. . . . .	140
Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie, w dniach 18—21 maja 1880 r. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	299
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 161, 345, 500	
Nekrologia. . . . .	509

### *Od Redakcyi.*

Przypomnienie o zadaniach konkursowych . . . . .	172
Doniesienie o zmianie Redaktora głównego . . . . .	512

---